This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

51073

PORTRETY

LITERACKIE

PRZEZ

LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

TOM II.

ZAWIERA

ŻYWOT FRANCISZKA MORAWSKIEGO.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

1867.

PG7028
S5
v.2

ŻYWOT

FRANCISZKA MORAWSKIEGO,

Z JEGO LISTÓW UŁOŻONY

PRZEZ

LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

Un biographe n'a point de drapeau. Son guide est la vérité, son unique loi, la conscience.

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.
1867.

Czcionkami A. Schmädickiego w Poznaniu.

Franciszek Morawski.

(1783 — 1861.)

W czasach Legionów i Księstwa Warszawskiego, kiedy wszystko co żyło, w orężu pokładało nadzieję nierzadcy byli ludzie, którzy dary talentu rozwinięte nauką, badania w ciszy bibliotek zdobyte, nieśli w szeregi, na pole krwi i trudu. Wszelkie inne drogi i zawody publicznego użytku ustępowały przed orężném rzemiosłem. Jeniusz wojenny stał na czele świata, i świat wzorował się podług niego.

Szczególniéj dla poetycznych usposobień porywającą była ta sława wojenna przyćmiewająca wszystkie inne, jak tego uczy sama historya, gdy tonem epopei umieszcza zawsze na najwyższym szczeblu wielkich zwycięzców i zdobywców, a niż-

sze miejsce daje mędrcom, prawodawcom i wynalazcom, zgoła dobroczyńcom ludzkości pracującym i poświęcającym się dla niéj bez krwi rozlewu.

Ciche zdobycze mniéj porywają wyobraźnię ogółu, niż szczękiem szabel i hukiem dział wygrywająca siła lub odwaga.

Pogrzebiona Polska, tylko na pobojowiskach szukała dla siebie kolebki.

Pod tém hasłem instynktu narodowego, każdy gorętszy duch opuszczał swój zawód, do którego ciągnęło go naukowe usposobienie lub dar natury, i stawał się żołnierzem.

Takich poetów-żołnierzy zapisały dzieje naszéj literatury, naznaczając im niepoślednie miejsca w szeregu znakomitości tego okresu. Dość wymienić legionistę Cypryana Godebskiego, Antoniego Malczewskiego, Aleksandra i Maksymiliana Fredrów, Reklewskiego, obu Brodzińskich, Ant. Goreckiego, a nakoniec Franciszka Morawskiego, który nawet po skończonych napoleońskich wojnach zawodu wojskowego nie zmienił na cywilny.

Gdyby wypadło grób jego ustroić w godła życia, położyłbym lutnię, szablę, a nareszcie le-

miesz — bo i to godło ziemiańskiego zawodu, na którém u nas każdy niemal kończy, piastował w ostatnim okresie żywota, tak samo zaszczytnie i wzorowo, jak nosił dwa inne.

Mąż ten wzięty pod tymi trzema względami, nastręcza nader zajmujące studium co do stanu wyobrażeń tak literackich jak obywatelskich przez ciąg trwania konstytucyjnego królestwa i następnych lat kilkunastu po upadku powstania. Wyższy umysłem, zacny charakterem, szczéry miłośnik ojczyzny, głęboko utwierdzony w głównych punktach stanowiących balast życia, zostawił po sobie jedyny w swoim rodzaju pamiętnik myśli; tak bowiem nazywam jego rozliczną korespondencyę utrzymywaną z gronem poufałych przyjaciół, dla których nie miał nic utajonego.

Listy te obejmujące peryod lat dwudziestu kilku, nie były pisane w ukrytéj myśli dania im publicznego rozgłosu; dla tego właśnie nieocenionym są materyałem do poznania wewnętrznego stanu ich autora, niemniéj stanu pojęć bądź literackich, bądź towarzyskich, bądź tyczących się wielu żywotnych kwestyi, zaprzątających umysły w pewnych momentach.

Utwory autora stoją zapewne w pierwszym

rzędzie, jako najwybitniejszy objaw jego indywidualnego talentu i charakteru spotęgowanego szczęśliwém natchnieniem lub mozołami rozmyślań. Atoli jest to, że powiem, oficyalna strona autorska; co zaś po za tą świetną zasłoną ukrywa się, jak: potoczna rozmowa, list dorywczo pisany, pamiętniki własnych wyznań, stanowią niejako komentarz i pokazują człowieka w codziennym negliżu, takim, jakim był nie dla oczu ludzkich, lecz u siebie.

Nie stosuje się to jednak do zwykłych ludzi i zwykłych korespondencyi. Wiele tu znaczy czas, w którym człowiek publiczny żył, stanowisko, jakie zajmował, stosunki, w jakich zostawał. Jeżeli był poetą, pisarzem, — a żył w czasach moralnego ucisku, w pismach jego znajdzie się pełno hieroglifów nie każdemu zrozumiałych, a nawet wcale niezrozumiałych — albo też z utworów jego nie można będzie całkiem wiedzieć, jakim był człowiek. W takich przypadkach literatura listowa daje klucz do wielu zagadek. Z wywnętrzeń się osobistych odbiéramy objaśnienia, których nie mogłoby odgadnąć i najbystrzejsze oko umiejące czytać pomiędzy wierszami.

Korespondencya, to jak odczynnik chemiczny,

pokazuje z jakich piérwiastków składa się ciało. Przez nią dowiadujemy się prawdy; nie jeden uchodzący w opinii za zwolennika absolutyzmu i ciemności, okazał się miłośnikiem wolności i światła, i nawzajem taki, co sypał liberalne frazesy i uchodził za Katona lub Brutusa, był wrogiem prawdy i miał wszystkie skłonności Seida.

Biografia kreślona z wolnéj ręki, idzie za miarą oka i w ogólnych rysach oddaje wizerunek publicznego charakteru. Listy, osobiste wyznania, pozwalają wymodelować podobieństwo w najdelikatniejszych odcieniach. Wszystkie drobne i wielkie namiętności, sympatye i antypatye wychodzą na jaw; najtajniejsze motywa i uczucia, wypowiedziane w pełném zwierzeniu się, rzucają jakby światła i cienie, i portret nabywa fotograficznéj wierności. Słowem, listy są jak okna duszy, które autor mimowolnie otwiéra, pozwalając zaglądać we wnętrze swojego świata.

Z takiéj to korespondencyi, pisanéj do najlepszych przyjaciół i krewnych, któréj ocalenie winniśmy jéj treści, poważnéj, wesołéj, dowcipnéj, często wielce nauczającéj, niemniéj szacunkowi, jaki piszący wzbudzał, — postanowiłem opowiedzieć żywot jenerała Franciszka Morawskiego,

szczególniéj pod względem literackim; ta bowiem strona jego działalności, do któréj go ciągnął talent wrodzony i upodobanie, wplata się w cały ruch umysłowy najświetniejszych chwil naszéj literatury.

I.

Franciszek de Paula Dzierżykraj z Chomęcic Morawski urodził się na dniu 2 kwietnia 1783 r. w województwie poznańskiém, we wsi Pudliszki, którą ojciec jego Wojciech Morawski, ożeniony z Zofią Sczaniecką, dziedzic dóbr Belęcina i Karchowa trzymał podówczas w zastawie.

Urodził się więc jeszcze za czasów dawnéj Rzeczypospolitéj, lubo już okaleczonéj piérwszym zaborem. Dziecięcych lat wrażenia mogły zatrzymać charakterystyczne rysy obyczaju staropolskiego, ale już nie patrzyły na swobody publiczne. Sparaliżowane życie zewnętrzne chroniło się w kryjówki ducha; widok upadku czoła starców pokrywał wstydem; krzywdy i upokorzenia matkom łzy wyciskały.....

Rumieniec ojca, łza matki..... od pieluch już napisały dziecku horoskop jego przyszłości...

O wychowaniu swojém, kształceniu się naukowém, nareszcie o służbie publicznéj, skreślił jenerał Morawski sam autobiografię na krótko przed zgonem. Są to daty i główne rysy odnoszące się najwięcéj do wojskowego zawodu. Podaję je, żeby na tém tle dopełnić człowieka życiem jego serca i głowy.

„Najpiérw — pisze on — pobierałem nauki w domu rodzicielskim w Belęcinie, gdzie do tego czterech nauczycieli trzymano. Potém byłem na pensyi w Lesznie u niejakiego Chyliczkowskiego; potém znowu w domu, gdzie mi emigrant Francuz, ksiądz Bienaimé, późniejszy sufragan w Nancy, dalszych nauk udzielał. Na uniwersytecie w Frankfurcie nad Odrą byłem cztery lata, potém pracowałem przy sądzie tamecznym w wydziale kryminalnym, następnie zaś złożywszy w Kaliszu egzamin auskultatorski przed prezesem Dankelmanem, pracowałem tamże dwa lata. Późniéj przez dwa lata gospodarowałem w Kotowiecku wraz z bratem moim Józefem, a następnie rok jeden w Luboni, gdzie dowiedziawszy się o bitwie pod Jeną, pojechałem do Poznania i wstąpiłem do gwardyi honorowéj Napoleona w r. 1806. Zaraz zostałem podporucznikiem i w tymże roku jeszcze po bitwie pod Czczewem porucznikiem. Przy oblężeniu

Gdańska w r. 1807 byłem ranny w nogę i mianowany kapitanem. Tegoż roku przy oblężeniu Kołobrzega ranny byłem w ramię siekańcami, przy téj sposobności pochwałę męztwa i od razu krzyż kawalerski, emaliowany, orderu *Virtuti militari* otrzymałem. Roku 1809 odbyłem kampanię austryacką jako adjutant jenerała Fiszera. Po bitwie pod Raszynem, gdzie miałem dziewięć razy przestrzelony mundur, zostałem podpułkownikiem i przeszedłem do dwunastego pułku piechoty księstwa Warszawskiego. Tegoż roku byłem przy obronie Sandomiérza i w różnych bitwach; wszedłszy zaś do Krakowa, posłany zostałem na zdobycie Wieliczki, którą téż łatwo Austryacy odstąpili, W r. 1811 byłem z pułkiem przy fortyfikowaniu Modlina, potém wkrótce przed kampanią 1812 r. zostałem grosmajorem w tymże dwunastym pułku piechoty, a że dowódzca jego, jenerał Weissenhoff poszedł na szefa sztabu dywizyi jeneraja Zajączka, więc ja komenderowałem jako grosmajor pułkiem aż do Smoleńska. Roku 1812 pod Smoleńskiem przeznaczony zostałem na szefa sztabu do dywizyi jenerała Kniaziewicza. Za tę bitwę, w któréj konia podemną zabito, dostałem *krzyż kawalerski* legii honorowéj. Całą tę kam-

panię rosyjską jako szef sztabu odbyłem i znajdowałem się we wszystkich wielkich bitwach, nawet pod Tarutynem za Moskwą. W czasie téj kampanii zostałem także pułkownikiem, o czém się dopiére dowiedziałem za powrotem do Warszawy, gdyż kuryer z podpisem nominacyi nie mógł dojechać do armii. Podczas odwrotu byłem w bitwach pod Wiazmą i nad Berezyną."

„Wróciwszy do Warszawy nominowany zostałem adjutantem-komendantem w sztabie księcia Poniatowskiego, przez którego z Krakowa wysłany do Napoleona z depeszami, znajdowałem się w bitwie pod Bautzen. W kampanii saskiéj przeszedłem do kawaleryi jako szef sztabu dywizyi jazdy księcia Antoniego Sułkowskiego, przy którym byłem w bitwach wszystkich, a nakoniec pod Lipskiem, za którą to otrzymałem krzyż złoty oficerski legii honorowéj."

„Po śmierci ks. Poniatowskiego, gdy ks. Sułkowski objął dowództwo naczelne wojska polskiego, mianowany zostałem szefem sztabu głównego; a gdy po Sułkowskim Dąbrowski objął toż dowództwo, i przez niego w tym stopniu potwierdzony zostałem, znajdowałem się w bitwach pod Hanau i pod Paryżem, lecz w téj ostatniéj już jako świa-

dek tylko jeździłem z marszałkiem Marmontem, gdyż nie należałem do organizacyi pułków będących na linii bojowéj, wliczony bowiem zostałem do kompanii honorowéj oficerów nieobjętych organizacyą.“

„Roku 1814 po abdykacyi Napoleona posłany byłem przez cesarza Aleksandra do Danii, dla sprowadzenia brygady jazdy polskiéj tamże znajdującéj się. Przy nowéj organizacyi wojska polskiego przez w. ks. Konstantego, mianowany zostałem podszzefem sztabu głównego; a w roku 1819 jenerałem brygady; w którym przeciągu czasu wiele rozmaitych nadesłano mi dekoracyi.“

„W czasie wojny 1831 r. komenderowałem najprzód brygadą, potém mianowano mię jenerałem dyżurnym całéj armii, i w tymże stopniu byłem jeszcze w pierwszéj bitwie pod Grochowem. Gdy Skrzynecki został naczelnym wodzem, na podanie jego do rządu narodowego, mianowano mię ministrem wojny.“

„Po skończonéj wojnie odesłano mię do Wołogdy w głąb Rosyi, gdzie kilka lat przeżyłem: zkąd wróciwszy otrzymałem dymisyę, przy któréj mi pozostawiono rangę, tytuły i wszystkie oznaki honorowe; poczém wziąłem paszport emi-

gracyjny i przeniósłem się do majątku mego w w. ks. poznańskiém.“

W krótkim tym zarysie tak zapełnionego żywota, uderza przedewszystkiém szybkie posuwanie się w stopniach wojskowych od pierwszego wstąpienia w szeregi; a w końcu pozostawienie tych stopni i nagród przez cesarza Mikołaja. Widać, że talent odznaczający się i przytomność torowały mu drogę; jak znowu godność, utrzymana nawet w pognębieniu, kazała się uszanować saméj zemście.

Sama pewierzchowność jenerała miała szczęście ujmować sobie ludzi, tych nawet, którzy go z blizka nie znali. Postawa wojskowa, słuszna, okazała, wyraz twarzy sympatyczny, pociągający myślącém czołem i składem ust, na których kręcił się dowcipny uśmiech; rysy zaokrąglone, znamionujące łagodność i dobroć, a razem silnie wymodelowane męzkością charakteru, w całém ułożeniu swoboda ujmujących ruchów, zdradzająca mimowolnie pod regulaminową sztywnością konstantynowskiego żołnierza, dobrze wychowanego i światowego człowieka — oto mniéj więcéj wiernie oddane wrażenie jaki mi robił widok tego jenerała, kiedy przed wielą laty widywałem go na

paradach wojskowych lub przychodzącego na publiczne egzamina uczniów.

Za owych czasów szkoły nasze były wolne od postronnych wpływów; nie mieliśmy gazet pisanych przez młodzież dla młodzieży, propagujących tę lub inną opinię; ajenci różnych stowarzyszeń nie przychodzili nam narzucać swoich nienawiści i admiracyi — a jednak samym instynktem, wrodzoną domyślnością, umieliśmy kochać Morawskiego, chwytać każde jego słowo, obiegających wierszy jego uczyć się na pamięć, nie posiadać się z radości, jeżeli czytane na popisie wypracowanie czyje, trafném zdaniem pochwalił. Niechże zjawił się Różniecki, czasem wizytujący szkoły — duszno robiło się w sali; w gardłach zasychało, oczy się spuszczały z obawy, aby się nie spotkać z tym wzrokiem, który mógł w sercu dziecka odkryć jakie niebezpieczne uczucie.... Zgoła, wszystko było powarzone, i nauczyciele i studenci, jakby przeczuwano zbliżającą się burzę, lub ukąszenie jadowitego gadu.

Młodzież ma cudowne instynkta, któremi lepiéj się kieruje niż narzuconą doktryną.

II.

Wielce to jest zajmującém, dochodzić u ludzi, którzy wsławili się jakim wynalazkiem lub odkryciem, tego pierwszego pomysłu, tego natchnionego potrącenia co otwiera przed nimi nowy zawód lub świat. Podobnie w pierwszem drgnięciu żyłki poetycznéj, w formie w jakiéj się myśl objawia, można znaleść zarodek charakteru utworów przyszłego poety. Morawski kształcący się na prawnika, sam nie wiedział o sobie że ma talent do wierszy, w rodzaju epigramatu i satyry. Z przypadku więc nastręczonego widokiem złośliwéj niewiasty złożyły mu się mimowolnie następujące cztery wiersze:

„Że kobieta z kości swój początek bierze,
Mocno temu wierzę,
Bo i Basia swoją złością
Stanęła mi w gardle kością.“

Wyborny ten epigram podobał się wszystkim; osądzono go dowcipnym i ciętym, co zachęciło młodzieńca do próbowania swych sił w tym zawodzie.

Dowcip też wrodzony najlepiéj objawiał się

u niego w epigramatach i bajkach, i w tym rodzaju nikt mu niesprostał między wierszopisami 19 wieku. W części rywalizował z nim Antoni Gorecki, a chociaż mu niezbywa na dobrym, często oryginalnym koncepcie, nieumie być tak lekkim, delikatnym w swoich dowcipach, jak Morawski, który brzęczy i krąży jak pszczółka, kiedy piérwszy przypomina ciężkiego szerszenia.

Przez romantyków potępiony i wygnany dowcip, w nim jednym miał swego reprezentanta, tradycyę staropolskiego jowializmu, przefiltrowanego w szkole dowcipów epoki stanisławowskiéj. Wybitna ta własność cechująca pierwszy wierszyk na Basię, usuwając się z utworów jego w poważnym tonie trzymanych, została się w bajce, i tych niezliczonych impromptus jakiemi przepełnione są jego listy, lub jakie wyrywały się w potocznéj konwersacyi.

Z tego rodzaju dowcipnych, lekkich wierszyków znany był Morawski w kołach towarzyskich; atoli głośniejszéj literackiéj sławy nabył dopiero z utworzeniem się królestwa konstytucyjnego. — Zrobiła mu ją mowa, miana przy obchodzie pogrzebowym księcia Józefa Poniatowskiego w Sedan (23 grudnia 1813 r.), — drukowana w Paryżu,

czcionkami francuskiemi, krążyła w rzadkich egzemplarzach, lecz w niezliczonych odpisach.

Patryotyczny ten głos, biorący pochop z wielkiéj narodowéj straty, przejmował do głębi duszy, i rozbudzał w młodzieży żądzę sławy i ofiar z nią połączonych, jak znowu zwięzłością stylu, dosadnością wyrażeń i artystyczną budową peryodów, lubo nie zawsze wolnych od napuszystości krasomowczéj, w modę wprowadzonéj przez Stanisława Potockiego, zyskiwał admiracyę ówczesnych stylistów, przenoszących manierę nad naturalną prostotę. W każdym razie mowa Morawskiego i treścią i czystością języka, lepszą była od wszystkich pochwalnych mów autora o Wymowie i Stylu. Co mię szczególniéj uderzyło w niéj, to trafność historycznego sądu o królu Stanisławie Auguście, o którym tak się wyrażał:

„Któż z nas bez westchnienia żałości, zdoła „wspomnieć tego króla z krwi jego (Poniatowskie„go), który chociaż może nie był przyczyną wszy„stkich klęsk i nieszczęść, owszem wskrzeszoném „światłem usiłował odkryć tę drogę wartości na„rodowéj, którą poprzednia niedołężność dwuwie„czną przykryła nocą; lecz nie umiał wynaleść „w sobie tych przymiotów męzkiéj duszy, tak ko-

„niecznych królowi, królowi nieszczęśliwemu, kró-
„lowi Polaków; nie umiał być piérwszym w owéj
„najwłaściwszéj rodowi swemu cnocie, i ztąd ścią-
„gnął na siebie ów straszliwy i mocarzom świata
„nieprzepomny wyrok, że sądem ludu swego wszy-
„stko zaćmił, gdy przeżył zgon Polski.“

Dzisiejsze badania historyczne, ściślejsze, bo źródłowe, nie inaczéj patrzą na tego nieszczęśliwego króla, zdejmując zeń stosy zarzutów, któremi go potomność ukamienowała, jednego tylko zdjąć zeń nie mogą, że z tronu Chrobrych przeniósł się na chléb łaskawy do Petersburga. Niedołężnemu głupstwu, wielkim nawet zbrodniom, łatwiéj wybaczyć, niż samolubnéj małości.

W każdym razie nie mógł być trafniejszym wybór jak ten, który padł na Morawskiego, żeby opowiedział żołnierzom i narodowi czém był ten książę Józef odjęty nam w chwili bliskiéj rozstrzygnięcia losów Polski. Nie wiem kto wówczas umiałby świetniéj wywiązać się z tego zadania, a lubo w całéj téj mowie gra fosforyczne światło wielkiego efektu wyrachowane na tych słuchaczów co nie mrużyli ócz przed ogniem bateryów, niemniéj jednak dla myślącego czytelnika znajdzie *się wiele* trafnego sądu, mistrzowskiego ujęcia

wypadków, i tego krasomówczego polotu, który ze sobą porywa.

Świetna ta próba wymowy i stylu, słusznie zapowiadała w Morawskim znamienitego pisarza. Jakoż w początkowych latach po utworzeniu królestwa, mianowicie w r. 1818 i 19, kiedy zaczęły się szerzéj rozwijać zasady konstytucyjne, kiedy zjawiły się dzienniczki jak Orzeł Biały i Kronika; słowem kiedy cenzura trzymała się w konstytucyjnych karbach, można było tu i owdzie spotkać się z jakim artykułem Morawskiego, lub dowcipną bajeczką. Tygodnik wydawany przez Brunona Kicińskiego, umieścił był nawet jego list do Wincentego Krasińskiego o Czapce, przeplatany wierszem i prozą, pełen znaczących aluzyi do tego narodowego godła, choć w tonie lekkiego żartu powiedzianych. Między innemi — tych kilka wierszy:

„Muzo, jeżeli pragniesz zyskać nieśmiertelność
Powiedz wiekom, co mogła narodowa dzielność:
Jak plemie czapką kryte wzniosło się w niebiosy,
Jak niezłomną stałością zmordowało losy —
I kiedy światem trzęsła Bellona zajadła,
Jak spadały korony... a czapka nie spadła..."

Nie wiem czy względy znalazło u w. ks. Kon-

stantego zaczynającego się coraz więcéj niepokoić zuchwałością prasy. To pewna, że odtąd nigdzie się już nie spotkać z podpisem Morawskiego w żadném piśmie czasowém. Jeżeli cywilni, jak Kiciński, Brykczyński i inni dostawali się do kozy — jakaż kara mogłaby spotkać żołnierza, choćby w stopniu jeneralskim, gdyby odważył się był lekceważyć nieukontentowanie w. księcia. Jego przekład Andromachy mający być przedstawiany w teatrze warszawskim już go trwogą nabawia, jak to widać z listu pisanego do Jędrzeja Koźmiana: „Niechże w przypadku pytania się o tłumacza, nie wymieniają tam mego nazwiska. Daliżby i mnie i sobie. Proś o to Osińskiego. Może też ostrożność niepotrzebna i nikt się ani spyta biorąc mój przekład za Dmóchowskiego tłómaczenie.“

Mimo téj obawy, Morawski, jak to ktoś zauważał w jego nekrologu *) umiał gwałtowność i straszne gniewy w. księcia najprędzéj rozbroić, to dowcipną odpowiedzią, to stanowczym wyrazem głębokiego przekonania. Umiał także prawością swoją i najwyższym taktem zasłaniać nie-

*) *Dziennik* Poznański Nr. 292 z r. 1861.

dostatek cnoty i rozsądku w innych, nigdy w obec srogiego naczelnika godności swéj nie poniżając, nigdy się zdania swego nie wypierając. Ilu niesprawiedliwościom tym sposobem zapobiegł, ilu kolegów od nieszczęścia uchronił, to już dziś mało kto może pamięta, ale Bóg mu zapewne do najważniejszych zasług policzy.

W pierwszych zapewne latach kongresowego królestwa wykonał on przekład Andromachy Rasyna, kiedy grono literatów warszawskich: Niemcewicz, Kajetan Koźmian, Osiński, Kruszyński, Mostowski, a z nimi Morawski, zaczęło myśleć o podniesieniu sceny narodowéj, tak przez krytykę jak dzieła oryginalne i przekłady klasycznych wzorów. Wtenczas to w „Gazecie Warszawskiéj“ zaczęły się ukazywać krytyki ze znakiem X. Y. Z. wychodzące od tego grona; Morawski dostarczył kilku krytyk sztuk przedstawianych i nie obwijając w bawełnę, ciął prawdę i aktorom i autorom, co wszakże zaniepokoiło Osińskiego, jako dyrektora teatru narodowego, który w tych surowych, choć słusznych sądach, widział niebezpieczeństwo dla kasy teatralnéj. Krytyki te prędko ustały, co służy za jeden więcéj dowód, że gdzie sztuka dramatyczna przez monopol przywileju zabezpieczoną

jest od rywalizacyi innych przedsiębiorstw, tam zawsze przychodzą względy pętające swobodę prawdy, i sztuka nigdy się wysoko nie wzniesie

Wyobrażenia literackie panujące wówczas przeważnie w stolicy, całkiem były francuzkie, i to nie w kierunku pani Staël ani Châteaubrianda, którzy niepodległość ducha uważali za żywioł dla kreacyi, którzy nie podawali prawideł ani teoryi smaku, a natomiast udzielali rad godności i odwagi, protestując przeciw despotyzmowi cesarstwa siłą woli, entuzyazmem wolności, ufnością w postęp. U nas ze wspomnieniami Napoleońskiemi i wyobrażenia imperyalistowskiéj literatury przeciągnęły się dłużéj niż gdzieindziéj w tym samym kierunku, w jakim ją chciał mieć Napoleon, to jest żeby traktowała przedmioty czysto literackie, unikając metafizyki, historyi, prawa publicznego. Myśl głębsza była podejrzaną, i kiedy raz Sièyesa pytano: „co myśli?“, odpowiedział: „ja nic nie myślę.“ W tym przypadku byli wszyscy niemal piszący, którzy jednak chcąc coś produkować, musieli znaleść dla siebie wzór odpowiedni. Tym wzorem była literatura dworska Ludwika XIVgo, któréj główną cechą ogłada, regularność i smak wyrafinowany. Nie znajdziesz w niéj ani

ognia zapału, ani szczytnego nieładu, ani oryginalności myśli; wszystko to zastąpione symetryą, tolerancyą, wykwintem, zdrowym rozsądkiem i umiarkowanemi prawidłami mierności. W siedmnastym wieku była to reakcya biorąca w karby dobrego smaku roznamiętnione wojnami o wolność i religię życie narodów. Napoleońskiemu imperyalizmowi dogadzał ten kierunek zostawiający piszącym rolę mdłych naśladowników mniemanego klasycyzmu.

Grono ówczesnych koryfeuszów naszéj literatury, czy przez wyrozumowanie, czy instynkt zachowawczy, pozostało na téj drodze, obierając sobie za wzór pisarzy wieku Ludwika XIVgo, tak spętanych prawidłami formy i konwencyonalności języka, że niepodobna było w to przepełnione naczynie nic nalać swojego, wszelka bowiem nowa śmiałość czy pomysłu, czy słowa, czy formy, zaraz poczytywaną bywała za przeniewierzenie się arcywzorom, niebezpieczne nowatorstwo, mogące wtrącić literaturę ojczystą w przepaść znikczemnienia. Opinia powag bądź ustna, bądź pisana, najwięcéj czepiała się wyrazów i wyrażeń, wymagała po autorze gładkości, pięknego brzmienia okresów, a nadewszystko żeby nic nie powiedział takiego, coby się nie opierało na powadze Kornela, Rasyna,

Woltera, Horacego lub Wirgila. Wprawdzie powoływano się ciągle na klasyków greckich i rzymskich; ale tych piérwszych wcale nie znano, a drugich zbyt powierzchownie. Na utrzymanie tego kierunku wiele wpływała pozycya tych, co stali na czele literatury; byli to bowiem ludzie głośnego patryotyzmu, piastujący wysokie urzędy, majętni, używający powagi; i ci mimowolnie stali się stróżami zachowawczości, a raczéj po stracie politycznego bytu czując się nagle przywróconymi do bytu, a chcąc pozostać w konsekwencyi, ochraniali go nawet w dziedzinie myśli. Łatwo stąd wytłómaczyć sobie tę uporczywą walkę, jaką staczali z romantyzmem, którym Litwa zelektryzowała Koronę.

Nic dziwnego, że Morawski żyjący w téj atmosferze, a do tego od. dzieciństwa zaprawiony na literaturze francuzkiéj (miał bowiem nauczyciela emigranta), — skłaniał się ku wyobrażeniom literackim panującym w stolicy, i myśląc naprawdę o podniesieniu sztuki dramatycznéj, nie znalazł co lepszego do przekładu nad Andromachę Rasyna. Wszelako oddaję mu tę sprawiedliwość, że ją przełożył wybornie; jakby ją sam oryginalnie napisał, tak czyta się gładko. Któryś z ów-

czesnych arystarchów powiedział, że „skornelizował Rasyna“, dając przez to do zrozumienia, że przekład jego więcéj ma jędrności i mocy niż oryginał. Przyznam się, że czytając dzisiaj ten przekład, nie widzę tego; a choćby i było, to energia wyrażeń niepotrafi ocucić mglistéj i ckliwéj treści, będącéj romansową plątaniną, i tak: Pirrus ma pojąć Hermionę, a kocha się w brance Andromace; Hermiona na zabój zakochana w Pirrusie; Orest znowu na zabój w Hermionie; Andromacha kocha nieboszczyka Hektora, a nienawidzi Pirrusa: Hermiona widząc się niekochaną, chciałaby się pokochać w Oreście, — słowem jest to udramatyzowana konjugacya wyrazu: kocham, przeprowadzona przez wszystkie formy, czasy, osoby, w liczbie pojedyńczéj i mnogiéj, przepełniona czułostkową frazeologią, wyszlifowana na wszystkie boki, bez jednego słowa, coby się wydarło z serca, z wyjątkiem tego jednego miejsca, gdzie Pirrus oznajmia Andromace, że Grecy chcą wydrzeć jéj syna:

„Hektora to ścigają Grecy zemstą swoją,
„Boją się jego syna.

Na to odpowiada Andromacha:

Dziecięcia się boją!...

Ale to głos miłości macierzyńskiéj, a nie namiętności, która ma górować w téj trajedyi.

Z rozpoczęciem szermierki z romantykami, cały obóz klasyków nastawał na Morawskiego, żeby przekład téj trajedyi dał na scenę; Osiński mając sobie powierzony manuskrypt, lata zwłóczył z przedstawieniem; nacierano więc na niego spodziewając się, że po tém przedstawieniu, romantycy popadną w zupełny dyskredyt u publiczności. Morawski już wtedy nie poił się tą nadzieją, bo mu nie szło o zdławienie romantyków, — szło tylko o rywalizacyę z Dmóchowskim, który wydrukował był piérwéj swoje tłómaczenie Andromachy, wprawdzie o wiele niższe, lecz zawsze nie złe, lubo tu i owdzie upstrzone reminiscencyami Morawskiego przekładu, który słysząc nieraz czytanym, zatrzymał wybitniejsze miejsca nader szczęśliwą pamięcią.

Morawski mieszkając w Warszawie, otoczony przyjaciołmi i literatami, pamiętnik swoich myśli, zdań, dowcipów, zostawił chyba we wspomnieniach tych osób, co bywały w jego towarzystwie, lub na obiadach czwartkowych u jenerała Wincentego Krasińskiego, gdzie rozprawiano o literaturze tonem ludzi światowych, wesołego humoru, nieską-

pych w dowcip i sól attycką. Był on jednym z tych, którego dowcipy, czy prozą czy rymem, najwięcéj miały szczęścia być chwytanemi i roznoszonemi w stolicy,

III.

W r. 1819 zostawszy jenerałem brygady strzelców pieszych, konsystujących w Lublinie, oddalony od ogniska literackiego Warszawy, utrzymywał korespondencyę niemal ciągłą z radzcą stanu Kajetanem Koźmianem, z którym go bardzo ścisła łączyła przyjaźń, późniéj z jego synem Jędrzejem, któremu również jak ojcu był przyjacielem i doradzcą; także z jenerałem Wincentym Krasińskim, wielkim admiratorem jego dowcipnych listów.

Listy te mniéj więcéj poczynają się od r. 1822 lub 1823, — Morawski bowiem rzadko gdzie kładł datę, — a ciągną się przez lat dwadzieścia kilka. Czytając je, widzisz w nich całą jego duszę, najszlachetniejsze serce, umysł wyższy, żywo interesujący się wszystkiém co dobre i wzniosłe, a niemiłosiernie żartujący z zarozumiałego głupstwa, hipokryzyi, nadętości niektórych figur i płaszczenia się bożyszczom dziennym. Jestto komen-

tarz prawego i rozumnego obywatela do historyi politycznéj, towarzyskiéj i literackiéj onego czasu.

Niewyczerpanym przedmiotem tych listów, wprzód nim się zajęły romantyczne spory, był Jaksa Marcinkowski. Śmieszny ten, pretensyonalny oryginał, ze stosami nakleconych rymów wybrał się z Wołynia, gdzie prowadził żywot pasożyta, do Warszawy, aby tam obszerniejsze znaleźć pole do popisów swojéj Muzy. Gdy zaprezentował stosy poematów, trajedyj, komedyj, ód, elegij, epigramatów, — wprawił w niejaki kłopot naszych klasyków, których sława gruntowała się na kilku odach lub mówkach, a tu tyle wykończonych płodów imponowało tém, że skończone, że tylko czekają nakładcy. Poznano się jednak prędko na płytkiéj głowie, mniéj jak miernym talencie, puszącym olbrzymią zarozumiałością, i zaraz wzięto go na fundusz, co niezawodnie nie byłoby spotkało potulnego metromana. Kajetan Koźmian, biorący rzeczy poważnie, chciał mu otworzyć oczy, obrzydzić niewdzięczny zawód i zachęcić do jakiéj pracy, dającéj kawałek chleba. Marcinkowski przyjął to z oburzeniem, rozgłaszając że wszyscy ci literaci, zazdrosni jego talentu i sławy, chcieliby mu z rąk wytrącić pióro; a najbardziéj w to

uderzał, że on przez rok jeden więcéj napisał, niż oni przez całe życie.

Odtąd Jaksa stał się celem dowcipów, epigramatów, nawet poematów, które z rąk do rąk obiegały, pobudzając do śmiechu jego kosztem. Nie znalazłszy on w stolicy takiego powodzenia, o jakiém marzył, przyjechał do Lublina i udał się pod skrzydła Morawskiego, który dał mu u siebie stół i mieszkanie, a nawet karétę na usługi, z czego się bardzo pysznił. Marcinkowski oddawał wizyty, robił się znakomitą figurą, wszędzie proszony i nieproszony czytywał swoje wiersze, i pisał nowe na cześć miejscowych piękności, co mu niejaką wziętość u płci pięknéj jednało. Morawski bawił się nim, a często i nudził, jeżeli go nagabywał swemi wierszydłami i prosił o zdanie lub radę. Wesoły jenerał trzymał się innéj z nim taktyki niż weredyczny Koźmian: potakiwał on właśnie jego największym głupstwom, dodawał nawet do nich konceptu; i tak, kiedy Marcinkowski w wierszu na pochwałę Lublina mówiąc o Leszku Czarnym, z powodu rymu zrobił go Leszkiem wtórym, Morawski zwrócił jego uwagę na ten błąd przeciw historyi i radził użyć epitetu: Leszek bury, kolorem do czarnego zbliżony. Po-

dobnych też figlów wiele mu napłatał, a mianowicie napisał na niego balladę, którą on jakoby przez pocztę odebrał z Warszawy i podejrzywał o nią jenerała Wincentego Krasińskiego. Ballada ta w swoim czasie obiegała w licznych kopiach. Żałuję że nie mogę jéj dosłownie przytoczyć; każdy wiersz tryska dowcipem. Treść tylko pamiętam:

Nad Wisłą stoją zwaliska zamku w którego podziemiach ma być jezioro, a na jeziorze pływa „księżniczka w złotą kaczkę zamieniona“ któréj pilnuje djabeł w postaci smoka. Dowiedziawszy się o tém Jaksa, uczuwa rycerski animusz, i napakowawszy kieszenie wierszami, pewnym jest że djabła rozczuli i księżniczkę wyzwoli. Udaje się w podziemne lochy, i czyta djabłu swój poemat: Gorset; — djabeł usypia, — a on tymczasem w koperczaki do kaczki, która przybiera właściwą postać. Kawaler prezentuje się ślicznéj księżniczce:

W herbie mym noszę srogiego lwa z gryfem,
Z krwi książąt greckich wyszedł piérwszy Jaksa,
A imię moje prostym logogryfem
Jest wsławionego dziełami Ajaksa.

Wyprowadza ją więc, a gdy przechodzą obok

chrapiącego Argusa, rycerz nasz w ciągłych komplementach i susach około panny, nieuważnie zaczepił śpiącego krzyżem Miechowskim*). Djabeł się ocknął, porwał Jaksę i z wszystkiemi wierszami wyrzucił na bruki warszawskie.....

Był to najdowcipniejszy kawałek co się ukazał na niefortunnego wierszokletę.

Najpewniéj to jenerał podsunął mu pomysł napisania coś o Rzeczypospolitéj Babinskiéj. Pochwycił tę myśl Marcinkowski i wziął się do sklécenia komedyi, która była przedstawioną w teatrze lubelskim. Morawski w liście do jen. Wincentego Krasińskiego tak opisuje to przedstawienie:

„Zbiegliśmy się już o 4téj na teatr, on o 3ciéj był na paradysie i nie wiedział że go widzimy. Pełno było, i wszyscy cieszyli się na głupstwo, które ich uraczyć miało. Szeptano po łożach, po parterze, że tchórz będzie wykpiony w téj sztuce.

*) Zgromadzeniu XX. Bożogrobców w Miechowie służył przywiléj dawania patentów na krzyże. Byli tacy, co nie mogąc inaczéj próżności swojéj dogodzić, nabywali te patenta za małą opłatę i uchodzili za ludzi dekorowanych. Marcinkowski, wywodzący się z rodu owego Jaksy, założyciela Miechowitów, miał niejakie prawo do téj ozdoby, którą nosił.

„Podnosi się kortyna, początek niezły... — niby koło miodem smarowane na pszczelnikach... Brawo po całym parterze, i wtenczas widzimy jak sam Jaksa dawał brawa. Słowo uczciwości, prawda. Wlókł się potém cały piérwszy akt przez trzy kwadranse, w którym o tém jedném zawsze była rozmowa, że wystraszymy tchórza. Kończy się akt piérwszy — nudnie trochę. Żadnego oklasku; Jaksa zaalarmowany; śmiano się jednak niekiedy z gdéraniny z początku komicznéj, lecz wreszcie nudnéj, i tém się pocieszał. Podnosi się zasłona — akt drugi. Tchórz, o którym mowa była w całym piérwszym akcie, tu się dopiéro pokazuje, chociaż bawi ciągle w Babinie. Szemrzą po parterze, że szlachcica kontuszowego z poczciwych i wielkich czasów wystawia na śmiéch i wzgardę; lecz przypominają sobie, że to płód Jaksowskiéj głowy, więc słuchają cierpliwie jak djabeł w balladzie. Wystraszają więc kobiéty tchórza bez sensu i ładu; oknem ucieka; w konopiach go znajdują, przyprowadzają i robią Buńczucznym Babińskim, dają mu buńczuk, u którego wisiał cały zdechły tchórz, którego Jaksa jak waryat szukał po Lublinie. Kierdaj Dziusa, czyli tchórz sztuki, bierze go bez żadnéj ceremonii,

całuje (na honor!) trzy razy w ogon. Odbiérają mu pannę; ani się dziwi, ani słowa nie mówi do końca sztuki, tylko całuje buńczuk, skacze, tańczy z nim i — nakoniec zasłona spada. Tu dopiéro cały parter i loże wrzasną: Autor! Autor! Widzieliśmy, że i Jaksa gębę niezmiernie rozdziawił i dorozumiewamy się, że także wrzeszczał autora, bo niezmiernie klaskał. Wychodzi aktor i donosi, że autorem komedyi jest: Wielmożny Kajetan z Jaksów Marcinkowski, autor pism wielu! Brawo więc, brawo! zagrzmiało po całym teatrze. Jaksa się pokazuje i nuż aimablować od loży do loży i zbiérać powinszowania. Ja w tém wszystkiém zawsze tę myśl miałem, że Jenerał pewno przyjedziesz na tę sztukę, i że gdzieś siedzisz ukryty. Straszyłem go tém, i dla tego aż na paradys uciekł. Nazajutrz po całym Lublinie wizyty, wszędzie oklaski i chwała, któréj serdecznie wierzy; aż nareszcie przychodzi do Prezesa, który go wykpał, że dawnego Polaka na hanswurszta wykierował, i dla tego sztuki zakazuje. Jaksa myśląc, że coś przeciw rządowi napisał, prosi o wytknięcie miejsc politycznych, a tu mu powiadają, że to nie polityka, ale głupstwo temu winno. Przerabia więc na nowo i nie wiem, co

z tego będzie. Wszystkie familie żyjące dotąd w okolicy Lublina, pokładł do komedyi, jako to: Gałęzowskich, Dłuskich, Sobieszczańskich, Wybranowskich, Domańskich i Finków. Już ich teraz wymazuje i nowe komponuje z głowy. Otóż jest mój raport, którego Jenerał zapewne z utęsknieniem czekał.“

W liście do Jędrzeja Koźmiana znowu o Jaksie:

„Jaksa pisze na mnie komedyę pod tytułem: Teraźniejsza przyjaźń. Dowiedział się w teatrze, że epigraf na satyrze Znawców nie jest Krasickiego ale Naruszewicza. Rzucił się z parteru jak szalony; trzy ławice obalił, i kilku widzów. Spotykam go wylatującego z teatru, pytam się, — przeklina mnie, siebie i losy. Leci jak waryat do sklepów i księgarni, gdzie dał egzemplarze Znawców na przedaż; puka, dobija się w nocy; patrol nadchodzi, a myśląc że złodziéj, bierze go do kozy. Przyprowadzają go na odwach; szczęściem że go oficer znał i wypuścił. Nazajutrz z ranną zorzą wstał i wszędzie, gdzie tylko były egzemplarze, podpis: Krasicki, wymazał széroko; ale jakże się znowu zmartwił, gdy mu mówili, że na samém czele pisma Muza jego zro-

biła żyda. Już biédak nie wié co ma począć, i gdyby nie święcone, nie miałby pociechy. Dziś to jego benefis, bo przynajmniéj zjadł 50 święconych. Broń Boże go dzisiaj nastraszyć; coby to jaj i szynek powstało w jego żywotnim wulkanie!“

Niezliczone te figie wystrajał mu jenerał — i w rzeczy saméj były to improwizowane komedye, stokroć zabawniejsze niż wiele pisanych na scenę. W dość nudném miasteczku prowincyonalném była to jedyna rozrywka. Kiedy téż Marcinkowski pogniéwał się i wyniósł od jenerała, a potém do Warszawy wyjechał, Morawski często powtarza w swoich listach, że: „jeden bęben i dzwon bernardyński budzą zaspany Lublin, gdzie tak głucho jak na sejmie galicyjskim, a ciemno, jak w głowie Jaksy.“ — Często się téż dowiaduje co porabia? co pisze? i dodaje: mogę o nim i o sobie powiedzieć: *„neć tecum possum vivere, nec sine te.“* Koźmian ojciec i syn zdawali mu częste o nim relacye, dostarczające wątku do śmiéchu i żartów, a nawet do litowania się nad smutną dolą biédaka. Pisze on z tego powodu do jenerała Krasińskiego:

„Jaksa, drogi Jaksa podobno chory bardzo i prawie tak nędzny jak jego wiersze. Niech się Jenerał dowié czy to prawda. W Wielkiéjpolsce,

w Szląsku nawet mówiono mi o nim. Zastanowiłem się, jak rymy jego mogły go tak głośnym uczynić, i wytłómaczyłem sobie to temi wierszami, które kiedyś tam zrobiłem:

Sława, co życie nasze przedłuża za grobem
Szczególnym dzieła ludzkie wygłasza sposobem:
Z dwóch stron sobie przeciwnych dwie trąby przytyka,
Jedną głosi Byrona, a drugą Jaksika.

Mimo tego, gdy rzeczywiście otrzymał wiadomość, że Jaksa chory i bez grosza, za pośrednictwem żony swojéj posłał mu pieniężny zasiłek... Innym razem widząc go, tak się o nim wyrażał:

„Biédny Jaksa! smutny niezmiernie, płakał tu nieborak, rozmyślając nad swym losem bez nadziei. Litość brała patrząc na niego, i zupełnie mi się z nim figlów odechciało.“

Nastały spory z romantykami, Marcinkowskiemu dano spokój, tém więcéj, że i sam z tonu spuścił — i wyrobiono mu miejsce inspektora szkół w Płocku.

Nieraz zastanawiałem się nad tém zjawieniem się Marcinkowskiego. które nie było bez głębszego znaczenia. Że wiersze pisał i liche, w rozumieniu, że są najczystszéj wody — to przecież każdemu wolno, i rzemiosło to wyzwolone praktyko-

wało się od wieków, dziś się praktykuje, i do końca świata praktykowaném będzie. Zkądże więc taka przeciw niemu zajadłość w klasycznym obozie, a takie znowu pobłażanie romantyków utrzymujących złośliwie, że rymy jego nie były gorsze od płodów tak zwanego klasycyzmu? — Oto dziwnym zbiegiem okoliczności: kiedy z litewskich borów wschodziła nowa gwiazda poezyi, z tłustych łanów wołyńskich podniósł się pyzaty księżyc, istny symbol Jaksy — tego arcy-mistrza kommunału. Z teką wierszydeł spadł on na koronną Warszawę i stał się żywą parodyą ówczesnych panujących tam wszechwładnie wyobrażeń pseudo-klasycznych. Te same rzeczy zwietrzałe, powiedziane już tysiąc razy, powtarzał w mniéj dobrze utoczonych i zwięzłych wierszach, ale zawsze czérpał z téj co i klasycy krynicy, i w niczém nie oddalał się od ich rutyny co do formy, wyrażeń, stylu. Nie mając ich nauki, ich talentu, przecież robił to co i inni. Była to ta sama maniera, tylko. praktykowana przez partacza, który robił jak na jarmark, i przeciw ich jakości stawiał chełpliwie swoją ilość. Z rozmowy przekonano się że nieuk, ciasna głowa — lecz mimo tego i on miał swoje koncepta, i on potrafił tak

dobrze strofkę utoczyć, jak inny, z każdéj okazyi jaka się nawinęła. Widok własnéj karykatury powinien był ich oświecić i nasunąć pytanie: czém jest poezya? Ale ten komiczny *praecursor* zbliżającéj się prawdziwéj poezyi, nie zreflektował ich; uderzyli nań orężem swojéj wyższości, postrzelali strzałami dowcipu, myśląc zapewne, że to wzmocni powagę szkoły klasycznéj. Morawski żartował z Jaksy i płatał mu figle, ale rozumiejąc co jest poezya, lekceważył takiego współzawodnika, i dla uspokojenia zaalarmowanych musiał im tłómaczyć nicość jego utworów. Na nieszczęście brakowało Marcinkowskiemu wyższéj pozycyi w świecie, — mając ją, byłby wierszami swemi ogromnie zaniepokoił klasyczny obóz, nader troskliwy o utrzymanie swojéj powagi i godności.

Marcinkowskiego zwykle uważano za krotofilne zjawisko towarzyskie, należące do pomyślniejszych dawnych czasów, za rodzaj wypchanéj lalki, do któréj mierzono dowcipem poobiednim... lecz kto bliżéj się przypatrzy i skombinuje go z nowym duchem wiejącym od Wilna, — ujrzy w nim narzędzie do zachwiania wiary w niemylność, jaką sobie przyznawał areopag klasyczny, którego wszystkie słabe strony ten intruz parnaski naraz odsłonił.

IV.

Opowiedziałem już w piśmie mojem: Obóz klasyków *) cały ten dramat wojny z romantykami, gdzie każdy z koryfeuszów literatury w Warszawie, występuje w swojéj roli charakterystycznéj. Morawski lubo związany z reprezentantami téj szkoły starą przyjaźnią i nawyknieniem, nie dzieli ich wyobrażeń: z Koźmianem ucieŕa się o bezwzględną doskonałość Horacyusza, po nad którego tamten już nic nie widzi; staje przciw niemu w obronie Szyllera i Byrona — a kiedy zjawiły się dwa tomiki poezyj Mickiewicza, odkrywa w nich pierwszorzędne piękności a oraz następuje na ciemność wyrażeń, gminność, litewszczyznę, brak gustu itp. Wszystkie te zarzuty pochodzą więcéj z oszczędzania Koźmiana, któremu jako przyjacielowi nie chciał się narazić, niż z przekonania. W listach do jenerała Krasińskiego wywnętrza się ze swojém zdaniem i nie obwija w bawełnę wszystkich niedostatków pseudo-klasycyzmu, który sam się skazał na wieczną niepłodność. Widać Krasiński musiał czy listy te pokazać Ko-

*) Obóz klasyków. W Krakowie 1866. r. w drukarni „Czasu.“

źmianowi, czy o nich mówić dość że dla farsy chciał jednego podszczuć przeciw drugiemu: zwykle bowiem na obiadach czynił sobie uciechę i kłócił między sobą literatów. Z tego to powodu pisze doń Morawski:

„Znamy się na niewinnych figielkach JWgo „Opinogórskiego. Magnat chce się biédną szlachtą „bawić. Ani Hohenlohe ani nawet Tomasz Grabo„wski nie dokazałby tego cudu, aby mnie z Ko„źmianem pokłócił, którego serce moje tak kocha, „jak rozum szanuje. Różnimy się zdaniem bo czę„sto może nie chcemy się rozumieć, lecz w sercach „zgoda zawsze gotowa.“

Przyjaźń ta trwała nietylko do zgonu, lecz z ojca przeniosła się na syna. Ścierano się w zdaniach, umiejąc się szanować wzajemnie.

Najwybitniéj maluje się ówczesne przekonanie Morawskiego w następującym liście do Kajetana Koźmiana.

„Wpadłeś na mnie i to niesłusznie za roman„tyzm. Nie bronię ja tego co jest dziwacznem, „głupiém i podłém lecz nie w rodzaju romanty„cznym dostrzegam ja tego, tylko w dziełach tych „autorów, którzy pisząc w tym rodzaju, pośliznęli „się, jako w niebezpiecznym zawodzie. Zresztą

„cytujesz mi Witwickiego jako romantyka; a gdy-
„bym ja też jako klasyka zacytował Przybylskie-
„go, boć pewno nie był ten romantykiem, co wszy-
„stkich klasyków tłómaczył. Podobnobyśmy oba
„dopuścili się grzechu przesady, i mógłby nam kto
„z boku powiedzieć, że religię winimy o zbrodnie
„fanatyzmu, a wolność o morderstwa rewolucyi
„francuskiéj. Nie możesz przecie rozsądnie utrzy-
„mywać, że Ossyan, Szekspir, Byron, Szyller byli
„zupełnie głupi, a ci wszyscy, co im się dziwią,
„stokroć głupsi, boć w téj liczbie są wieki całe
„i ludy. Nie! takiego zagorzałego zdania nie
„byłbyś zdolny, musisz więc przyznać, że mieli
„gieniusz; a kto zna ich pisma, ten zapewne
„przyzna, że właśnie było w charakterze takich
„gieniuszów tak, a nie inaczéj pisać.

„Popełniali wprawdzie wielkie dziwactwa nie-
„kiedy; lecz byłoż to w mocy natury ludzkiéj
„utrzymać się zawsze na szczycie nadludzkiéj wiel-
„kości? Wreszcie byłożby lepiéj, żeby ich pisma
„spalono? Nie byłoby może tych dziwactw, lecz
„ileż to stracilibyśmy nadzwyczajnych piękności!
„Nie należyż jednym dla drugich przebaczać,
„zwłaszcza że już od tylu wieków czekaliśmy na-
„próżno od klasyków nowych piękności, a oni

„zawsze nam odpowiadali, aby się już niczego
„po nich nie spodziewać, lecz w Horacego tylko
„wiecznie wlepiać oczy, bo on jest całym świa-
„tem, granicą natury, imaginacyi, i że zbrodnią
„jest śmieć przechodzić za okładki dzieł jego.
„Uparli się klasycy żadnych od kilku wieków nie
„tworzyć piękności; nie dziw więc, że świat chci-
„wy nowego ,nie mając nic od jednych rzucił się
„do drugich; a potém jakże chęć nowości przy-
„tłumić? Gdybyś się tydzień tylko samemi
„ananasami karmił, znalazłbyś późniéj ziemniaki
„nawet smaczniejsze. Umiarkowania wołacie w po-
„lityce; czemu nie w literaturze? Nie zwalczycie
„już romantyzmu, aby zupełnie zaginął. Nie le-
„piejże tych braci obłąkanych zbytnim zapędem
„zwracać łagodnie na bezpieczniejszą drogę; sza-
„nować ich chęć oryginalności, bo ta wiele skar-
„bów zdobywa, lecz zwracać ją powoli do gra-
„nic prawdopodobieństwa, pożyczyć od nich śmia-
„łości i siły i ognia, a nawzajem udzielić zimniejszéj
„rozwagi i doświadczenia wieków! dozwolć im aby
„nie gardzili naturą niższą od téj, która jest w
„salonach i na tronach, i aby mogli we wiejskich
„balladach kłaść wiejskie wyobrażenia, powieści
„i dumy, jak Koźmian w wiejskim poemacie mó-

„wi o wieprzu, gęsi i szczypiorze. Nie wiem cze-
„mu ziemniaka nie odważyłeś się nazwać — czyż
„klasyczność ma szczypiór za poetyczniejszy?“

Pomysły zawarte w tym liście przeszły, a raczéj są treścią dwóch listów poetycznych pod napisem: Klasycy i Romantycy polscy, w Warszawie 1829 r. Krążyły one na kilka lat piérwéj w wyjątkach i kopiach, zanim je na nalegania Kajetana Koźmiana ogłosił, który pałając dość stronniczą nienawiścią przeciw romantykom, naglił żeby ten cios co prędzéj w nich uderzył. Atoli zawód spotkał nie mały, tak jego jak innych przewódców obozu. Morawski bowiem zajął tu niepodległe stanowisko krytyka obdarzonego samodzielnym sądem i nie potępiającego z góry utworów romantycznych dla tego, że wyszły od romantyków, ani bezwzględnie chwalącego klasyczne, dla tego że wyszły od klasyków. Co dobre, co sąd wytrzymuje, co oddaje prawdę serca i prawdę natury, co ma charakter narodowy, co porusza, podnosi, uzacnia i oświeca czytelnika, przed tém skłania czoło, nie pytając czy z klasycznego czy z romantycznego wyszło obozu. Nie było to do smaku stronnicznym klasykom: gorżkie prawdy jakie im wyciął w liście zwróconym do nich, sprawiły nie-

ukontentowanie, i pomawiano go, że się przeniewierzył, że przeszedł do przeciwnego obozu.

Zabijającemi były mianowicie te wiersze malujące najtrafniéj ówczesne położenie.

Wchodzę ja wprawdzie w gniewu waszego przyczynę,
Że śmiano tak zaburzyć Apolla krainę,
Ten Parnas starożytny, gdzie aż wspomnieć miło,
Wszystko już tak spokojném i tak cichém było,
Że nikt mu już słodkiego snu myśli nie kłócił,
A Feb, co się zaledwie raz na wiek przecucił,
Skarciwszy Ossyana i Szekspira zbrodnie,
Chrapiącą klasycznością zarządzał swobodnie.

Daléj w usta romantyka na angielskich zaprawionego wzorach wkłada takie wiersze:

Zrzekam się waszéj chwały, nie chcę być klasykiem,
Jeśli mam to przytłumiać, com otrzymał w darze,
Jak głupie echo dawne podrzéźniać pisarze,
I z każdém się uczuciem dawnych radząc wieków,
Śmiać się śmiechem Rzymianów, płakać łzami Greków;
Lub jeśli to tak wielką zaletę stanowi,
Ukraść wiersz Horacemu lub myśl Tacytowi,
I zyskać tę pochwałę dla swojéj obrony:
Oto człowiek na dobrych wzorach zaprawiony!
Lub jeśli jeszcze waszym podobny klasykom,
Mam składać podłe hołdy Augustom, Ludwikom,
Więzy nieszczęsnych ludów ozłacać niegodnie,
I zbrodnią poezyi wspiérać tronu zbrodnię;

Bóg sam tego zabrania bym się tak ukorzył,
On mnie wieszczem mych czasów a nie małpą stworzył.

Przyznać potrzeba, że list o romantykach z mniejszą werwą pisany niż piérwszy, wyrzuca nowéj szkole niektóre dziwactwa, mianowicie co do nadużycia zabobonów gminnych, w czém najwięcéj pije do Zamku kaniowskiego. Ale w tym przypadku Morawski lubo znał się na znaczeniu poezyi i wyobrażeń ludu, jednakże pojmował je trochę za sielankowo, na sposób Karpińskiego i Brodzińskiego, — tymczasem gdy Goszczyński przedstawił Ukraińców w stanie roznamiętnionego szału z wszystkiemi skarbami ich poetyczno-rycerskiéj fantazyi — wydało mu się to potworném, dzikiém i niesmaczném. Zżymał się więc nad „Hajdamakiem w epopei“ a dlaczegoż nie zżymał się na Byrona za jego Larę, Korsarza, szpetniejszych łotrów niż Nebaba lub Szwaczka, już przez to samo że byli płodem rozgorączkowanéj fantazyi, a ci figurami z piętnem prawdy; rzeczywistością, a nie urojeniem.— Wreszcie Goszczyński obrawszy do swego poematu epizod z Koliszczyzny, nie mógł go trzymać w cichym, pogodnym kolorycie Wiesława. Owa Orlika skrwawionemi dłońmi znacząca na bia-

łych ścianach historyę swéj zemsty — to koloryt odpowiedni przedmiotowi, to namiętność stepowéj, półdzikiéj natury. Mimo tego w liście tym niebrak niektórych stron wybornie pochwyconych; mianowicie wyśmianie téj romantycznéj maniery udawania nieszczęśliwca, ściganego przez fatalizm, zawiedzionego w miłości, któremu nic nie pozostaje, tylko gardło sobie poderznąć. Niepodobna trafniéj ująć téj pretensyonalnéj komedyi, jak to Morawski zrobił, kiedy mówi:

Ledwie że się z Infimy, a nawet z pieluszek
Jakiś tam romantyczny wyrwie jeniuszek
Jużci się do nieszczęścia powołanym sądzi:
Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi.
Z jakiéjś tam urojonéj tęsknoty usycha,
Jé dobrze, pije lepiéj, a do grobu wzdycha.
Wiem ja że nie żyjemy w tak wesołym czasie,
By sama tylko radość brzmiała na Parnasie;
Lecz nacóż nam nieznane niedole określać,
Niedość-że nam istotnych, trzeba nowe zmyślać?
Trzebaż, trzebaż tak srodze przez ten jęk żałosny
Z pięknego maju życia zdziérać barwę wiosny,
Okradać z wszystkich pociech młodość przerażoną,
I nieba, ziemię, krwawą powlekać zasłoną;
Jakby już Bóg dobroci przestał światem władać,
I nie było mu za co dalszych dzięków składać?!

Goethego Werther i cały Byron byli oj-

cami tego wyśrubowanego niesmaku, udanych rozczarowań, chorujących boleściami wszechświata i wszechludzkości, z jakiemi *ex officio* występował każdy poczynający młodzieniaszek, co prawie nie żył i nic jeszcze nie doświadczył, a udawał że sęp Prometeusza wyjada mu wszystkie wnętrzności. Jak mniemani klasycy nie czuli i nie myśleli, tylko w ścisłych granicach swoich uwielbianych, powagę stanowiących wzorów, — tak nawzajem romantycy wmawiając w siebie cudzy stan duszy, cudzą indywidualność, grali komedyę i także nie wznosili się do samodzielności. Nic dziwnego; romantyzm będąc przejściowym, nie był w stanie od razu zdobyć wszystkich warunków, w jakich duch narodu okrywa się kwieciem najwonniejszéj poezyi; tém bardziéj, że te warunki mogły się zrodzić tylko w wielkich katastrofach, do jakich przygotowywało się życie narodu spieszące na Golgotę męczeństwa.....

Nie przewiduje tego Morawski w liście do romantyków, radzi im tylko brać przedmioty z ojczystéj historyi, a nie z bajek podkądzielnych, jakby to przyjęcie historycznego kostiumu, nawet z archeologiczną ścisłością, mogło zastąpić twórczość poetycznego daru, tam gdzie go nie ma?

Daléj uderza na gwałcenie języka i przytacza kilka wyrażeń wyjętych z ówczesnych poematów, nie powiem żeby szczęśliwie. I tak wiersz z Zamku kaniowskiego: „Mruczały mu sosny piosenkę żeglugi“ bardzo malowniczy, bo czytelnika przenosi na łódź dnieprową pomykającą w ciszy, przy szumie pobrzeżnych borów; podobnież inny wiersz: „Puhacz po nad śnieżne majaczący Tatry“ także nikogo dziś nie razi. Jedne tylko niepoetyczne przesady wyjęte z Sonetów Jana Nep. Kamińskiego jak wtenczas tak i dziś nie są wolne od śmieszności. Z argumentów tych, zbyt słabych żeby się mogły utrzymać, wzrastające co rok bogactwo języka piśmiennego, gibkość i barwność wyrabiającego się stylu, zrobiły doraźną sprawiedliwość. Romantyzm przez przybranie prowincyonalizmów, przez wyłamanie się z formułek przyjętych wyrażeń, w drewniany i mdły sposób pisania wlał życie.

Listy te, lubo pełno w nich zdań trafnych i pomyślanych głęboko, nie zrobiły w swoim czasie większego wrażenia, prócz że wywołały nieukontentowanie Kaj. Koźmiana, który widząc, że Mickiewicz zyskał zasłużoną pochwałę, a i o jego Ziemiaństwie była zaszczytna wzmianka,

napisał: „Jak ognia z wodą, tak mnie z Mickiewiczem łączyć nie można.“ — Morawski chciał oba stronnictwa pogodzić, jak to w ostatnich wierszach listu do romantyków powiada:

Jedna matka was swemi uwieńcza laurami,
Żadnéj lutni bezbożność lub podłość nie plami;
Jedno macie prawidło: bratnie kształcić plemię,
I jeden tylko rodzaj: polską śpiéwać ziemię.

Atoli zdrowe prawdy ani jednéj ani drugiéj stronie nie przypadły do smaku; upór z zarozumieniem nie mógł zawrzéć zgody.

Dziś, kiedy nas lat cztérdzieści przedziela od téj epoki tak pełnéj zajęcia i życia, możemy spokojnie spoglądać na dwa ściérające się prądy i streścić chatakterystyczne ich różnice.

Klasycy poddali się prawidłom i uważali je nie jako historyę sposobu pisania starych mistrzów, lecz jako środek służący nie tylko do naśladowania lecz i do tworzenia.

Romantycy przyjęli powagę myśli i uczucia indywidualnego; z estetyki zrobili umiejętność racyonalną, kiedy dotąd nie była niczém, tylko empiryczną receptą. Szkoła klasyków wylęgla na dworach, wykołysana w przyzwoitościach, delikatnych cieniowaniach, arystokratycznych wykwin-

tach, więcéj dbała o gładkie kontury niż o koloryt, więcéj o loikę niż o porywy fantazyi; będąc ubogą w uczucia, nie była bogatą w obrazy, zwłaszcza, że je nie brała z piérwszéj ręki.

Romantycy wcielili się w lud, stąd mniéj u nich ogłady, mniéj wyrafinowanych sentymentów, lecz natomiast więcéj życia.

Klasycy malowali ludzkość ogólnemi rysami, w abstrakcyjnéj pięknocie, mającéj siedlisko w jedności, nie dbając o koloryt miejscowy i o te drobiazgi, co dają fizyonomię i charakter.

Nowatorom romantycznym szło o prawdy żyjące, raczéj o prawdę indywidualną, niż obejmującą cały rodzaj ludzki; szło im o typy wyjątkowe, nie zaś ogólne. Ztąd tak zwani klasycy doszli do pojęcia piękności konwencyonalnéj, niewłaściwie przez nich nazwanéj ideałem; a że rodzaj ten nie obfity, więc i oni musieli obracać się w ciasném kółku i prędko skazać się na niepłodność. Romantyczność garnie w ramiona świat zły i dobry, szpetny i piękny, jaki przedstawia się w rzeczywistości, — gdy zaś idzie o wybór, z łatwością popada w gminną pospolitość lub gubi się w nieładzie i ekscesach rozbujałéj fantazyi. Słowem romantyzm mierzy w rozmaitość i nieograniczoność.

Ówcześni krytycy grubo mylili się, zadając nowéj szkole odbieganie starych form dla przyjęcia nowych; zerwanie z Horacym i Rasynem a przerźucenie się do Szyllera i Byrona. Nie nowych to wzorów szukano, żeby się im zapisać w poddaństwo, lecz dążono do samopoznania, aby z własnego ducha i z natury a nie z gotowych wzorów czerpać i tworzyć.

Aczkolwiek tedy dążność nowéj szkoły miała za sobą widoczną słuszność, aczkolwiek do utworów jéj paliła się publiczność, klasycy trwali w uporze, nie dając się niczém przekonać, ani mocą rozumowania, ani przykładami mówiącemi przeciw nim. Była to więc zaciętość stronnictwa zachowawczego, wietrząca po za dążnością romantyków — rewolucyę. Bojaźń utraty tego, co stało na łasce nieprzyjaciela, robiła ich nieprzystępnymi, nawet wstrętnymi nowemu ruchowi umysłów. Morawski pojmował tak dobrze jak i oni niebezpieczeństwo grożące egzystencyi Królestwa, atoli opozycya literacká, jeszcze na tak błachych podstawach, była w rozumieniu jego słabą zaporą. To téż kiedy Jędrzéj Koźmian napisał mu, dając radę, żeby w liście o romantykach wydrwił Mickiewicza i Litwę, odpowiedział w tych sło-

wach: „O Litwie i Polsce, coś mi pisał, nie wypada tego rozdrażniać ze względów polityki; łączyć trzeba nie rozdwajać, nawet w literaturze.“ On też jeden z obozu tego rozumiał, że należało ruch opanować a nie przez niedołężną opozycyę potęgować jego działanie. Z tąd rola jaką odegrał w tym literackim sporze, stanowiącym jedną z najożywieńszych epok w całéj naszéj literaturze, przynosi zaszczyt trafności jego sądu tak pod względem literackim jak obywatelskim. W drobiazgowych podjazdach na wybryki romantyków uchodził on za najdzielniejszego obrońcę obozu klasyków, — tymczasem był to u niego objaw niepodległego stanowiska, które sobie wyrobił, gdyż tak samo i na klasyków napadał, ilekroć bredzili. Koźmiany, Osiński i inni liczyli go przecież za swego, a ilekroć bronił przed nimi romantyków, powiadali mu: Czemuż sam tak nie piszesz jak oni? Najgorszy jaki być mógł argument przeciw autorowi, który chce być samym sobą.

Wśród rozmaitych kolei, przeważających szalę opinii, to na tę, to na przeciwną stronę, lecz częściéj na stronę nowatorów, walka dwóch szkół ciągnęła się aż do roku 1830, — i w każdym niemal liście Morawskiego znajduje się jaki ustęp

poświęcony to obronie romantyków, to karceniu ich, jak również nie brak docinków zwolennikom staréj szkoły, Szczególniéj Osiński, żyjący lat wiele okruchami staréj sławy, która z biegiem lat stawała się coraz bardziéj problematyczną, dostawał od niego potężne cięcia. Kajetana Koźmiana, lubo zdań jego nie dzielił, kochał najtkliwszą przyjaźnią i wysoce ważąc dar jego pisarski, ciągle zachęcał do skończenia Ziemiaństwa a nawet często poddawał mu myśli i obrazy, w których całemi garściami rzucał bogactwo swéj wyobraźni. Pomylił się jednak w tém, gdy sobie wyobrażał, że Ziemiaństwo zagłuszy wszystkie płody romantyków. Sama natura tego poematu opisowo-dydaktycznego nie mogła rywalizować z utworami, co tak głęboko wstrząsnęły duszą narodu. Zjawienie się Wallenroda powinno mu było otworzyć oczy i nasunąć wątpliwość, czy malarz trzymający w ręku paletę Georgików i wpatrujący się w rysunek Wirgila pilniéj, niż w przedmiot swój, będzie mógł z prawdą życia i charakterystyczną wiernością oddać wizerunek polskiéj ziemi i jéj rolnictwa. Morawski, wielki czciciel formy, dał się nią złudzić, zapominając, że najpiękniejsze, najmisterniéj zrobione wiersze, mogą być pozbawione

wewnętrznego ciepła i tego wyrazu, co zniewala i podbija.

V.

Z jenerałem Wincentym Krasińskim łączyła Morawskiego dawna zażyłość w szeregach wojskowych i pewien literacki stosunek, Krasiński bowiem lubił mecenasować literaturze i rad gromadził u siebie ludzi odznaczających się talentem pisarskim. Jeszcze w roku 1814 na jedném z takich posiedzeń poobiednich, gdzie się znajdował Niemcewicz, Osiński, Koźmian, Morawski i wielu innych, podał on myśl, aby ktoś napisał wiersz o Czapce. Dopełnił tego Morawski w kształcie listu na sposób Krasickiego, a nawet na końcu bardzo pochlebny dołożył komplement w tych słowach: „Mógłbym coś nadmienić na pochwałę Czapki jenerała, ale i temu dam pokój, chociaż była nieraz tém, czém pióro Henryka IVgo.

Zdołałbym może wzbudzić Muzę śmiałą,
I godném ciebie odezwać się pieniem,
Lecz ty uciekasz przed każdą pochwałą,
Jak nieprzyjaciel przed twojém imieniem.

Pochlebny ten cztérowiersz zgadzał się z opinią, jakiéj Krasiński używał po przyprowadzeniu

wojsk polskich z Francyi; był więc jéj wyrazem a nie kadzidłem.

Poźniéj, jak to w kilkunastu listach Morawskiego pisanych z Lublina do Krasińskiego wyczytuję, owo uwielbienie spadało coraz niżéj, a zamiast komplementów spotykają się nieraz gorzkie prawdy, szczególniéj co do wyobrażeń arystokratycznych, któremi Krasiński przesiąknięty, posuwał je aż do śmieszności, wywodząc starożytność swego rodu z pomroków najodleglejszéj przeszłości — za co Morawski nie szczędzi przycinków tak jemu wprost, jak w listach do przyjaciół.

Najlepiéj stosunek ten wyjaśni się, gdy podam wyjątki z owych korespondencyi, mających oprócz tego wartość literacką.

(Z r. 1824).... „Nie wszczynam na nowo „naszéj kłótni wiecznéj o arystokracyi, do któ„réj jenerał zdajesz się mnie wzywać. Kiedy „tyle historycznych dowodów a zwłaszcza krajo„wych, nie przekonało was moi panowie, i tyle „wzorowych rozumowań o tém, na cóżby się zdała „moja gadanina? Nie odmień jenerał swego „zdania, ale i ja mego nie odmienię, — proszę „mi tylko pozwolić, abym bez obrazy krwi Jowi„szowéj śmiał się z takich figur jak Mniszech,

„*chez qui la naissance est le premier merite d'un*
„*être moral*,... i który Bogu dziękuje, że nie czło-
„wiekiem, lecz że się Mniszchem urodził. Nigdy
„ja nie utrzymuję, aby gardzić chwałą swoich
„przodków, lecz że nie należy z niéj się chełpić,
„bo ona nie jest prywatną, lecz narodową wła-
„snością, a więc nie do nich należy, lecz do
„ogółu. Przywłaszczać sobie spływającą jéj za-
„letę, jest to żądać przywileju od publiczności
„na cudze zasługi. Mówią magnaci, iż to jest
„bodźcem dla potomków do szlachetnych czynów.
„O jak to smutne przeznaczenie, kiedy źródła
„szlachetności nie w sercu, nie w godności czło-
„wieczéj natury, lecz w tym pożyczanym zaszczy-
„cie szukać potrzeba! Przecież ci tak sławni
„przodkowie w sobie je znaleźli. Bóg inaczéj
„sądzi niż świat. Adam starszym był zapewne
„od wszystkich familii, a przecież djabli wzięli
„Kaina. Nic mu nie pomogła czysta krew ro-
„dzicielska, a czyściejsza zapewne, niż wszystkie
„najświetniejsze krwie magnatów. Ale dość tego.
„Nie — jeszcze słówko! Czy téż jenerał czytał
„Okolice Krakowa, gdzie w przypisku Wężyk
„żąda od jenerała wzniesienia Łobzowa. Nie dla
„tego ja mówię tu o tym poemacie, lecz jedynie

„aby powiedzieć, że tam się przekonałem istotnie, „że nasz Jaksa jest z tych starożytnych Jaksów „niegdyś tak sławnych. Dalibóg, że to nie żart „*Il l'est réellement*.... Wykłóciwszy się z arysto- „kratem, ściskam przyjaciela i życzę mu zdro- „wia i wszystkiego, co Polaka i człowieka cie- „szyć może....“

W innym liście do Jędrzeja Koźmiana tak pisze o téj antenatomanii Krasińskiego:

„W jakimże humorze wrócił jen. Krasiński? „Nie przywiózłże potretu jakiego przodka sięga- „jącego potopu? Rozczytawszy się w kronikach „ojczystych, przekonałem się, że Korwiny nie- „zmiernie dawne.

Jednego zdobi ta godność wysoka,
Że wraz z Krakusem zamordował smoka;
Drugi z nich Lecha monarchą wykrzykał,
Trzeci z Popielem przed myszami zmykał;
Czwarty przed Wandą wiódł hufiec marsowy
Jako kasztelan drążkowy.
Lecz gdzież mię śmiały polot doprowadził,
Któżby określił dawność téj rodziny?
Dość że z nich żaden ojczyzny nie zdradził,
Wiwat więc, wiwat Korwiny!

„Muszę przestać, bo tak szaro i ciemno, „jak w komisyi oświecenia....“

List powyższy pisany był w 1827 r. Popularność jenerała Krasińskiego dość była wtedy zachwianą, lecz nie zgubioną.

W tymże roku z noworoczném życzeniem taki przesłał list Krasińskiemu:

„W dzień pocztowy odebrałem zasmucające „listy, a przez zaniedbanie pocztmistrza oddano „mi list jenerała w trzy dni dopiero po jego „przyjściu, to jest dzisiaj. Doświadczyłem więc „tego, co Molski mówi:

Dobre żółwim idzie krokiem
Złe na orlich skrzydłach lata.....

„Przesyłasz mi jenerał życzenia na rok no- „wy. Daj Boże, aby się sprawdziły, a razem „i moje dla Jenerała. Ale jakąż nadzieję ich „spełnienia mieć można, kiedy się już przyszło „do téj ostateczności, że się już nie złemu, ale „dobremu dziwić trzeba, a cnotę tak chwalić, „jakby coś nadnaturalnego w człowieku. Przejdź- „my w inną sferę, bo ta nadto zimna, ciemna „i głupia. Mówmy o wierszach, prozie, rozumie „i bredniach, to jeszcze może rozproszyć smutki. „Z łaski rudéj peruki, to jest Niedoperza*) na- „szego, co po trzy miesiące paki ksiąg zatrzy-

*) Kalasantego Szaniawskiego.

„muje, nie wiem co się dzieje w stolicy, i le-
„dwie z odgłosu coś usłyszę. Cóż to tam dzieł
„i pism peryodycznych z nowym rokiem wyleciało:

Mogęż ja téj wieści wierzyć
Że się sława literacka
Tak zaczyna znowu szerzyć
Jak w obfitym wieku Jacka*),
Że nie syty tylu rymów,
Jaksa z prozy chce być znany,
I już fury synonimów
Płockie nam wiozą furmany,
Że nie szczędząc trudów, potu
Wszystko głęboko rozmyślił
I pełen swego przedmiotu
Najlepiéj głupstwo określił;
Że Grzymała przy nadziei
Już nam trzeci połóg głosi,
I że wielki trup Astrei**)
Znowu się z grobu podnosi.
Że ten upiór na parnasie
Tak się często jawi, kryje,
Iż sam w strasznym ambarasie
Nie wie, czy umarł, czy żyje.

---

*) Jacka Przybylskiego, który także, podobnie jak Marcinkowski, uważany był za typ wierszoklety.

**) Franciszek Grzymała wydawał Astreję, bardzo nieregularnie wychodzącą.

Że się wreszcie tak w balladzie
Zatopiła wieszczów tłuszcza,
Że już stróżów w rym swój kładzie,
Żydom nawet nie przepuszcza;
Wali dzieła do śniadania,
Drugie kończy do wieczora,
A Szaniawski się ogania
Okropnym mieczem Cenzora.

„Nucą więc i nucą poeci, a z drugiéj strony herbaty „tańcujące, assamble, pikniki, kluby i muzyki „grzmiące.

„Nie dziwią mię te hałasy,
Głośne bale, bardów pienia,
Bo téż to właśnie są czasy
Do śpiewania, do tańczenia.
Niech się trzpiocą jak szaleni
Cieszą chwilą tak ochoczą,
W wielkich skokach wyćwiczeni
Może i Polskę przeskoczą.

„Może przeskoczą i więcéj, ale nie o tém mowa. „Niebezpiecznie jest wymieniać fałszywe skoki, „i ja téż nie jestem bocianem abym świat ten „z żab wyczyszczał. Ale *apropas* żab, co téż tam „robi nasz Żabcio?*) Mnie się zdaje iż chodząc „między przodkami jenerała, powinienby tam ja-

*) Żaboklicki mistrz ceremonii, przedmiot żartów *Niemcewicza* — niemniéj i Morawskiego.

„kiego przodka przedpotopowego poznać. Wié „jenerał co ja myślę: oto że i Żabcio będzie kie- „dyś sławnym przodkiem. Któż powié patrząc na „jego figurę, że utył na krajowym chlebie. Czyż „niesumiennie dopełnił swoich powinności? Czyż „nie służył bez orderu; bez zapłaty? Powié kie- „dyś późny historyk:

„Że i jego sława wzniosła
Świetnym obdarzyła stanem,
Że był dworakiem z rzemiosła,
Tylu królów szambelanem!
Lecz go o podłé wyścigi
Co się nieraz innym zdarzą,
I o dowcip do intrygi
Nigdy dzieje nie oskarżą.

„Będą go więc tak potomkowie jego głosili, jak „Jenerał swoje Sławki i Jaśki głosi, i wsparci na „jego sławie będą swoją wykrzykiwać:

„Będzie w późnych żabach słynąć,
Dojdzie do wieków tysiąca,
Nie da wielkiéj Żabie zginąć
Żabek wrzawa grzechocząca.

„Ale dość już prozy i wierszów; żegnam „i ściskam Jenerała; poczta za kwadrans odcho- „dzi, muszę kończyć.“

Pełno tu ostrych przymówek: Żaboklicki był

dworakiem, ale nie intrygantem, był śmiesznym ale uczciwym; kiedy W. Krasiński coraz więcéj tracił niepodległe stanowisko i występując przeciw ofiarom spisku, stawał się narzędziem W. księcia Konstantego i rządu rosyjskiego, Morawski w żartobliwym tonie swych listów daje mu to uczuć wyraźnie. W listach do Kaj. Koźmiana jeszcze ostrzéj się wyraża o nim, i odkrywa jego ambitne widoki:

„Cztéry karty listu odebrałem od Krasiń-„skiego, ale niech mię djabli wezmą, jeźli wię-„céj nad dwa peryody zrozumiałem. Pachniał „jeszcze papier szampanem. Namiestnik*) podo-„bno chory; pewno się Opinogórczykowi będzie „po łbie roiło; wszakże on myślał w Fontaine-„bleau że go królem obiorą, więc i tu mógłby „znowu marzyć o namiestnictwie. Ściskam Cię „i Jędrusia, jako poczciwą jeszcze krew polską.“

To ostatnie wyrażenie się o poczciwéj krwi polskiéj widocznie malowało jego oburzenie na zabiegi i przymilania się Krasińskiego w Belwederze. W innym liście, także do Koźmiana, znowu zaczyna tę materyą, widać że nie może

*) Książe Zajączek.

strawić tego odstępstwa dawnego towarzysza bojów:

„Co ten człowiek zamyśla? Mógł przestać „na medalu który sam sobie wybił. Niedosyć-że „jednego głupstwa? Trzebaż koniecznie fundato„rów różnych imion po kościołach skupywać, i na „Korwinów przerabiać? Dosięgnął już swemi por„tretami aż do Ziemowita; któż wie gdzie nie „dojdzie?

Jak ów Rzym szukający zkąd niegdyś pochodził,
Początek swego rodu z wilczycy wywodził,
Tak też kiedyś Korwinów linia wysoka
Dójdzie aż do cielęcia, które struło smoka.

We wszystkich tych ucinkach mnóstwo dowcipu, ale i wiele goryczy i oburzenia się; co pokazuje że do antenatomanii będącéj dość niewinną śmiesznością, łączyły się i inne grzechy, których szlachetne szczero-polskie serce Morawskiego strawić nie mogło.

Nareszcie w liście do Jędrzeja Kośmiana (z 5 stycznia 1829) jest jakby aluzya do postępku Krasińskiego w sądzie sejmowym, który wywołał takie nań oburzenie w całym kraju. Widać że z obawy wydania się ze swoim sposobem myślenia, kryje się pod ogólnik:

„Znowu więc Niemcewicz postrzelił kota; „czemuż ja na to nie patrzę? Radbym słyszeć co „mówi o pewnym Jegomości; jakże go obracać „musi!“

Jak z wszystkich skarbów ziemi których Bóg użycza
Najpiękniejszym jest darem przyjaźń Niemcewicza;
Tak, gdy szydzi z podłości, gromi złość potwarczą,
Całe piekło ją swoją nie osłoni tarczą.
O nie znajdziesz sroższego pogromcy niecnoty,
Tyrana bab stołecznych i bicza na koty;

Rzeczywiście Niemcewicz, który był najzwyklejszym gościem w domu jenerała Krasińskiego, zerwał dawną zażyłość i noga jego nigdy więcéj tam nie postała.

VI.

Morawski stojąc kwaterą w Lublinie, a mając żonę cierpiącą, i drobnych dwoje dziatek, często dla zdrowia wysyłał ich na całe lato do Piotrowic, prześlicznéj wsi, będącéj własnością Kajetana Koźmiana, i sam często tam dojeżdżał.

W jednym liście tak opowiada swoje wrażenia:

...„Cóż to za prześliczna wieś te Piotrowi„ce! nie znam piękniejszéj w Królestwie. Tam „z żoną moją przywitaliśmy pierwszy dzień tego-

„rocznéj wiosny. Szczérze powtarzam, że co do „położenia miejsca nie znam w Polsce nic ró- „wnego; mały horyzont, jak na ciche i zamknięte „życie wieśniaka przystoi, — lecz wszystko co „zamyka ten horyzont, góry, gaje, pola, ogród, „jakże to jest czarującem, i nie pozwala żałować „tego, czego się nie widzi za oznaczonym tak „pięknie zakresem. W jedném tylko miejscu oko „wysuwa się w dal i spoczywa na ruinach By- „strzycy, — ale jakże mile tam prowadzone po- „nad wzgórzem okrytém lasami cudownie cienio- „wanemi; i to wszystko dla powiększenia uroku „odbija się w czystych i rozległych wodach. Co „to za szczęście, że los nie przeznaczył takiego „miejsca dla Okołowa, lecz dla poczciwéj krwi „Waszéj! Żyjcie tam szczęśliwie przez wszystkie „pokolenia.“

Prawdziwie młodzieńcze, poetyczne to uczucie, z jakiém wita ustroń wiejską, gdzie późniéj, gdy Jędrzéj Koźmian, objął gospodarstwo, często lubił wybiegać, jak to w jednym czterowierszu wyraził:

„Gdybym tak często biegł do twéj ustroni
Jak się sercu przypomina;
Nie stałoby wozów, koni,
Od Piotrowic do Lublina.“

Tutaj on własną ręką posadził kilka drzew na pamiątkę śmierci Byrona, swego ulubionego poety; o czém pisze do Jędrzeja w tych słowach: „Musimy obaj posadzić kilka drzew w Pio„trowicach jako w pierwszą rocznicę zgonu By„rona, ale nie gadaj o tém, bo to gotowiby wziąść „za drzewo...“ Łatwo dorozumieć się że: wolności.

Z Byrońskiem téż współczuciem mówi o Grekach: „Zaléj się łkrwawemi łzami! Missolongi „wzięte! Najwarowniejsza twierdza Greków zdo„byta; zbezczeszczone mury uświęcone zgonem „Byrona. Lud wskrzeszony, lud wielki upada, a „święty *Alliance* jak najlepiéj zapewne przespał „tę noc okropną zdobycia téj warowni. Podobnaż „to jest, aby Bóg im w wówczas nie był prze„słał jakich mar dręczących we śnie!...“

Pierwéj o wojnie hiszpańskiéj, i o sławnéj wyprawie Angoulema na przytłumienie wolności półwyspu, inaczéj się wyraził:

„Skończyła się więc wojna hiszpańska, król „wraca do Madrytu:

Głoszą wjazd Ferdynanda okrzyki narodu,
Wiodą go przez ulice kwiatami usłane;
Tak to niegdyś i Troja do swojego grodu
Ciągnęła bydle drewniane!“

Morderczy epigram! w aluzyach politycznych dowcipy Morawskiego możnaby porównać do tych ognistych strzał, które gniewny Feb miotał pod Trojąna Greków; nie ma w nich ziemskiego błota, jest tylko niebieski ogień oburzonego poety. Jakaż to różnica od dzisiejszych tylu pisemek wyłącznie poświęconych politycznemu dowcipowi, gdzie w braku niebieskiego ognia, naboje są z błota! Na nieszczęście wyborne te epigramaty nie miały w swoim czasie prawie żadnego rozgłosu, chyba w kole kilku poufnych przyjaciół — pisane po francusku, byłyby świat obiegły.

O ile Morawski nie przepuszczał żadnéj podłości, głupstwu, nikczemnemu płaszczeniu się, serwilizmowi, o tyle serce jego napawało się radością, gdy przyszło oddać hołd jakiéj cnocie i patryotycznym zasługom. Kajetan Koźmian przysłał mu był swoją wyborną mowę na śmierć jenerała Mokronowskiego towarzysza i przyjaciela Kościuszki, męża rzymskich cnót i heroicznych poświęceń się. Otóż co pisze o niéj:

„Odebrałem twoją mowę, za którą ci najser-
„deczniéj dziękuję. Cztéry razy odczytałem ją
„w godzinie i jeszcze czytać będę. Kiedyż bar-

„dziéj dusza podobnego potrzebowała pokarmu?
„Godnym był twego głosu Mokronowski:

„Tak byłyby godnemi nawet twego rymu
Całe życie cierpienia, i czyn godnym Rzymu."

„Całe dzieje jego życia, cała osnowa téj mo-
„wy, zamykają się w tym ostatnim wierszu. In-
„ni przeczytali twoje pismo, wzruszyli się tkliwo-
„ścią jego, pochwalili piękności obrazów, lecz ja,
„który cię znam tak dobrze, odkryłem w twojéj
„mowie jeszcze ukryte ślady tych uczuć i myśli,
„które w świątyni twojéj duszy pozostały, a któ-
„rych dla okoliczności wolałeś nie wyjawiać. I do-
„brześ zrobił. Do kogóżbyś tam przemówił
„głosem twéj duszy, już może dla wszystkich nie-
„zrozumiałym? Powiedz Niemcewiczowi, że mu
„mój mały Tadeusz jako chrzestnemu Ojcu nogi
„całuje. Bogdajby choć w części chciał go nagro-
„dzić ojczyznie! Twego miłego, dobrego i wrzą-
„cego Makbeta*) całuję. W tém to pokoleniu
„cała nadzieja."

„Muzo polska! pieśniami wsławiona smętnemi."
Ty, coś w wolnéj, dalekiéj Washingtona ziemi

*) Tym Makbetem jest Jędrzéj Koźmian, zajmujący się już wtedy przekładem téj trajedyi Szekspira.

Przez usta Niemcewicza przemawiała z jękiem
Wzruszała ją twym losem, zadziwiała dźwiękiem
Ozwij się, ozwij piękną ojców naszych chwałą,
Zapal ogniem słów twoich tę młódź pozostałą,
Przypomnij przekazaną tylu cnót puściznę,
I przynajmniéj w jéj sercach uratuj ojczyznę.“ —

Jak uwielbiał surowy charakter, niezmordowaną pracowitość, ascetyczną skromność życia Staszica, te kilka słów z listu do Jędrzeja Kośmiana najwymowniéj objaśnią:

„Już siódmą elegię odbieram na zgon Sta„szica. Cóż to za brednie! Czy im Lubecki pła„ci za to, czy też to zemsta wieszcza Ilionu? tak „się bowiem nad nim pastwią, jak on nad Ho„merem!*) Czemuż tylko oni piszą, czemu twój „Ojciec się nie ozwie? Klasyczne cnoty godne „klasycznego pióra. Ja dziwić się jedynie i uwiel„biać mogę. Plutarch by nim nie wzgardził. „W społeczeństwie warszawskiém będą coś wy„szukiwać zapewne na niego, jak tego tylekroć „świadkami byliśmy; jedni będą śmieszności pod„chwytywać, drudzy skryte jakieś wynajdywać „występki; bo taka kolosalna cnota nadto dru„gich poniża, a tego miłość własna nie przeba-

*) Staszic tłumaczył Iliadę wierszem białym.

„czy, zwłaszcza tych, co się chcą koniecznie unie-
„śmiertelnić nie zważając na sposoby i środki.
„Dadzą oni pokój Czarneckiemu; nikt mu nie
„przeszkodzi trawić przedziwnie i czołgać się
„przed wyższymi. Bierz ich diabli; a nawet ka-
„sztelana naszego; niech sobie zajada, niech się
„podli; któż zrozumie Twórcę! może i takich
„błaznów potrzeba.“

W późniejszym liście do tegoż objawia myśl swoją uczczenia pamięci Staszica, który jak wiadomo w majętności swéj Hrubieszowszczyznie nadał grunta i wolność włościanom, czyli po prostu zrobił ich spadkobiercami swego majątku:

„Miałem myśl kupić zagrodę sobie w Hru-
„bieszowszczyznie i wpisać się między tamtejszych
„włościan, nikt do tego czasu tego nie uczynił;
„a byłoby to najpiękniejszém uczczeniem pamięci
„wielkiego obywatela. Ale jak się dowiedziałem,
„wszystko rozkupione, i przytém w mojém będąc
„położeniu mógłbym *kogoś* przez to podrażnić.
„Muszę więc zaniechać tego, choć to nie mała
„męka wyrzec się pięknego przedsięwzięcia.“

Nie można znaleść trafniejszych zdań, jak te co podaje o tak zwanéj dobroczynności stołecznych dam:

„Nie wiem, pisze on do Kajetana Koźmiana „— co w. książe na to powié, że Rautenstrauch „swojéj żonie pozwolił grać na publicznym tea„trze; jest bowiem cokolwiek różnicy na sali do„broczynności, a na teatrze. Obaczysz że będą „gniewy. Po co oni Osińskiemu psują chléb; nie „bardzo to dobroczynny zamiar. Czemu raczéj „o biednych chłopach i żebrakach sami panowie „nie myślą, co to po ich wsiach żołędzie jedzą, „dzieci mnóstwo z nędzy umiera i z nieszczepio„néj ospy, a żebraków tyle, o których się ani „spytają dziedzice? Pierwszy obowiązek pomyśleć „o tych, których nazywamy się panami, a którzy „siły swoje dla nas stargawszy przyszli do nędzy. „Możnaby bezpiecznie Warszawie zostawić opa„trzenie swoich; lecz wtedy dobroczynność peł„niona na wsiach nie wpadałaby tak w oczy; nie „możnaby z niéj takiéj parady robić. Oto cały „sekret. Czy téż uważasz, że między kobietami „Towarzystwa Dobroczynności, nie masz i jednéj „z miejskiéj klasy, lecz wszystko magnatki.“

Posłuchajmy co mówi o misyach nakazanych „w całém królestwie i odprawianych z wielką okazałością:

„Co się tyczy misyi, urządzenie o którém

„mi piszesz ma w sobie wiele dobrego, ale pomi-
„mo religii którą czuję w sobie dość głęboko,
„same misye nie zawsze są dobre, podług mego
„zdania. Po co ta nadzwyczajna reprezentacya
„religijna? Na co ta krucyata księży przeciw
„zbrodniom? Cóż to tak nagłego wymaga lekar-
„stwa w świecie moralnym? Czyż mniéj jest re-
„ligii w sumieniach, niżeli przed dwudziestu laty?
„czy więcéj rozpasania w stadłach małżeńskich
„i mniéj cnót domowych? Nie, zapewne. Z téj
„strony przynajmniéj lepsi jesteśmy od przeszłego
„pokolenia. Przedtém wszyscy prawie mężowie,
„ żony, zwłaszcza w stolicy, byli źli; a teraz już
„ich pojedyńczo cytujemy. Pytam się teraz czy-
„śmy tę zbawienną zmianę misyom winni? — Są
„zbrodnie na nowo grożące moralności świata,
„ale o tych nie będziemy słyszeć w misyach jako
„to: o podłości, obojętności, zbrodniczéj trwodze
„i braku wstydu obywatelskiego: Natoby trzeba
„krucyaty; ale jéj nie będzie. Nie widzę innego
„rodzaju zbrodni zagęszczonych; każdy doświad-
„czeniem spokojniejszy i moralniejszy, a szcze-
„gólne przykłady nie są dowodem. Zresztą, po
„co lud wyciągać z okręgów parafii? Pleban zna-
„jąc bliżéj swego parafianina, zajmuje się niejako

„wychowaniem moralnem jego sumienia; jemu to „są wiadomsze stosunki wszystkich, i wie lepiéj „jak do każdéj ze swoich owieczek przemawiać, „i jaką drogą trafić do jéj sumienia. Tam więc „każdy parafianin szczególnie udawać się powi- „nien, tam się zwierzać swoich cierpień, błędów; „tam szukać rady, przykładu i pociechy! Ten mó- „wimy nauczyciel jest najlepszy, który najlepiéj „zna swoje dziecko; ten doktor jedynie dobrze „leczyć może, który niemal całą historyę naszego „zdrowia od lat wielu poznał. Czyż tego samego „rozumowania przenieść nie należy i do kierowa- „nia sumieniem? Powiedzą mi może, że plebani „nie dobrzy. Prawda; ależ inni czy więcéj świa- „tli i moralniejsi? Na nieszczęście robi to wszy- „stko jakaś mania effektu, reprezentacyi tea- „tralnych, parad, które już śmiesznemi się stały. „Na cóż więc i tę pracę duchowną wystawiać na „drwinki uszczypliwe? Krudener i Hohenlohe „wszystko to jest ta mania effektu; i zobaczysz „co to dziwolągów gadać nam będą o skutkach „misyi. Może nawet Skarszewski*) będzie robił

*) Skarszewski biskup lubelski, potem mianowany arcybiskupem warszawskim. W czasie rewolucyi w 94 r. w Warszawie, już go ciągnio-

„cuda? Gdybyć przynajmniéj djabła z Okołowa*) „wypędził, to by się misye na coś jeszcze przy- „dały.“

Lubo nie ze wszystkiem można się zgodzić na argumenta podane w powyższym ustępie, które jak się domyślam były zbijane przez Koźmiana, jednakowoż człowiek tak pełen religii jak Morawski, nie byłby uderzył na misye, gdyby nie ówczesne okoliczności towarzyszące ich zaprowadzeniu. Miały one bowiem więcéj cel polityczny, niż zbawienie duszy na względzie. Objawiające się tu i owdzie związki tajne, odzywania się z żądaniami rząd niepokojącemi, nasunęły, jako środek zaradczy nieukontentowaniu, odprawianie misyjnych nabożeństw i kazań; wyobrażano sobie bowiem, że religia na to jest od Boga daną, aby wszystkie nadużycia i niesprawiedliwości rządzących brała pod swój płaszcz, i aby pod jéj moralnym naciskiem nie wyszedł żaden jęk z serc pokrzywdzonych. Szczególniéj za cesarza Aleksan-

no na śmierć, lecz Kościuszko ocalił go przed zawziętością ludu.

*) Okołów ten był factotum Zajączka, cynik i materyalista! wybornie sportretował go K. Koźmian w swoich pamiętnikach.

dra kościół katolicki doznawał wielkiéj protekcyi, ma się rozumieć w tym tylko widoku, że będzie szedł ręka w rękę z absolutyzmem, gasząc światło i tłumiąc uczucia wolności. W Warszawie było kilka znacznych figur tak cywilnych jak duchownych działających w tym kierunku. Morawski świadomy tych stosunków, zrozumiał cel owych misyi i dla tego tak się przeciw nim oburzył.

W dwadzieścia parę lat poźniéj, kiedy słyszał o misyi księdza Antoniewicza odprawianéj po ekscesach r. 1846 między ludem nie obmytym jeszcze z krwi niewinnych ofiar, zapewne powyższego ogólnego zdania, nie byłby drugi raz bez pewnych zastrzeżeń powtórzył. Że potępienie misyi nie było u niego bezwarunkowe, najlepiéj przekonywa list do Stanisława Koźmiana pisany w r. 1852 z 11 Maja, gdzie tak się wyraża:

„Wracamy z misyi Krobskiéj, gdzie przez „ostatnie dni było ciągle 25000 ludzi. Nie tylko „błogie, ale nadzwyczajne było wrażenie. Szkoda „że bierzmowania na inny czas nie odłożono, bo „dwa cele, zamiast jednego, rozpraszały uwagę „jedno niejako drugiemu przeszkadzało. Księży „było ciągle przeszło czterdziestu, i wszyscy gorli„wie pomagali. Sądzę że odniosą przekonanie, że

„aby czynić wrażenie z kazalnic, tak jak na mi-
„syach, trzeba przemawiać do serc, a nie na kilku
„moralnościach, słowami pisma Ś. okraszonych,
„przestawać. U nas nabożeństwa, uroczystości, za-
„wsze były godne i przyzwoite, lecz z kazalnic
„uboga tylko suchość spływała, gdy przemowy ka-
„znodziejskie jedynie wstrząsnąć dusze ospałe i
„skibę grubą grzechu odwalić mogą. Uważałem
„nieraz że im lepsze kazania w jakim kościele,
„tém i parafie lepsze. Daj Boże, aby to się zmie-
„niło choć w części. Po lepszych kazaniach będą
„i lepsze spowiedzie, a po lepszych spowiedziach
„i życie lepsze."

Żywą obdarzony wyobraźnią, przytém krwi gorącéj, wszystko mocno brał do serca, mianowicie gdy co obrażało w nim wrodzone uczucie szlachetnéj prawości, lub rzucało jaką plamę na ten biały całun, w który on ideał Matki Polski oblekał.

Oto ustęp z listu do Kajetana Koźmiana, mogący służyć za komentarz do ówczesnych wypadków, zasmucających serce dobrego obywatela:

„Twój Jędruś jest u mnie, i cały dzien dzi-
„siejszy zabawi... Czytał mi co mu matka o egze-
„kutorach testamentu O....iéj napisała. Cóż to

„za okropne brudy! ktoby się tego był spodzie-
„wał. Właśniem mówił twemu synowi, że ubywa
„liczba ludzi poczciwych, co jest większą stratą
„nad to, co nam śmierć zabiera; bo słabieje wia-
„ra w szlachetność, prawdę i cnoty człowieka.
„Smutno, okrutnie nawet jest psuć illuzyę mło-
„dzieńcowi o ludziach, właśnie gdy ma wchodzić
„z nimi w bliższą styczność; ale niech wie, że
„trzeba dopełniać niknącéj liczby uczciwych, aby
„nie skazać cnoty na samą sławę tradycyi, że
„tam kiedyś ludzie mogli być jéj zdolni. Kiedyż,
„kiedyż doniesiesz mi o czém szlachetném i wiel-
„kiem! Gdybym miał twój, to jest prawdziwy ta-
„lent, dziśbym ody, poemata, sielanki i wszystko rzu-
„cił, a tylko na szerzącą się zbrodnię gromy poezyi
„rzucał. Gdybym był kapłanem, wołałbym o po-
„prawę, i malowałbym ohydę czasu i godności
„chrześciańskiéj, nieśmiertelnéj duszy. Gdybym
„był królem, całéj władzy-bym użył przeciw
„téj niesłychanéj klęsce. Wiem jaki smutek mię
„czeka za przybyciem do Warszawy; powtórzy
„się dla mnie tylokrotne zdarzenie, że tych sa-
„mych panów, którzy oburzenie powszechne spra-
„wili, będę znów widział, jednych cierpianych,
„drugich lubionych po salonach; bo jak pamięć

„cnoty, tak i wspomnienie zbrodni zarówno sła-
„bieją z czasem,.. Kończę list, bo więcéj pisać nie
„mogę; wolę zwrócić się do Jędrusia, i w nim dwóch
„poczciwych kochać, cieszyć się tą nadzieją, że kie-
„dyś moim dzieciom może być przykładem, i tak
„przelewając z serca w serce szlachetność swych
„uczuć, przedłużać istnienie cnoty... Bądź zdrów,
„jeźli nim w tych czasach być możesz....“

W innym liście do tegoż w podobnéj materyi:

„....Gorsze stokroć od romantyzmu to zło-
„dziejstwo. O Boże Ojców naszych, także się to
„łatwo stary i szlachetny naród mieni! Są to
„wprawdzie zbrodnie kilkunastu tylko osób; lecz
„dawniéj nie stowarzyszała się zbrodnia, i nie
„śmiała się z tą bezwstydną spokojnością bronić.
„Byłem w Poznańskiém, — dowiedziawszy się o tém,
„myślałem, że widok śmierci matki wyczerpał
„całą boleść z serca, kiedym uczuł, że silniéj je-
„szcze prawie rozdartém być może. Chlubiliśmy
„się, że krwawe zbrodnie nie są w naszym cha-
„rakterze, i jakby lepszym wyborém, podłych się
„chwytamy. Na tożto broniliśmy sławy, honoru
„Polski, aby wszystko razem zbłaźnić?!“

Przyjaźń jaką miał Morawski dla Kajetana

Koźmiana, nie tylko przeniósł na jego syna Jędrzeja, ale jeszcze kochał go sercem ojcowskiém, i można powiedzieć, że radami swemi wiele wpłynął na wyższy kierunek, jakim ten młodzieniec szedł w życiu. Dość przytoczyć jeden list pisany doń z tak głęboko mądremi uwagami, że możnaby je zamienić w kodeks, obowięzujący całą naszą młodzież na dziś i na długo jeszcze.

„Dobre wychowanie, światło i szlachetne „skłonności, kładą na cię wielką odpowiedzial- „ność. Staraj się, abyś był wzorem do naślado- „wania, zawstydzeniem niedobrych. Spojrzyj tylko „co się z naszą młodzieżą dzieje? Wkrótce gnu- „śność tylko, elegancya, karty, a może i pijaństwo „całém ich zostanie zatrudnieniem. Błąkają się „biedni nie mogąc celu żadnego zachwycić. Do „was to lepszych młodzieńców należy wskazać „ten sposób szlachetniejszy użycia dni swoich. „Niech tylko każdy tyle się przyczynia ile może „do dobra powszechnego; ten w obowiązkach zie- „mianina, ten w familijném życiu, ten na małym „nawet urzędzie, gdzie wzór dany najzbawienniej- „szym być może; ten nakoniec, w wojsku; — a „musi coś z tego urość dobrego dla całości. „O jakżebym ja was wszystkich młodych z lepsze-

„mi uczuciami chciał widzieć w publicznéj usłu-
„dze i wszystkich dla przykładu i zachęcenia do
„czynności, zaczynających od najniższych urzę-
„dów. Nie same wtenczas półgłówki i łajdaki
„cisnęłyby się do nich; a wasz sposób zacny
„sprawowania się na nich, stałby się wzorem dla
„drugich. Póki temi drobnemi miejscami pogar-
„dzać będziemy, dla tego, żeśmy światlejsi lub
„bogatsi, póty prawdziwa godność urzędowania
„nieznaną u nas będzie. Kiedyż u nas wystąpi
„jaki możniejszy młodzieniec z tym wielkim przy-
„kładem i dowiedzie, że nie dla karyery, nie dla
„nagrody, lecz dla dobra kraju wszystko gotów
„jest uczynić, i że dla tego bierze najniższe miej-
„sce, aby tém silniéj dowiódł, że w usłudze kra-
„jowéj każde miejsce jest zacném. Oto teraz
„droga prawdziwéj sławy; nie widzę znakomit-
„széj dla młodego Polaka... Baw się więc, ko-
„chaj, tańcuj — a potém zamyśl się na chwilę
„nad tém, com napisał....“

W zbiorze tych korespondencyi Morawskiego często spotkać się można z listami polecającemi różnych jego protegowanych. Najwięcéj byli to starzy zasłużeni wojskowi, którzy albo utrzymania nie mieli, albo intryga chciała ich wysadzić

z posady dającéj im kawałek chleba na stare lata. Instancya jego była gorąca, przekonywająca, i nie dająca się lada czém odstraszyć. Kogo wziął w opiekę, szczerze mu dopomagał, nie łudząc słówkami pięknych lecz pustych obietnic.

W wspomnieniach moich młodociannych z Lublina żywo przechowała się figura wysoka, brzuchata, na chwiejnych nogach, w mundurze granatowym z żółtemi rabatami, zjawiająca się na paradach i na różnych miejscach publicznych, zawsze zasapana... Był to major Poplewski, prezydent miasta. Poczciwość i dobroć patrzyła mu z oczu, choć często groźnie ujadał się z przekupkami i żydami o nieczystości na ulicach, lub o zawadzanie przy uroczystościach wojskowych. Otóż poczciwca tego chciano wykurzyć z urzędu... Ujął się za nim Morawki i zaraz polecił Koźmianowi mającemu wielkie wpływy w Warszawie, aby go wziął w obronę. Pojechał Poplewski do Warszawy chodzić za swoją sprawą, i jak widać nie z wielką nadzieją wrócił; żądano bowiem od niego kaucyi, któréj dać nie miał z czego. Morawski pisze za nim powtórnie w oburzeniu się na niesprawiedliwość.

„Wszystkie moje prośby, boć słuszne wzglę-

„dem Poplewskiego, są daremne. W. Książę kazał go nominować; kazał później nie zrzucać go „z urzędu; kazał tu Lubowieckiemu: *laissez tran-* „*quille ce vieux brave homme* i do tego mundur „majorowski kazał mu nosić, co dowodzi, że chce „się nim opiekować. Teraz, gdy grosza nie ma „do dyspozycyi z kasy miejskiéj; gdy przez tyle „lat nic się nie pokazało na niego, i gdy nako- „niec sam Książę Namiestnik r. 1819 kazał go „uwolnić od kaucyi, teraz, mówię, żądają jéj na „nowo. Poplewski trzydzieści lat służył tak ucz- „ciwie, że i grosza z sobą nie przyniósł. Został „mu tylko honor zasługi i opieka W. Księcia, „które podobno są najpewniejszą kaucyą, i nie „pojmuję, jak po takiéj, można innéj żądać? Chcą „mu czwartą część odciągać z płacy, gdy ledwie „z całéj z żoną i dziećmi wyżywić się może. Z „płaczem starzec blisko 70cioletni był u mnie; „serce się krajało na ten widok. Podobnaż to „do wiary, aby tak zasługi całego życia były od- „płacane; któż się nieodrazi od usług publicznych „na obraz tak smutny. Jeżeli wszystko ma być „za nic policzone, i służba tyloletnia i uczciwość „i niewola, i krew przelana — niechże przynaj- „mniéj niesprawiedliwość zmniejszoną będzie; niech

„przyjmą kaucyę hipotekowaną. Wszakże i tak „rząd przez te kilka lat, które mu jeszcze żyć „pozostaje, nie wybierze z czwartéj części 14 ty- „sięcy kaucyi. Dawno on już ją podał do ko- „misyi wojewódzkiéj; każcież ją odesłać sobie, je- „żeli nieodesłana; a jeżeli już ją macie, to miejcie „przecie litość nad nieszczęśliwym. Proś odemnie „Sumińskiego, przeczytaj mu ten list; proś pana „ministra Mostowskiego — bo cóż ten człowiek „w swojéj rozpaczy pocznie? Codzień się bardziéj „przekonywam, że trudniéj o czynniejszego około „upięknienia miasta; a jeżeli jest błoto i tyły „ulic nie czyste jeszcze, to są na to milionowe „dowody, że nie on temu winien. Miasto płaci „za czyszczenie, a pieniądze te nie na czyszczenie „lecz na fabryki idą — cóż więc ma począć, do „twego rozsądku się odwołuję...“

W innym liście znowu w téj sprawie na- ciera:

„Jeszcze raz piszę ci za Poplewskim. Uczyń „co możesz; a chyba on sam będzie ci wdzię- „czniejszy niż ja. Wysłuchaj go dobrze, nie ża- „łuj czasu. Kosecki chce na tém miejscu konie- „cznie swego adjutanta osadzić. Przykra to rzecz, „aby taki chłystek odbierał miejsce człowiekowi,

„co trzydzięści lat służył, a jedenaście był w nie-
„woli na pontonach angielskich. Wszyscy po-
„czciwi powinni bronić poczciwego. Odeszlej list
„Krasińskiemu i proś go także za Poplewskim.

Niedość na tém, gdy w roku 1826 Morawski opuszczał Lublin i przenosił się na kwaterę do Radomia, nie opuścił zasłużonego starca, i nie tylko, przypominał go Koźmianowi, ale zobowiązał jenerała Fenshawe mającego wpływ, na w. księcia, żeby mu nie odmawiał swojéj opieki.

Przytoczyłem umyślnie ten cały szczegół, raz żeby odkryć piękną stronę duszy jenerała ujmującego się za szczątkami sławy wojennéj narodu, powtóre żeby rzucić światło na ówczesne stosunki, często nader potworne. W. książę ujmował się za starym kościuszkowskim żołnierzem, za legionistą, za ofiarą angielskich pontonów i protegował go przeciw własnym rodakom, zazdroszczącym mu na schyłku stéranego życia kawałka mizernego chleba, żeby go dać jakiemu faworytowi, zasłużonemu w podłych może usługach! Smutny to komentarz do przyczyn listopadowego powstania.

Skład towarzystwa w Lublinie, w którego kole był jenerał, liczył ledwie kilka osób docho-

dzących do jego miary. Główną rolę grała tam pani Jaraczewska, osoba ułomna, pełna żywości, wymowna, umiejąca elektryzować ospałe miasto balikami, piknikami, teatrami amatorskiemi, a do tego autorka wielu moralnych romansów, których koszlawą polszczyznę, jak mógł tak prostował Morawski. Był i jenerał Weissenhoff, komendant dywizyi ułanów, człowiek gruntownie uczony; było jeszcze parę profesorów więcéj coś umiejących nad zakres swego wykładu — zresztą same figury urzędowe, nadęte a pospolite. Wyżartował ich Morawski w kilku wierszykach przesłanych w liście do Kajetana Koźmiana:

Gründlicha*) język francuski
Kształtne Jarachy frazesa,
Zawidzkiego**) dowcip pruski
I wszystkie mowy Prezesa.

Najniesmaczniejszą dlań figurą, lubo musiał się stykać z nią często, był prezes wojewódzki. Nierzadko jakim charakterystycznym rysem maluje go w listach do Koźmiana. Kiedy po śmierci cesarza Aleksandra wojsko i urzędy przyw-

*) Dyrektor poczty, dawny austryacki urzędnik pozostały na téj posadzie.

**) Zawidzki pułkownik 2go pułku strzelców pieszych.

działy żałobę, gorliwy prezes posunął ją do ostateczności.

„Co też powiesz na to — pisze Morowski „— że nasz prezes w swoim pokoju czarne fi- „ranki podawał; krepą czarną osłonił żerandole, „obrazy, a nawet gwiazdę pod krepą nosi, wre- „szcie profitki do świec są z czarnego papieru. „Żeby mu też kto o tém napisał. Ale zaklinam „cię nie pokazuj tego listu, zwłaszcza Koseckie- „mu, bo i tak już narzeka, że z niego obaj tylko „szydzimy.“

Można sobie wystawić, w jaki ruch wprawiał takiego służbistego prezesa, przejazd któréj z wysokich figur, jak namiestnika lub Wiel. księcia. O okolicznościach takiego przejazdu mówi list niniejszy:

„Jeździłem wczoraj o dwie mile z tąd. Cóż „to za błoto na drodze lewartowskiéj! a prze- „cież w tym błocie, jak w bajce Niemce- „wicza będą się wyścigać nasze figury, która z „nich pierwéj do mety próżności dobiegnie. „Niech lecą! my wolnym krokiem i starą, kla- „syczną, cnotliwych ojców drogą postępujmy. Wy- „stawiam sobie prezesa, jak zadyszany, czerwony; „z błotem na wąsach, z zawalaną gwiazdą, wleci

„tu przed namiestnikiem. Przynajmniéj że to „błoto zmyć można, boć są to takie plamy, któ„rych Oceanem, jak żona Mekbeta, zmyćby nie „można.“

O tym prezesie taką jeszcze przytacza, wcale zabawną anegdotę:

„Teraz dopiéro dowiedziałem się dobrze ca„łéj historyi żyda i prezesa. Prezes uderzył sil„nie w twarz żyda i skrwawił go. Żyd poszedł „do Rozenberga*) prosić o *visum repertum*, mó„wiąc, że przez ślusarza pobitym został. Rozen„berg dał mu zaświadczenie, że skrwawiony, że „mózg mu wstrząśnięto tym policzkiém; że dwa „muszkuły mogą się zamienić w bezczynne; sło„wém, że niebezpiecznie uszkodzony. Żyd bierze „to *visum repertum* (które dobrze zapłacone, lecz „nie na prawie było oparte) i podaje z niém „skargę do kryminału. Dają znać prezesowi — „przyjeżdża, klnie doktorów, Rozenberga zwłasz„cza, który mu tyle lat bakę świecił, proch przed „jego stopami lizał. Przywołują więc i Rozen„berga. Wystaw sobie więc tego podłego po„chlebcy zdziwienie, wstyd i obawę, że śmiał

*) Rozenberg, fizyk miejski.

„wydać raz w życiu sprawiedliwe świadectwo. „Poznał dopiero w jaką wpadł łapkę. Sprawa „zagodzona z żydem; lecz Rozenberg najpiękniéj- „szą treść do komedyi zostawił.“

Oto mniéj więcéj w takiéj sferze towarzyskiéj musiał żyć Morawski podczas konsystencyi swojéj brygady w Lublinie — niedziw, dla czego myślami i uczuciami biegł zawsze do drogich przyjaciół warszawskich, a pisząc do nich, i nawzajem odbierając listy, znajdował w tém zajęcie dla swego umysłu, podnietę do utrzymania się w prądzie literackiego ruchu, słabém tylko echem stolicy odzywającego się na prowincyi.

VII.

Rok 1826 ciężkim lubo przewidywanym ciosem ugodził w serce kochającego jenerała.

Ożeniony od lat kilku z Anielą z Wierzchowskich, osobą pełną wdzięków, starannie wychowaną pod okiem księżny Izabelli Czartoryskiéj w Puławach, najlepszą żoną i matką dwojga małych dzieci, utracił ją na chorobę piersiową, która go o jéj stan już od niejakiego czasu trwożliwym robiła. Pielęgnował, zapobiegał niebezpieczeństwu, szukając dla niéj świeżego powietrza i słońca,

otaczał wszystkiém, co tylko czułość małżeńska wymyślić może — w końcu widział, że nie ma ratunku i przyjął ten cios z rezygnacyą chrześcijańską, nie uwalniającą od opłakiwania jéj zawsze.

Umarła w Warszawie, ciało jéj leży na cmętarzu w Powązkach.

Krótką lecz rzewną a pełną męzkości elegią, opłakał zgon ukochanéj.

„O żono, droga żono, matko moich dzieci!
Może mnie tam nie jeden błąd w twych oczach szpeci,
Możem nie dość twym cnotom winnéj składał cześci,
Nie dość kwiatów pociechy wplatał w cierń boleści? —
Téj jednéj krzywdy przecie nie wyrządzę tobie,
Bym łzy żalu na twoim nie zostawił grobie.
Niechaj inni od przykrych im pamiątek stronią,
I by uciec wspomnieniom, za nadzieją gonią;
Dla mnie całą rozkoszą opłakiwać ciebie,
Tu cię szukać mym żalem, a nadzieją w niebie!

Nie znalazłem żadnego listu opisującego tę stratę. Najbliżsi sercu przyjaciele byli zapewne przy nim.

Z późniejszych dat częste są jednak listy opisujące stan jego duszy. I tak do Kajetana Koźmiana pisze:

„Przez ileż ja to zmian gwałtownych prze-

„Nie znam już słodszych pociech jak łzy żalu sączyć,
„I już innéj nadziei, jak się z tobą złączyć.“

Morawski, jak z powyższych listów widać, po doznanéj stracie przeniesiony był do Radomia, co mu nie przeszkadzało nawiedzać często Piotrowice i Puławy, a niemniéj nieprzerwaną prowadzić korespondencyę z Koźmianami. Miejsce nowego pobytu w ten sposób skreślił w jednym z listów:

„Mam ja i tutaj (podobnie jak w Lublinie) „wzory niepospolite, ale mniejsze miasto, więc „i mniéj oryginałów. Nudów za to bardzo wiele „i takie jeszcze pijaństwo, jak za Augustów. Za „to na nieszczęście systematu kredytowego, nie „zapłacono do kasy połowę procentu. Co to bę- „dzie?! Wiesz zapewne, że w tutejszém Woje- „wództwie obaliły się nieukończone jeszcze bu- „dowle Lubeckiego. Tylko 600,000 szkody. Zdaje „się, że Polskę do bostona zaprosił i każe jéj „wygrywać przez *Grande misère*.“

Wyborny dowcip, który w swoim czasie obiegał po Polsce i był krytyką finansowych operacyi księcia Lubeckiego ministra skarbu.

Rok ten 1826 i z innéj jeszcze strony dotknął go boleśnie. Odkrycie spisku w Rosyi

i połączonego z nim spisku rozgałęzionego w ziemiach polskich, spowodowało wiele aresztowań między wojskowymi, co rzuciło przestrach paniczny tak w armii, jak w świecie towarzyskim. W niektórych listach spotykam pobieżne lecz wymowne wzmianki o tych zdarzeniach. I tak:

„Wiele bardzo jest do powiedzenia o War-
„szawie. Już ze 30 osób aresztowanych, ale pi-
„sać o tém trudno. Nie piszę wierszy, bo któż-
„by pośród łez śpiewał? *Il ne faut insulter au*
„*malheur public*..... Wystaw sobie, że w Warsza-
„wie Małachowski kasztelan wpada do Izydora (Kra-
„sińskiego) z twarzą wybladłą, najeżonym wło-
„sem, słowem, z całym wyrazem okropnego prze-
„strachu: *qu'on a poignardé Zawidzki à Lublin.*
„Czy Cezar? Henryk IVty? a nawet Kocebue?
„*Il est tout fier* z przestrachu stolicy..... Preze-
„sowi wyperswadowałem, że kiedy Grzymała*)
„aresztowany, i on niepewny, bo listy do niego
„pisywał. Krzyknął: Dla Boga! powstał, cho-
„dził, sapał, sam się egzaminując, czy nie jest
„konspiratorem? Całą noc nie spał, chorował.....
„ale dzisiaj, przy tak pięknéj pogodzie zwiastu-

*) Albert Grzymała.

„jącéj wiosnę, wyszedł na spacer. Żaden orzeł „nie przeleciał, ale mnóstwo podłych wróbli świer- „gotało po dachach na widok téj urzędowéj figury.“

Wszystko to nieoszacowane rysy charakteryzujące ów czas i osoby.

Pod koniec tego roku, zapewne dla zniesienia się z rodziną nieboszczki żony, mieszkającą na Polesiu, jeździł jenerał w te zakazane okolice. Opisał on tę podróż Koźmianowi z całym humorem i nieporównaną trafnością rysów zdjętych z natury.

„Wróciłem więc z tego kraju, którego nie „wiem jak nazwać, bo com tam widział i sły- „szał, przechodzi moc wysłowienia, a nawet i po- „jęcia. Co do urzędników, jestto szerokie pole „złodziei najdowcipniéj uorganizowane, którego „ustawy święciéj dochowane, niż wszystkie kon- „stytucyjne. Cały kraj jest rządzony przez święte „przymierze bomażek, pałek i popów. Ciemność „do tego stopnia w wielu miejscach dochodzi, że „od 10 lat gazety nie widziano; słowem, taka „noc, że jak Niemcewicz mówi: nie rozeznasz be- „styi od człowieka. Dla tego to może bogowie „chcąc mocniéj ukarać Prometeusza za wykra- „dzenie niebu twórczego ognia, nie przykuli go

„do Alp, Pireneów, Tatrów, ale do Kaukazu. „Szczególna rzecz także, że największy złodziéj „w świecie, jakby na przestrach całemu państwu „osadzony został na szczycie téj góry. Przejeż- „dżając przez Wołyń pocieszyło się moje serce „widokami starożytnych zamków, które nie zo- „stały jeszcze zniszczone. Smutna rzecz, że tam „więcéj zachowano tych pomników, jak u nas „w Królestwie. Bóg je uchronił od tego okro- „pnego Zajączka, który jak Samson porwał Polskę „i tak nią trząsł, aż wszystko się rozleciało i „gruzy swemi tyle rzeczy przygłuszyło. Jak Sam- „son, upadł sam pod zwaliskami.

„Stan chłopów w dawnych prowincyach jak „najokropniejszy. Powstawają na Twoją pieśń, wy- „stawiającą niedolę rolnika; niechże tam idą, a „przyznają że farby jeszcze zbyt blade i obrazy „zbyt łagodne. Hotentoty z postaci, bydło z oby- „czajów i ciemności. Co powiesz na to, że pań- „szczyzna nawet nie jest ograniczona w wielu „miejscach; a chłop z tą się żeni, z którą każą. „Są tam jakieś przepisy rządowe broniące wie- „śniaków od ucisku, ale tych tylko używają wten- „czas urzędnicy, kiedy chcą coś z panów wyci- „snąć. W Pińskiém biedne chłopki suszą pisko-

„rze i z nich mąkę mielą na chléb. Jednego buta „lub trzewika, nie widziałem nigdzie, tylko jakieś „łyki i powrozy któremi nogi mają owiązane; „prawdziwa cecha ich stanu nieszczęśliwego.

„Rozjaśniły się moje myśli, uradowała dusza „w Łucku. Całe miasto brzmi tylko uwielbie- „niem tamecznego biskupa Cieciszewskiego. Cóż „to za dobroć, łagodność, świętość chrześcijań- „ska! Mimo różnicy wiar, w każdym widzi i ko- „cha bliźniego; wszystkich wspiera, i co tylko „zostaje mu z dochodów rocznych, rozdaje ubo- „gim. Dość ci powiedzieć na jego pochwałę, że „gdy zachorował mocno, wszystkie Żydy w mie- „ście i kilko-milowéj okolicy, nałożyły sobie trzy- „dniowy post najostrzejszy, aby uprosić u Boga „jego ozdrowienie. Wszyscy ze łzami wdzięczno- „ści, wspominają jego imie, o nim najmiléj mó- „wią, i Bogu tylko szczérszy hołd składać mogą.

„Zastałem téż na Podlesiu jakiegoś dawnego „szambelana króla Stanisława, który, tak lubi mu- „zykę, że trzem synom dał Archaniołów imiona: „Michała, Cherubina i Serafina. Utrzymywał mi „że król Stanisław miał tak stare wina, że jeszcze „od Popiela pochodziły i że w saméj rzeczy było „je czuć myszką. Nie mogąc go przeprzéć, zo-

„stawiłem przy miłém mniemaniu. Lubi także „i poezyę. Wystawił pomnik księciu Poniato-„wskiemu Józefowi i taki położył napis:

Tu leży z łaski Boski
Książe Józef Poniatowski.
Przechodniu! jeźli tędy wypadnie ci droga
Zmów Ojcze nasz, zmów Zdrowaś, zmów i Wierzę w Boga.

„Nie zostawiaj tego listu na stole, żeby go „kto nie złapał....."

Podróż tę widać odprawiał częściéj, bo w jednym z późniejszych listów do Jędrzeja Kośmiana, znajduję niniejszy ustęp:

„Gdym wracając przejechał Bug pod Uści-„ługiem, uczułem, że jeszcze jest coś swobody w „naszém powietrzu. Jakim był kontent żem się „z tamtąd wyrwał! Z iluż to względów kraj ten „musi być niemiły, kiedy mi dzieci nawet moje „upięknić go nie mogły.

„.....Wierszy! wierszy na Boga! dla orzeź-„wienia się po nagiéj prozie Polesia. Tak wszy-„stko zgasło we mnie, że podobno już nie znaj-„dę rymu nawet do: Jegomości."

Listem do Jędrzeja Kośmiana (z r. 1827) donosi z Radomia o katastrofie jaka dotknęła Świdzińskiego z którym łączył go przyjazny stósunek:

„Smutną bardzo w téj chwili odbieram wia-

„domość, że Świdziński zgorzał zupełnie, a nawet „i mieszkanie, w którém miał zbiór starożytnych „ksiąg. Sprawdziło się com tylekroć mówił. Nie„szczęśliwa mania zbierania tylko dla miłości wła„snéj, a nic dla użytku publicznego, jakiż ma ko„niec? Lepiéj było nie zbierać, byłoby coś przy„przynajmniéj po niektórych miejscach ocalało. „Cierpieć nie mogę tego nieobywatelskiego, nie„polskiego zapału duszenia wszystkiego u sie„bie, aby tylko przechwalać się, że się to posia„da, czego drudzy nie mają. Czemu nie druko„wać, czemu odkładać, czemu nakoniec nie od„dawać do zbiorów narodowych, gdzie są lepsze „budowy, zachrony i dozór? (W późniejszym li„ście). Zrobiono mi nadzieję, że coś z biblioteki „Świdzińskiego ocalało; ale choćby się i wszystko „spaliło, nic to ciebie nie poprawi, zawsze bę„dziesz dusił i dusił w ukryciu, póki także ci się „nie spali. Wy bibliomani jesteście na nieszczęście „kraju stworzeni, bo więcéj macie miłości włas„néj, niż chęci użytku publicznego.“

Złote prawdy! W owych czasach obudziła się była mania łupienia bibliotek klasztornych. Zazwyczaj wybierał się taki biblioman na wyprawę do klasztoru z koszem węgrzyna i podpoiwszy

mnicha klucz mającego od biblioteki, rabował co się dało, a książki wyrzucał przez otwarte okno, gdzie wspólnik umyślnie na to postawiony, chwytał je i pakował na brykę. Gdyby jeszcze z tego gromadzenia starych ksiąg i rękopisów chciano korzystać — ale jak dobrze powiedział Morawski, duszono je tylko i przechwalano się białemi krukami. Przypomnijmy tyko sobie jak bardzo mało na tych odkryciach zyskiwała literatura i historya. Nawet surowych materyałów, prócz Niemcewicza i Lelewela, nikt prawie nie publikował wtedy. Jędrzéj Koźmian, który przyszedł był w Piotrowicach do znacznéj biblioteki, dopiero w kilkanaście lat późniéj ogłosił swoje Wyciągi piotrowickie, a Świdziński, którego zbiory ciągłym ulegały przypadkom ognia, nic prawie nie ogłosił z nich przez ciąg żywota.

W końcu tegoż roku, okoliczności zapowiadające wojnę, między Rosyą a Turcyą, zaczynają go interesować, choć to w sposób żartobliwy objawia:

„Napisz mi z pewnością czy wojna, czy nie? czy ruszamy, i czy prędko?

Czy powiodę w kwietniu, w maju
Szyki niczém nie wstrzymane,

Czyli z groźnego Seraju
Porwę nową Roksolanę;
Czyli z Raczyńskich *) przykładu
Lepiéj się poznam z Turkami,
I czy wreszcie dojdę ładu
Z Mickiewicza Sonetami?

„Pierwszy chylat, który zdobędę, przyślę ojcu twemu w podarunku.“

Spodziewano się w wojsku polskiém, że takowe będzie użyte choć w części przeciw Turkom, lecz nie było tego potrzeby; powołano tylko niektórych oficerów.

W innym liście, także w téj materyi, znać, że wyższa sztuka wojskowa nie była mu obcą. Oto zdanie jego o prowadzonéj wojnie:

„Siedzę teraz nad mapami Turcyi; rozważam „plan kampanii; lecz na samym wstępie, nie podo„ba mi się (jeżeli to prawda) ten przedział armii „Dunajem. *On risque d'être battu deux fois sans „pouvoir secourir une moitié de l'armée par „l'autre*. Blücher taki właśnie ruch niezmierną „stratą przypłacił w r 1814. Można demonstra„cye mniejszemi korpusami czynić ubocznie; ale

*) Alluzya do dzieła Edwarda hr. Raczyńskiego: Podróż do Turcyi.

„to, co nazywamy *le gros de l'armèe* trzeba ile „możności koncentrować, aby stanowcze były „poruszenia i bitwy. Jak w poezyi tak i tutaj: „*Im kleinsten Punkt die höchste Kraft.* Kto „wcześniéj zgadnie gdzie jest klucz operacyi i bitew „i tam z większą się znajdzie siłą niż nieprzyja„ciel, ten wygrywa; i ta jest cała tajemnica „naszéj sztuki, a przynajmniéj najważniejsza.

„Sztuka wojskowa jest może najtrudniejszą „ze wszystkich, bo nagłych decyzyi umysłu po„trzebuje, a więc wymaga niezmiernego usposo„bienia moralnego; lecz jak wszystko w naturze, „tak i ona na prostych, jasnych i niezmiennych „polega prawidłach. Ale ponieważ wszystko się „zmienia, więc i ta wojna może będzie roman„tycznie prowadzoną, lubo wątpię, żeby między „Rosyanami znalazł się Szekspir wojenny. Śmia„łeś się raz, kiedym Szekspira nazwał Suwaro„wem poezyi; za to żadnego Biberykin, ani Musz„kin Puszkin nie nazwę pono nigdy Szekspirem „sztuki wojskowéj. Daj im Boże szczęście! jeże„li to ma być dla dobra Greków. Kiedy starego „trupa wywołują z grobu, może i niezgasłe jeszcze „Polski popioły ożyją — ale czy przez nich? *That „is the question,* bo my śpiąc niby, może marzymy.

„Jeżeli i my będziemy powołani do téj woj-
„ny, napiszę ci wcześnie; zawsze jednak pisywać
„do mnie będziesz na Sestos, Abydos do Pergamu.“

Jak już wspomniałem, od czasu śmierci żony często między te iskry dowcipu i humoru, jakiemi tryskały jego listy, mięszał się jęk głębokiego smuku, tęsknoty niczém nieutulonéj. Nie złamało go nieszczęście, ale w pasmo życia dotąd srébrzące się jasnemi nićmi, wplotła się czarna wstęga żałoby, która co chwila występowała na wierzch. W takim nastroju niniejszy list pisany z obozu pod Warszawą w 1828 r. do Jędrzeja Koźmiana:

....„Od czasu, jak nie pisałem do ciebie,
„byłbym mógł przy dobrym wietrze zapłynąć do
„Ameryki lub z pięć tysięcy Turków zabić. Chcesz
„wiedzieć przyczynę mego milczenia?

Złe, co największe zniwecza umysły,
Złe, panujące nad brzegami Wisły,
Złe, które w zimnym żarcie utworzyły nieba,
Lenistwo — gdy koniecznie wymienić je trzeba—
Zdolne przez swoją miękkość niebezpieczną
Ostudzić przyjaźń półwieczną,
Taką mi niemoc w wszystkie członki wlało,
Że jakby się Jaksoskiego Gorsetu *) słuchało,

*) Odnosi się to do arcynudnego poematu Jaksy Marcinkowskiego; Gorset.

Ciąglem tylko ziewał, wzdychał,
I nudę nudą popychał.
Nic dla mnie żadnéj już nie miało ceny:
O nic nie dbała dusza zmordowana;
Niechciałem nawet gasnącéj już weny
Orzeźwić rymem Koźmiana.
Tak ciemny poczet nudnych dni się skupiał,
Schło serce, stygły myśli i — Morawski głupiał....

„Podobnaż było w takim stanie pisać do ciebie? „Dodaj do tego te niesłychane gorąca, mustry, „kurze, bębny, tyle smutnych wspomnień, tyle „grożących nieszczęść, i bądź kontent, że to mil- „czenie nie stało się grobowém. Ależ i ty przesze- „dłeś przez nieszczęścia, zawiodły cię twoje mło- „de nadzieje, zniknął owoc tylu trudów! Długie „lata trzeba pracować na nowo, by znowu może „kiedyś równéj uledz stracie. Ze łzami patrzyć „musiałeś na zniszczone pola twoich chłopków i „na grożącą im przyszłość, którą tak trudno te- „raz odwrócić. *Impavidum feriunt ruinae* powie- „dział Horacy, lecz ta nauka nie może się sto- „sować do wszystkich zdarzeń, do wszystkich dni „ludzkich. Każda rzecz się w naturze praw swo- „ich domaga, a więc i smutek i boleść, zwłaszcza „w stratach serca, jakich ja doznałem. Zresztą „łatwiéj jest na jednę wielką zdobyć się ofiarę,

„na śmierć nawet, niż codziennie, przez całe ży-
„cie wypijać tę część trucizny, którą nam los
„podaje.

Nie jeden wprawdzie wielki mąż nas zdumiał
Mężném wytrwaniem, albo świetnym zgonem,
Lecz kto wie, czyli samby Kato umiał
W każdéj chwili być Katonem?

„Ale że niebo do smutków dodaje czasem pocie-
„chy, miałem i ja nie małą.

„Wystaw sobie, poczciwi żołnierze mojéj da-
„wnéj brygady, widząc, że moje dzieci wyjechać
„nie mogły w okropnych piaskach okolic Kozie-
„nic, sami, z własnego popędu popychali przez
„milę karetę, mówiąc: „to dzieci naszego Mo-
„rawskiego!“ Tyle z tego dumny jestem, ile By-
„ron, gdy się dowiedział, że w czasie zamieszek
„w Szkocyi okrążono jego grunta, aby je prze-
„chodem nie zniszczyć.“

Ostatni ten szczegół, który go tak rozrzewnił i uszczęśliwił, był tylko prostém następstwem ludzkiego obchodzenia się z żołnierzem, sprawiedliwego postępowania z nim — co nie zawsze było udziałem naszych zwierzchników wojskowych, którzy dla przypodobania się W. Księciu, naśladowali jego srogość i brutalstwa. Naj-

jaśniéj wypowiedział Morawski swój stosunek do żołnierza w jednym liście do Kożmiana, z powodu użaleń się niektórych obywateli lubelskich na ciężary kwaterunkowe: „*J'ai aussi des devoirs envers le soldat;* kiedy mu się każe umierać „w bitwie, to przynajmniéj w pokoju trzebaby „mu być ojcem.“

Jenerał z takiemi zasadami mógł śmiało liczyć na miłość żołnierzy. W całéj téż armii uważano go za człowieka, przez którego usta gdy przeszedł rozkaz lub wyrok najsurowszy, tracił swą dzikość lub szorstkość.

Prócz powyżéj rzuconego szkicu towarzystwa radomskiego, widać, że nie znalazł dość godnych oryginałów, żeby się dla nich łatwy dowcip jego fatygował. Z jednym się tylko spotkał, w którego oczach niniejszy list pisał do J. Koźmiana:

„Chciałem ci napisać list długi — kiedy oto „wchodzi do mnie jeden tutejszy jegomość, co „ciągle książki odemnie pożycza. Nudnaż to figura, „wszystko co złapie bez pardonu czyta. Gdybyś „mu głowę otworzył, ujrzałbyś:

Śmieszny zbiór wszystkich nauk w jednym mózgu zbity:
Homery, kalendarze, kantyczki, Tacyty.

„Ta jego zaciekłość do czytania wszystkiego bez „braku i ładu, jest tak zupełnie, jak ta nie je„dnego z naszych paniczów zaciekłość do podró„żowania;

Co nowych miast stołecznych niezmiernie ciekawy,
Przelata wszystkie bruki Berlina, Warszawy,
Londynu i Paryża porachuje wieże,
Rozsiewa miliony, zdumiewa oberże,
I na to w swéj latance cały czas utraca
Że dość głupi wyjechał, a głupszy powraca.

„Muszę przerwać list i zasłonić, bo przez „manię czytania i do niego już tu zagląda. Mo„żebym i dobrze zrobił, gdybym tego nie bronił. „Jakżeżby się skrzywił! możeby się choć w czę„ści poprawił, bo z całego błędu niepodobna.... „Odszedł wreszcie, Bogu dzięki!

„Babsko stare, mające 68 lat, do których „ani jednéj minuty nie brakuje, kazało mnie so„bie malować. Tém się przynajmniéj pocieszam, „że będac sąsiadką mego brata, dla niego zape„wne ten dar gotuje. Portret ten jest u malarza „Gładysza na Bielańskiéj ulicy; możesz go zoba„czyć. Świdziński mówi, że bardzo podobny. Mia„łeś i ty kiedyś odmalować dla mnie swego oj„ca; lecz nie każ-że go wystawiać szumnie lub „nadto poetycznie; niechże nie wygląda:

Zbrojny rządową potęgą,
Z lśniącą gwiazdą, sutą wstęgą,
Lub też z orszakiem Parnaskim.
Cnota w sercu, laur na skroni,
Prawda w uściech, Flakkus w dłoni,
Między synem a Morawskim,
Tak niech będzie! A świat cały
Krzyknie: Koźmian dosknały!"

Pod koniec 1828 r. Morawski z Radomia przeniósł się do Lublina ze swoją brygardą. Tu znowu znalazł się w kole dawno znajomych osób, a co najlepsza, bliżej ulubionych Piotrowic.

Oto jeden z listów, w którym natrąca o niektórych rzeczach publicznych i o miejscowych stosunkach:

....„Nowin z Warszawy nie mam, prócz, że „Mycielski, Ogiński i Piegłowski wypuszczeni. „Zamojski oburzył wszystkich na siebie, że przy„jął spoczynek kilkodniowy wtenczas, gdy każda „chwila rodaków siedzących w więzieniu powin„na mu ciężyć na sercu, zwłaszcza, że mogą być „niewinni.... Cóż powiesz na to, co się dzieje w „Lublinie! Kabak *) marszałkiem sejmiku, Kabak

*) Tym Kabakiem czyli akcyzą nazwany jest pan G.... doznający od mieszkańców Lublina takiéj nienawiści, jak Newachowicz w stolicy.

„radzcą wojewódzkim! Obiad jeden to sprawił, że „ten na którego przed chwilą ciskano prawie bło- „tem dziś jest urzędnikiem i stanął na czele oby- „watelstwa. Upewniają mnie że Owidzki*) podał „go na radzcę wojewódzkiego. Tego tylko niedo- „stawało, aby człowiek uczciwy zbłaźnił się przy „końcu dni swoich. Co za zgroza! Wierz mi że „mię teraz śmierć cnotliwych i wzorowych ludzi „cieszy, bo lękam się aby nie umieli dotrwać do „zgonu w szlachetności i cnocie, i aby nie zbru- „dzili jednym czynem tyle dni bez plamy przeży- „tych, co jest gorszém dla towarzystwa, niż stra- „ta osoby, bo wiara w szczerość cnoty słabieje. „Wolę więc, że umrą póki cnotliwi, bo przynaj- „mniéj czysty wzór zostaje.

„Prosił mię Kabak na obiad ogromny; od- „mówiłem, wzgardziłem.

„Wyobraź sobie, że głupi Kabak śmiał mi „przysłać w podarunku 10 butelek wódki. Kaza- „łem odpowiedzieć, że zapewne przez omyłkę mu

*) Owidzki był miany za Nestora całego Województwa. Nazywano go także Cyceronem, albowiem wszelkie zebrania się publicznie zwykle zagajał mową pięknie brzmiącą.

„powiedziano, że żyd na moje miejsce stanął „kwaterą. Byli tacy co przyjęli: gadałem krzycza- „łem — a oni pili i śmiali się.“

Stare nasze przysłowie: czapką papką i solą, ludzie ludzi niewolą — nie poszło w las; zamiast soli była wódka wzgardzonego niedawno Kabaka. Podobne niekonsekwencye opinii publicznéj srodze raniły serce jenerała.

W początkach 1829 roku Jędrzej Koźmian, ulubieniec jego, wybierał się w podróż zagraniczną do Niemiec, Paryża, Londynu. Czułe było rozstanie się; odjazdowi młodzieńca towarzyszyły jego rozumne przestrogi co ma robić, z czego korzystać, co widzieć w stolicy świata. Odtąd listy jenerała biegały często szukać go za granicą. Pełno w nich wybornych rad i postrzeżeń, które podsuwał młodzieńcowi, aby się niemi kierował.

„Co to za dowód przyjaźni pisać do mnie z „Weymaru, z Aten germańskich, u podwoi ksią- „żąt i prawie z przed oblicza Goethego!.... Żału- „ję że oddając wizytę Goethemu nie prosiłeś go, „aby w czémkolwiek dotknął się naszych dziejów, „choćby najmniejszą pracą. Trzeba się nam wszel- „kiemi sposobami wydzierać z przepaści.“

„Krzywię się trochę na Waszmości żeś Wiel-

„kopolskę nazwał zniemczałą. Sądzić z zewnę-
„trznych oznak, jest wyrokować z pozoru. Mię-
„dzy Saarbrück i Moguncyą tak zlane są zwyczaje,
„ubiory i języki dwóch narodów, że trudno stano-
„wić czy kraj ten do Francyi, czy do Niemiec na-
„leży. Tak zawsze bywa, gdy wielkie natury gra-
„nice nie odcinają nagle ludu od ludu; przecież
„Wielkopolska nie tyle, co kraj wspomniany, ob-
„cą barwą okryta. Trudno, aby pograniczne dwóch
„państw prowincye, nie miały coś wzajemnego,
„któż we wszystkich czasach więcéj niż Wielko-
„polska dał dowodów patryotyzmu; a może ten
„największy, że przez tyle wieków tak mało się
„spokrewniła z sąsiadami, i tylko zewnętrznemi
„oznaki zbliżyła się do nich. Krzywdzisz, gdzieby
„pocieszać należało.“

Była to ostra wymówka, powtórzona w innym liście do ojca, któremu się żalił na syna za ten wybryk przeciw Wielkopolsce, którą Dąbrowski, ukochany wódz jego, tak bardzo dla jéj patryotyzmu miłował.

Znając dobrze Paryż, gdzie był za czasów Napoleona, powiada co ma zwiedzić:

„Zobacz Cedry Libanu zasadzone przez Jus-
„sieu, Inwalidy, Panteon, les petits Augustins, dzie-

„ła celniejszych malarzy, Charenton, cmentarz du „Père la Chaise, St. Denis, Ermenonville i wszy„stkie głupstwa bulwarów. Niech cię Bóg broni „wracać bez widzenia Londynu. Nigdybym ci te„go nie przebaczył. Bądź w bibliotece królewskiéj. „Są tam rękopisy tyczące się naszych dziejów, „zwłaszcza z wojen szwedzkich. Zobacz i ryciny „polskie. Samego Lwa Sapiehy widziałem tam „najmniéj 9 rozmaitych wyobrażeń. — Podaj téż „tam artykuł o rzetelnym stanie w obecnym cza„sie naszéj literatury. Popracuj nad tém; bądź „sprawiedliwym w wyrokach, któż lepiéj nad cie„bie to uczyni i kiedyż lepsza będzie do tego „pora? Czas wystawić tę literaturę światu uczo„nemu; dotąd znał ją tylko z nieznaczących ar„tykułów. Mów o zapale do zbiorów staroży„tnych; o ogólném dążeniu młodzi ku doskonale„niu się; i ile zdołasz, zgadzaj upięknienie rze„czy z jéj istotą."

Z tych ustępów można poznać jak światłym, jak dbałym o sławę ojczystą, był on przewodnikiem młodemu przyjacielowi w ojczyźnie.

Gdy nakoniec z zagranicznéj wycieczki powrócił Jędruś i cieszył się z rodzicami, jenerał pisał do ojca do Warszawy:

„Ucałuj Jędrusia ode mnie, uściskaj, ukochaj „i psuj jak dawniéj. Niechże mi tylko po fran- „cuzku wciąż nie trzepie. Niech wróciwszy do „Polski, dowiedzie, że śmieszność naszego mał- „piarstwa najbardziéj mu się zagranicą czuć dała. „Niech gada wszystkim babom, że Polkom to nie- „szczęśliwe zacieranie języka narodowego, wszy- „stkie narody wymawiają. Może Jędruś wiele do- „brego zrobić, jeźli tylko zechce, bo wracający z „zagranicy kasztelanic wiele znaczy, i dużo będzie „wziętym. Niech na złość babom naszym po pol- „sku gada.“

Wielu dzisiejszym pisarzom robiącym wycieczki przeciw zagęszczonéj francuzczyznie, zdaje się nieraz że oni pierwsi odkryli tę wadę w organizmie naszych głów, tymczasem w każdym niemal peryodzie naszych politycznych przemian, zawsze się znalazł obserwator, który ją palcem wytykał, i często ze skutkiem, bo bez jadu nienawiści. To Morawskiego wystąpienie, choć nie publiczne, mogło atoli lepszy zrobić skutek, niż żeby był po gazetach ciskał papierowe pioruny. Młodzieniec z wyższém ukształceniem wracający z Paryża i mówiący tylko po polsku, dawał tém

samém inicyatywę modzie, jedynemu kodeksowi, któremu ulega płeć piękna.

Rok 1829 pamiętny koronacyą cesarza Mikołaja w Warszawie, znalazł w listach jenerała krótkie ale znaczące wspomnienie:

„Przyszedł uniwersał zwołujący wszystkich „posłów i senatorów na koronacyę na 14 maja. „Pięć dni przedtém, mają już być w stolicy. Po„wiada w uniwersale, że przysięgi składać „nie będzie, bo już tego dopełnił. Co „powiesz na to?

„Cokolwiekbądź zawsze dobrą jest ta koro„nacya dla nas. Trzeba było być świadkiem tego, „co się działo, kiedy już ani cienia istności i ża„dnéj nadziei nie było, aby ocenić to, co jest „przecie jakiémś znaczeniem polityczném. *C'est „toujours ma chanson,* bo głęboko czuję wartość „téj prawdy.“

Wyznanie to pokazuje, jaką była myśl polityczna jenerała. W kreacyi królestwa kongresowego widział on zapowiednię przyszłości, nadzieję połączenia rozerwanych części, a co najmniéj, wpływ skoncentrowanych żywiołów polskich na inne prowincye poddane wpływom przeciwnym. To stanowisko miał za zbyt kosztowne, aby je

niebacznie stawić na kartę, lub je lekceważyć. Tak myślała poważna i urzędowa część narodu, z tą jednak różnicą, że wiele wyższych figur nie umiało się w godności swojéj utrzymać. Płaszczenia się, podłości, intrygi, zachcianki absolutne, małpowane od Moskali, wszystko to burzyło młode pokolenie przeciw tym seidem, usłużnym narzędziom rosyanizmu. Za ich winy przypłaciła partya rozumnych i uczciwych konserwatystów, nie dość silna i śmiała, żeby pierwszych odepchnąć, a drugich powstrzymać.

Wypadki r. 1830, rewolucya lipcowa we Francyi, rewolucya w Belgii, musiały silnie działać na umysł jenerała pilnie obserwujący horyzonty polityki europejskiéj — atoli listy jego, z tego okresu, nie zawierają żadnych wzmianek; co sobie łatwo wytłómaczyć ostrożnością, jaka nawet w prywatnych korespondencyach zachowywaną być musiała.... Jednakże tu i owdzie znajdują się wzmianki, pozwalające się domyślać, że działania tajne nie były mu obcemi.

Rewolucya była w powietrzu: nie mógł jéj nie przewidywać, choć może przypuszczał, że się na jakim drobnym wybuchu, pociągającym za sobą liczne uwięzienia, zakończy.

VIII.

Wybuch rewolucyjny, pożądany i przewidywany przez jednych, odpychany przez drugich, jako źródło niewyczerpanych nieszczęść, mogących zniszczyć kwiat młodzieży, a kraj odrębnego bytu pozbawić — spełnił się jednéj listopadowéj nocy.

Długo tłumiony odwet za pietnastoletnie upokorzenia i krzywdy, dał się poznać w napadzie na Belweder. Wypłoszony z groźnego gniazda brat carski ustąpił z garnizonem rosyjskim i nie śmiał nawet próbować owładnięcia stolicy, niepewnéj jeszcze czy wojsko polskie stanie po stronie rewolucyi.... Nieliczne bowiem oddziały wciągnione do spisku, nie dawały dostatecznéj rękojmi, że wytrzymają atak rosyjskiego garnizonu i części polskiéj gwardyi pozostającéj przy boku w. księcia. Atoli bądź wrodzony brak odwagi, bądź wewnętrzny niepokój obciążonego krzywdami sumienia, bądź złośliwa myśl oddania całego królestwa na pastwę caryzmu — spowodowały odwrót — i w. książe oddał kraj w ręce rewolucyi.

Wieść o tym wybuchu stolicy, piorunem przeleciała po kraju.

Każda pierś odetchnęła swobodniéj, choć niejedna głowa zakłopotała się pytaniem: jakiż koniec nas czeka?

Po wojewódzkich miastach stojące załogi z jenerałami, półkownikami swymi, bez wahania się stanęły po stronie powstania, które przez to natychmiastowe połączenie się, przybrało wyraz powstania całego narodu.

Dzieło młodzieńczego zapału przeszło w ręce umiarkowanych, a ci nie wierząc w podobieństwo mierzenia się z olbrzymem, chcieli poprzestać na uratowaniu swobód konstytucyjnych i w imieniu króla polskiego, wojować z carem.

Detronizacya Mikołaja zadała cios téj pośredniéj drodze, ale nie naprawiła tego, co było w kilku tygodniach zmarnowaném: ostudzony pierwszy zapał, nie tworzył już cudów.

Jenerał Morawski, jak tylu innych wyższych wojskowych, stanął tam gdzie byli wszyscy, gdzie był naród. Wiadomość o powstaniu zastała go w Lublinie zkąd zaraz do Warszawy pospieszył.

Gdy już rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie, naczelny wódz armii książe Michał Radzi-

wił mianował go jenerałem dyżurnym, i w takim charakterze miał udział w bitwie pod Grochowem.

Ze zmianą wodza, gdy tę najwyższą godność powierzono jenerałowi Skrzyneckiemu, tenże przedstawił go rządowi narodowemu na ministra wojny. Odtąd urząd ten z całą gorliwością i sumiennością sprawował do samego końca; i nie przypominam sobie żeby opinia, szczególniéj w wojsku, ozwała się kiedykolwiek z jakim przeciw niemu zarzutem. Nie mam na to szczegółów pod ręką, ale na pewne mógłbym twierdzić, że w czynnościach jego wydziału musiał być porządek, pilność i ta praktyczna trafność, która obiera najprostszą drogę, żeby głównego celu próżnemi formalnościami nie gmatwać i nie opóźniać. Jeżeli kiedy, to w tak ważnych momentach, funkcya jego musiała w najściślejszéj harmonii zostawać z nim samym, i być tak prawą i sumienną, jak on był sumiennym i prawym.

Z upadkiem powstania, jenerał Morawski należąc do liczby tych, co nie wierzyli w kombinacyę francuskiéj interwencyi, i w urojone pomoce ludów — pozostał w Warszawie, zdając się na los, jaki mu nieprzyjaciel wymierzy.

Niedługo ciężyła mu niepewność. Wzięto go i wywieziono w głąb Rosyi.

W Moskwie gdzie się dłużéj musiał zatrzymać, doszła go wiadomość, że się o niego dowiadywał jenerał Wincenty Krasiński, jak wiadomo niebiorący żadnego udziału w powstaniu. Umyślił więc z téj okoliczności skorzystać i tak list doń napisał:

„Ponieważ jenerał raczył w Petersburgu do-
„wiadywać się o moim losie, spieszę więc mu
„donieść, że wiozą mię do Wołogdy, 450 wiorst
„ku północy za Moskwą. Racz jenerał uwiadomić
„o moim pobycie Koźmiana i dzieci moje bawiące
„na Wołyniu, o których żadnéj nie mam wiado-
„mości przez rok cały czy żyją nawet. Gdy-
„bym mógł przez jenerała mieć o nich jaką wia-
„domość, wdzięczen byłbym niezmiernie. Parę słów
„od jenerała będą dla mnie nie małą pociechą; nie
„wiemy losu naszego.... Przepraszam za nudy
„czytania tego listu....

W Moskwie 17go listopada 1831 r.“

Z tych kilku słów widać jak dalece przykro było wygnańcowi uciekać się o małą przysługę, dostania wiadomości od dzieci, do osoby stojącéj w przeciwnym obozie. Serce ojcowskie przezwy-

ciężyło wstręt, i z całą godnością odwołało się do dawnego towarzysza bojów, do świetnego w swoim czasie reprezentanta chwały narodowéj.

Pośrednictwo to przyniosło pożądany skutek. Jenerał Krasiński starał się niejednokrotnie, polityczne swoje odstępstwo, zatrzeć prywatnemi usługami na korzyść prześladowanych współbraci.

Jakoż niedługo po przybyciu do Wołogdy, gdzie Morawski zastał innych towarzyszów wygnania, jak jenerała Rohlanda, Mrozińskiego, Czyżewskiego — uwiadomione przez Krasińskiego o pobycie ojca, dzieci, i Koźmian o pobycie przyjaciela, nie omieszkali pisywać doń, co niemałą było w nieszczęściu osłodą.

Mam przed sobą kilkanaście listów pisanych od naszego wygnańca z Wołogdy, do ojca i syna Koźmianów. W korespondencyi téj maluje się stan jego duszy, smutki i skąpe pociechy jakich przez dwa lata doświadczał.

„Jakżem szczęśliwy, że list mój was doszedł, „że wasz do mnie dopłynął, mówię dopłynął, bo „ta dalekość, rozległość, oceanem dla mnie. Je„steście więc zdrowi i spokojni. Bogu dzięki! I ja „byłbym takim, gdyby jaka nadzieja, choćby naj„biedniejsza zabłysnąć chciała, że was wkrótce

„obaczę, was, brata i dzieci; bo tam cały mój „świat, cała obecność i przyszłość. Miałem wczo- „raj dzień pogodniejszy. Dzieci mi przysłały „swoje miniatury. Tadzio bardzo podobny; Ma- „rynia daleko mniéj. Przytém list wasz przy- „był. Tyleż szczęścia zarazem, miałożby być wró- „żbą jakiéj wielkiéj radości, radości powrotu? Do „natury nieszczęścia to należy, że we wszystkiém „wróżbę widzi tak dobrego, jak złego; jedno nic „je ożywia nadzieją; jedno nic wtrąca w otchłań „czarnych marzeń. Największą męczarnią jest nie- „pewność.... Używacie więc już wiosny; u nas „jeszcze śniegi i lody*), ale za miesiąc znikną „może. Pomimo wszystkich uwag, rozumowań, na- „legań, próśb i gróźb Jędrusia, nic nie piszę. Du- „sza nadto wezbrana boleścią, nadto przepełniona „tęsknotą i żalem, aby je rymem stroiła. Więcéj „może jest teraz poezyi w duszy niż kiedykolwiek, „ale nie teraz zdolna powiadać co czuje teraz. „Minione szczęście lub nieszczęście, najlepiéj się „maluje jak wiosna w zimie; przynajmniéj taką „jest moja natura. Obecność ssie, zbiera, groma- „dzi jedynie; w przeszłość zamieniona nabiera

*) List ten pisany 16go kwietnia 1862 r.

„wdzięku wspomnienia, barwy poetycznéj. Ależ za „to czytam jak najęty... Żyjemy tu cicho, skromnie, „zgodnie, razem się stołujem. Ale żadnego pozna- „nia się z nikim, żadnego zdarzenia, wiadomości; „czas więc nieruchomy i długi, szeroki jak wieczność.“

Tu zaklina aby mu donosić jak najdrobniejsze szczegóły; przysyłać wiadomości literackie i poezye Koźmiana. Kończy zaś zdrowemi radami dla Jędrzeja, które możnaby nazwać programatem zachowania się dla całéj młodzieży, co w kraju została.

„Kochany Jędrusiu! młody jesteś, możesz so- „bie nowy świat, całą przyszłość stworzyć. Oddaj „się agronomii wyższéj, chłopkom twoim, poświę- „caj się sąsiadom, bliźnim, krewnym; wybierz „kilku przyjaciół, otaczaj uszanowaniem i szczę- „ściem rodziców; wolniejsze chwile przeznacz li- „teraturze, słowem, żyj dla drugich, a jeszcze „zostaje ci pole do działania i bogate i wielkie. „Starość posilać będziesz wspomnieniami cnotli- „wych usiłowań i śmierć będziesz miał spokojną, „swobodną, z uśmiechem na ustach, jak mówią „Skandynawi. Nie opuszczaj się; silnie chciéj, sil- „nie postanów sobie, a w rok lub dwa znajdziesz „to szczęście, którego ziemia nie odmawia, a nie-

„ba dozwalają; nie to szczęście, w które wierzyć, „za którém się ubiegać jest nietylko marzeniem, „ale i źródłem ogólnego nieszczęścia. Pamiętasz „co pisze Lamartine: *Le malheur des humains est „de croire au bonheur.*“

W moralném udoskonaleniu się społeczeństwa i organicznéj narodowéj pracy widział on więcéj rękojmi bytu, niż w politycznych gonitwach. Czy w tém się mylił? nie sądzę; dotąd bowiem bieg zdarzeń nie zadał mu kłamstwa.

Oprócz wielu strat materyalnych jakich doznał z powodu swego wywiezienia, była także strata dla literatury; teka z pracami jego gdzieś w téj zawierusze przepadła, jak to widać z listownéj wzmianki:

„Żal mi bardzo, że moich rękopisów mieć nie „możesz. Gdybym przynajmniéj wiedział co się „z nimi stało, i gdzie są; boć zawsze szkoda te„go co się nabazgrało przez lat kilkanaście, zwła„szcza że niektóre wiersze zyskały waszą po„chwałę. Jeźli dowiesz się o nich, donieś mi.“

W zbiorze tym miał być większych rozmiarów ukończony poemat pod napisem Yella, który przepadł bez słychu.

Trapiące myśli o klęskach ojczyzny, niepokój

o dzieci i o własną przyszłość, nie mogły w jego duszy zrodzić tych błogich natchnień poezyi, któreby potrafiły umilić nawet przykrzejsze jeszcze położenie. Nieszczęścia publiczne robiły zawsze na nim takie wrażenie, że pióro z rąk wypadało.... Nie mógł więc mieć téj pociechy, jakąby znalazł każdy chłodniejszy duch, umiejący się odgrodzić od wrażeń, tłumaczyć je sobie, ale nie przyjmować do serca. Tego on nie umiał, i nie mógł. Widząc wszystko w rozbiciu, co dotąd tworzyło idealną całość, sam czuł się jak rozbitym, w proch startym; a na takiém tle i w takiém usposobieniu, duch zaniepokojony nie snuje nic z siebie, i jeźli do czego może być zdolnym, to chyba do umysłowego mechanizmu. Piękne niebo, malownicza okolica, sympatyczny świat towarzyski, ruch i życie — to wszystko mogłoby potrącić choć jedną strunę poezyi — ale na północy Rosyi, w sąsiedztwie Sybiru, w Wołogdzie, mógłże znaleść tę podnietę?....

Posłuchajmy jak opisuje nowy Owidyusz, to swoje wygnanie:

„Z wczorajszym dniem ustała tu całotygo-
„dniowa wrzawa. Wyobraź sobie, że od chwili re-
„zurekcyi aż do przewodniéj niedzieli, wszystko

„co żyje idzie do dzwonnic i dzwoni. Dzieje się „to bez przestanku, i w mieście gdzie jest cztér- „dzieści cerkwi. Słyszeć, mówić nie można na „ulicy.... O ile gubernia jarosławska jest piękna, „o tyle ta, w któréj się znajduję, jest skąpo „uposażoną, i w ludność i położenia milsze. Do- „tąd nie widziałem tu innych drzew oprócz brzóz. „Z nich tworzą ogrody i tak je obstrzygają, jak „u nas niegdyś szpalery. Oprócz kruków i wron „innych ptaków nie widziałem. Choć na wiosnę, „jak mówią, mają tu bywać żórawie i dzikie gęsi. „Wróble są rarytesy w klatkach trzymane. Kru- „ków, kawek i wron tyle tu bywa w zimie, iż „czasem gałęzi w całym ogrodzie nie widać, tak „wszystkie drzewa obciążone są niemi. Na wie- „czór do rzeki po wiele tysięcy razem przybywa, „siada na śniegu i szuka u brzegu wody. Handel, „przemysł, do wysokiego stopnia tu dochodzi. „Miasta, wsie, wszystko zatrudnione przemysłem „różnego gatunku. Niema chłopa, któryby prze- „stawał na dochodach z roli. Każdy pracuje dla „miasta, lub ciśnie się do niego po zarobek. Je- „dni z zarobku uzyskanego w zimie płacą poda- „tek skarbowi i panu; inni kupują dla siebie „i dzieci wolność. Co także przyczynia się do

„przemysłu, to jest że panowie każą wielu z swo„ich chłopów uczyć rzemiosła, a to dla tego, że „sprzedając biegłego rzemieślnika, więcéj zań „otrzymują.“

Lubo handlarstwo i przemysłowość rosyjskiego ludu, lody i zawieruchy nie miały czém obudzić poetycznego zapału, jednakowoż opisuje raz jedną chwilę w ciągu swego wygnańczego żywota którąby można nazwać kwiatkiem z pod śniegu.

..... „Położyłem się wczoraj o godzinie 11éj „wieczorem. Księżyc świecił bładó i smutnie. „Kilkadziesiąt sani chłopskich wracało z miasta „na wieś przez moją ulicę. Zaczęto śpiewać na „tych saniach smętne dumki; to jest jednę tylko „wszyscy śpiewali, każde sanie swoją strofę i tak „czasem ostatnie sanie odpowiadały pierwszym „sankom. Nieuwierzysz jak to było melancholi„czne, smętne, urocze, jak przypominające gondole „Wenecyi. Wrażenie to było tém silniejsze, że „odpowiadało i smętności nocy i stanowi obecne„mu duszy. Otworzyłem okno mimo mrozu i ści„gałem te głosy niknące w dali i w zawiejach „burzy. Lud tutejszy bardzo jest śpiewający. „Przedmiotem wszystkich prawie pieśni jest mi„łość, melodyą smętność. Żal mi że rozumieć nie

„mogę. Chciałem użyć tego czasu na rozpoznanie „się w literaturze krajowéj, ale mimo wszelkich „usilności, nie znalazłem nikogo coby mógł i chciał „uczyć mię po rosyjsku.“

Czytaniem dzieł rozmaitych, najwięcéj francuskich, czas sobie skracał, ale o tém czytaniu powiada, że mu nie szło na korzyść; głowa znękana myślami nie przyjmowała tego pokarmu, wreszcie i książek się przebrało.

„Niemając co do czytania, pisze on, coraz się „bardziej zagłębiam w nauce Astronomii. Bez „globusa, narzędzi, pomócy nauczyciela, sam się „biedzę. Imaginacya będąc w samotności najsroż„szym darem, staram się ją zabijać twardemi „naukami, suchością rachunku. Lekkich płodów „czytanie nie przemoże czarnych marzeń i tych „długich myśli które tak dręczą okropnie, siły „trzeba aby siłę wykorzenić i złamać, ztąd też „do głębszéj wziąłem się nauki. Skończyłem tak„że Geologię. Znalazłem gramatykę angielską i „téj się też uczę. Mam nadzieję dostania staro„żytnéj historyi Goldsmitha, która jest bardzo „cenioną. Na zimę sprowadzę sobie botanikę, „chemię i książki agronomiczne. Ale co mówię „o zimie bliskiéj, kiedy już nadeszła. Przed kilku

„dniami *) mieliśmy tu już i śnieg i lody. Nigdzie „wyjść nie można było dla zimna; wszyscy krzy- „czymy tu na reumatyzmy, których trudno uni- „knąć; ten się na oczy, ten na nogę, ten na rę- „kę skarży, a wszyscy na serce....“

Można sobie wyobrazić jaką rozkoszą napawała go każda wiadomość o kraju:

„Z biciem serca odbiéram wasze pisma. „Ledwie list otworzę, już was czuję przy mojém „sercu i całe widzę Piotrowice, każdy kątek, tych „co są tam i co niegdyś byli, a teraz w grobie spo- „czywają. Po rodzinnéj wiosce Piotrowice najsil- „niéj do mojéj duszy przemawiają.

„Każde tam echo musi głos mój pamiętać. „Wystawiam sobie, że nieraz mówicie: przy tém „drzewie mówiliśmy z nim o jego żonie; tam w owéj „alei szarpał się o Szyllera; tam z matką waszą „nielitościwie rąbał drzewa dla odkrycia stawu; „a tu przy kominku kłócił się z kapitanem o sła- „wę Alwinzego! Jednych groby porwały, drugich „dalekość schłoniła, wszystko rozprószone. *Deus „afflavit et dissipati sunt.*“

Piszącemu zdawało się jednak, że listy jego

*) List ten z daty 24go września 1832 r.

muszą być suche i czcze kiedy z takiego miejsca pisane, gdzie nikogo nie znał, nic nie widział, gdzie nic się nie działo, coby interesować mogło. „Nie ob„winiaj o tę suchość serca mojego; wiécie co czuję „dla was, i łatwo pojmiecie jego cierpienia, choć wam „o nich nie mówi.... Trochę nawet boleści zrzucić z „serca, już jest szczęściem w mojém położeniu..... „Tym razem jednak nie mogę wam przesłać na„dziei, i Bóg wié czy kiedy jaka będzie. Może „tu przyjdzie kości złożyć! i nigdy już was nie „widzić, nie widzić dzieci!....."

Niejaką rozrywkę w jego smutkach przyniosła mu ballada którą Kajetan Koźmian napisał na niektóre figury grające niepoczesną rolę w ciągu rewolucyi. Występowała tam cała Honoratka z przeklętéj pamięci sprawcami nocy 15go sierpnia. Wygnaniec Wołogdy tak się rozpisuje nad tym utworem:

„Odebrałem twój list z tą srogą, piękną, świe„tną, czarną balladą ojcowską, która do wszy„stkich uczuć budzi, łez, śmiechu, litości, indygna„cyi, rozpaczy i wzgardy. Co za cudowna myśl „wsadzenia Grz..... tego potworu na rumaka „X. P. Obraz K.* z bocianią szyją, doskonały..... „Trzebaby cały list zapełnić cytacyami na po-

„chwałę godną téj ballady. Chaos brudu Hono-
„ratki, i ten Bóg morskich bałwanów, co budzi i ci-
„szy burze, żyją pod pendzlem poety. Ale sądzę,
„że poema nieskończone; trzebaby jakiś śmieszny
„koniec wymyślić dla Grz... któryby go podał
„i wzgardzie i szyderstwu wiecznych czasów....
„Takie potworki piętnować trzeba, dla przestrogi
„następnych pokoleń, które daj Boże, aby nauczyły
„się poznawać i cenić politycznych warchołów,
„podług ich rzetelnéj wartości!..... Wracając do
„twego ojca, proszę cię, nie daj mu próżnować;
„podstaw pod moje*) krzesło jaką machinę paro-
„wą, aby mu ognia i werwy dodawała. Niech na-
„pisze powrót na wieś; do któréj z Horacym przez
„tyle lat wzdychał. Szérokie pole! i sercu jego
„przedmiot odpowiadający. Niech czasem jaką
„wiejską scenę skreśli, jakiś widok, zdarzenie, ro-
„zmowę z wieśniakiem, zachód słońca, liście je-
„sienne, dumanie przed kominkiem, i tym podo-
„bne; kiedyś będzie to galerya wiejskich obrazków
„niepotrzebujących związku między sobą, ani dłu-
„giéj pracy. Widzisz że chciałbym go przerobić

*) Morawski ulubiony swój fotel, który został w Lublinie, ofiarował Koźmianowi, żeby w nim wygodnie oddawał się poetycznemu natchnieniu.

„na lakistę*), na człowieka téj nowéj szkoły „poetów angielskich, o któréj z tobą nieraz mó- „wiłem. Twój ojciec porwie się za głowę, że „znowu coś nowego się zjawiło, i bojąc się nale- „żeć do tego, nie będzie chciał wziąść pióra w „rękę; lecz każdy ma swój sposób pisania, każdy „swoje przekonanie, swój własny kolor i chara- „kter, i źle byłoby, gdyby się zmuszał do innego, „który nie jest w jego naturze. Wreszcie, każdy „przez inne przechodził koleje, marzenia, boleści; „na innych kształcił się wzorach, w inném żył „życiu.“

Rzadko jednak w tych listach z wygnania zajmują go przedmioty literackie, ani jeden dowcip nie wyrywa się z pod pióra z tą niespodzianością, z jaką ptak zrywa się z pod nóg myśliwca; najwięcéj jeżeli potrąci o przeczytaną książkę. Znać że dusza boleścią w nim struta, że umysł przygnieciony niepewnością losu, tęsknotą za dziećmi, za rodzinną ziemią. W odbieranych wiadomościach od Koźmiana zapewne pocieszano go nadzieją rychłego uwolnienia, ale on w nią nie

*) Wordsworth był reprezentantem téj szkoły poetów natury, dla tego zwanych lakistami, że nad jeziorem wiejskie zamieszkiwali ustronia.

wierzy: „Dziękuję ci za tę nadzieję, pisze w je-„dnym z ostatnich listów, którą mi przesyłasz; „dziękuję ci szczerze; choć prawdę mówiąc, i na-„dzieja już nie chce chwytać się serca, i myśl już „jéj widzieć nie umie.“ Same nawet wspomnie-„nia lepszych czasów stają się dla niego męczarnią: „Nie lubię wspomnień, bo i szczęśliwe i nieszczę-„śliwe smucą, w każdém jest łza. Odbierz czło-„wiekowi nieszczęśliwemu pamięć, a przestanie „być nieszczęśliwym. Tak to nadzieja zwodzi, pa-„mięć smuci, obecność ciśnie, nie wiedząc gdzie „się schronić!“

Tym razem jednak wieść dobréj nadziei prze-słana od przyjaciół, była zapowiednią kończącego się wygnania. Niema już listów z Wołogdy, naj-bliższy nosi datę wsi polskiéj.

IX.

W drugiéj połowie r. 1833 wrócony został Morawski rodzinie i przyjaciołom.

List pisany do Jędrzeja Koźmiana pod d. 19. sierpnia 1833 r. z Guzowa, w lubelskim, ja-kże odmienny tonem od listów wygnańca, jak wo-ny szczęściem powrotu.

„Zastałem tu mego brata z całą rodziną i no-

„wém małżeństwem; w ogóle siedmdziesiąt sześć
„członków rodziny, a jeszcze dwudziestu trzech
„brakuje. Bawimy się więc dość dobrze, ale nie
„tak mile i nie tyle dogodności jak w Piotrowicach,
„nie tyle wolności, bo jakże uważać trzeba, aby
„76ciu osobom dobrydzień powiedzieć każdéj, z ka-
„żdą się witać, żegnać, opowiadać ostatnie zda-
„rzenia i t. d. Ileż to razy nie odkłonię się, z roz-
„targnienia tyłem siądę do kogo, i tysiąc podo-
„bnych uchybień zrobię, a przytém już od 8méj
„rano trzeba być i na nogach i porządnie ubra-
„nym na śniadaniu ogólném. Nie takie więc ży-
„cie dla mnie. Mam przecież i tu kompensacye:
„widzenia brata i jego całéj rodziny, rozmowa z
„nimi, i te tysiączne dowody ich przywiązania do
„mnie, oprócz tego objeżdżam fabryki, których
„tu jest cztery, i tak blisko będąc Warszawy,
„więcéj wiedzieć mogę z nowin światowych.....
„Przebacz, że tak krótko piszę, bo piętnaście
„Moraszczat siedzi mi na karku, ramionach, ręku,
„nogach i głowie i wszystko woła „Stryjaszku!
„do gry Baru!“

Z licznego towarzystwa zatęsknił Morawski do szczuplejszego kółka Piotrowickich przyjaciół. List ze stycznia 1834 r. datowany, już z tamtąd

opisuje Jędrzejowi przebywającemu przy swojéj narzeczonéj w Galicyi, jak w całéj swobodzie lubego lenistwa lulkę pali, czasem ziéwa, czasem się téż i podąsa kiedy zanadto trucizny doleją do serca; czasem się téż pokłóci z ojcem Kajetanem, aby się tém czuléj przepraszać. Zdawało się, że teraz powinien był odetchnąć i otrząść się z kłopotów; gdzietam! przeciwności uderzały za przeciwnościami. Jenerał byłéj armii polskiéj, pozbawiony miejsca i płacy, musiał myśleć o zapewnieniu sobie egzystencyi, i zostać rolnikiem na kawałku dziedzicznéj ziemi, którą miał w W. ks. Poznańskiém; co więcéj, sprowadzić dzieci przebywające na Wołyniu przy ojcu swéj nieboszczki matki. Odwykłemu przez tyle lat od zatrudnień gospodarskich, nie uśmiechał się ten mozolny zawód, połączony jeszcze z trudnościami otrzymania emigracyjnego paszportu dla siebie, a szczególniéj dla syna, który mógł być mu odebrany z rozkazu cara, aby się wychowywał w jakim petersburgskim zakładzie. Były to chwile przykrego przéjścia, pełne obaw i niepokojów, o których często wspomina w listach. Między innemi, dzieci jego od trzech lat niewidziane, puściły się z ciotką w tę, na owe czasy ogromną podróż

z Polesia, w zimowéj porze — ale przyjechawszy na komorę do Uściługa, nie puszczono je dla braku jakiéjś paszportowéj formalności.... Wypadek ten pociągnął za sobą znowu kilkomiesięczną zwłokę.

„Wtenczas, kiedy każdą chwilę chciałbym opła„cić złotem, krwią — znowu tak straszliwa zwło„ka! Serce wreszcie nie wystarczy na tyle przy„krości, zawodów, boleści! czegoż ja już w tém „głupiém życiu nie zniósłem? Najdrobniejszego „nawet życzenia już nie śmiem rościć. Ledwie po„myślę jaką pociechę, już więdnie. Niechże mi „teraz Flaccus przychodzi z swoim *aequam men„tem*. Łatwo się tak prawi przy Massyku, pośród „róż Tyburu, ale zajrzawszy w rzeczywistość ży„cia, w głębie serc, w źródła tylu boleści, nie „tak się do człowieka przemawia. Nie mówi mu „się zapewne: becz! ale téż nie rzuca się tak „srogiego lodu na sam ogień uczucia. Ten czło„wiek nigdy nie musiał łzy widzieć; kiedy dernął „z placu bitwy, gdzież podział *aequam mentem*? „Nie cierpię go, czy dla tego że jest bez serca, „czy dla tego że mi go przez wszystkie otwory „i pory wtłaczano, i aż do niesmaku nim prze„sycono. Zdanie moje przecież nic w téj mierze

„nie znaczy; mówię tylko o mojém uczuciu, nie „szydzę z innych, że się w nim rozmiłowali; nie „chcę oziębiać ich roskoszy.“

Zapewne w tém rozdrażnieniu jakiego doświadczał od przeciwności, musiał go Kajetan Koźmian uspakajać i nieraz cytować jaki stoiczny morał z ulubionego sobie rzymskiego poety, co spowodowało ową wycieczkę, prawdę powiedziawszy, dość słuszną.... Pięknie brzmiąca wymuskana saficka strofka, nietęgi to balsam na sercowe rany.

Na wygnaniu kiedy był pozbawiony wolności, ustępował przed niepodobieństwem; lecz teraz wolny, czując się w każdym kroku skrępowanym — niedziw, że się gryzł i szamotał....

Jędrzéj K. zgadując ten jego niepokój, ciągle go nakłaniał do pisania.

„Nudzisz mię zawsze tém wołaniem: Pisz! „Chyba nie wiesz co się w mojéj duszy dzieje. „Kontent jestem, że przynajmniéj rozumieć mogę „co czytam, a ty chcesz żebym tworzył! Do obu„dzenia poezyi w duszy trzeba zapewne pewnéj „dozy nieszczęścia; ale kiedy się téj trucizny co„dzień więcéj dolewa, kiedy się chodzi po cier„niach, śpi na cierniach, kiedy wszystkie wielkie „i cała szarańcza małych przykrości oblegnie czło-

„wieka, kiedy chwili nawet odetchnąć nie dadzą,
„rójże tam rymy, roskoszuj po polu marzenia! Je-
„źli potrafisz — winszuję; ja nie umiem. Pozwo-
„liłem sobie dzisiaj wziąść Byrona z twojéj księ-
„garni, i czytałem cały ranek Manfreda. Gdybyś
„tu był, tłomaczylibyśmy go razem, choćby prozą
„lub białym wierszem, więcejby język poetyczny
„zyskał na tém, jak na całym Owidyuszu Ki-
„cińskiego.... Kiedyż się już ożenisz? Potém, co
„piszesz o swojéj narzeczonéj aż miléj spojrzyć
„na ziemię i niebo..... Czemuż nie mam lat dwa-
„dzieścia? poszedłbym za twoim przykładem, te-
„raz mówię sobie:

„Zacóż gonić za szczęściem po téj łez dolinie,
Gdy zaledwie schwycone już na zawsze ginie;
I kiedy nic w tém życiu tak ciężko nie boli
Jak gdy się znikłe szczęście przypomni w niedoli.
„Za cóż gonić za szczęściem, które gdy się straci
Już go żadne późniejsze sercu nie odpłaci;
Zawsze to, co już grobów pokryło się mrokiem
Milszym przez mgłę przeszłości nęci nas urokiem.
„Za cóż gonić za szczęściem, gdy już życie mija;
Tylko się w serca wiośnie, kwiat szczęścia rozwija;
Pod słońcem on młodości zakwita jedynie,
Raz on tylko wystrzela, i na zawsze ginie.“

W tym wewnętrznym rozstroju, w bijących

na niego z różnych stron przykrościach, urodziły się te prześliczne trzy strofki — a mimo tego w listach swoich ciągle utrzymywał, że nie pisze. I prawda; nie pisał długo obmyślanego, na szeroki warsztat nałożonego dzieła — ale od czasu do czasu wydobywał się z jego duszy jęk, kwilące ptasze, w złotych piórkach poezyi.... Innym razem, posyła wiersze, jak powiada: „jeszcze cie„płe, przed trzema godzinami w drodze do Lubli„na zrobione“ — był to ów fragment charakteru*), w którym odmalował siebie i stan swój wewnętrzny.

Jest czas, który przywodzą niedole lub lata,
Gdzie człowiek nic już w siebie nie naciąga z świata,
Tém żyje, co ma w duszy: już do swego łona
Nie przyjmie żadnéj kropli czara przepełniona.
Syty ludzi i życia, zamknął dni swych dzieje;
Sława mu bez uśmiechu, bez wdzięku nadzieje;
Wszystkie, wszystkie pogrzebał w wielkim serca grobie,
I żądzę nawet szczęścia już wygasił w sobie.
Jak ów robak, co w własnéj sklepi się osnowie,
Tak i on nić tę ciągnie, co się życiem zowie....
....Nie wyszydza on obcych zdań, uczuć lub marzeń.
Lecz inną wiarę, czucia, z własnych powziął zdarzeń.

*) Patrz pisma Franc. Morawskiego we Wrocławiu 1841. Tom I.

Pod barwą on innego żeglował okrętu,
Inną prawdę wyczerpnął z ludzkich działań mętu:
Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy,
Taki został, skamieniał, sama śmierć go skruszy.
Rycerz to jest, co ziemskie już zamknąwszy boje
Bronzowym chwały płaszczem okrył postać swoję;
Stanął niemym posągiem pośród świata wrzawy.
Niczém on już przybranéj nie zmieni postawy,
Jeden tylko i jeden zawsze wyraz twarzy,
Jaką myśl dano czołu, taką stale marzy;
A gdzie raz zwróconemi wpatrzył się oczyma,
Tam je ciągle, niezmiennie, wiecznie wryte trzyma."

„Ale cóż to za dziwak! powiesz. Może być; „lecz ten dziwak zrozumiał siebie bardzo dobrze „i ciebie kocha czule. Żal mi teraz, żem te „wiersze tu skreślił, bo dla frankomanów niedość „wylizane; a dla tych, co sądzą o literaturze „podług czasów ś. p. Augusta trzeciego, będą „głupie. Mniejsza o to, może są głupie istotnie."

To co w wyznaniach jego listowych tu i owdzie spotykamy, znalazło się w tém drobném ognisku poezyi. Nie jest to zatem byroniczne drapowanie sie w czarny płaszcz mizantropa; nie jest to urojona liberya przesytu, i pysznego nieszczęścia, nawdziéwana dobrowolnie przez bajro*nizujących* młodych marzycieli, ale szczéra spo-

wiedź duszy, stan jego rzeczywisty. Nie wiem okoliczności, lecz mógłbym się domyślać, że był jakiś nacisk na niego, żeby z pod chorągwi pod którą od lat najmłodszych tak zaszczytnie służył, przeszedł do innego obozu. Może były jakieś uśmiechające się widoki karyery; może paradoxami politycznemi usiłowano zachwiać z mlekiem wyssaną wiarę, doświadczeniem nabyte przekonanie? Ostatnich pięć wierszy powyższego fragmentu wyraźną ma cechę wyznania, które byłoby tylko próżną przechwałką z patryotycznych sentymentów, gdyby nie było odpowiedzią na coś, co zaszło.....

Otóż i nadeszła upragniona chwila oglądania dzieci! w kwietniu (1834) przyjechały z Wołynia.

„Dzieci są tu od tygodnia. Za trzy dni „rozjeżdżamy się. Panna Kamilla (siostra żony) „z Marynią na Wołyń, ja z Tadziem do Luboni. „Nowe życie, obowiązki, zatrudnienia, powołanie, „związki, towarzystwo, czekają mię. Trzeba się „całkiem przetworzyć. Przykra ta nagła prze- „miana w wieku, gdzie już wszystko zastarzało „w człowieku; ale cóż począć! Dobra chęć to- „rować będzie drogę, a Bóg pomoże.“

Jenerał z synem wyjechał w Poznańskie i osiadł w dziedzicznéj Luboni.

X.

Tak więc w pięćdziesiątym pierwszym roku życia wstępował w nowy zawód: został rolnikiem.

Gospodarstwo ziemskie w W. K. Poznańskiém nosiło już wtedy odmienny całkiem charakter od sposobu gospodarowania w Galicyi, Królestwie, Litwie, Wołyniu, gdzie w najlepsze utrzymywał się pańszczyzniany stosunek, a z nim tradycyjny tryb uprawy. W Poznańskiém rolnictwo wymagało obrotowych kapitałów, wkładów, dużo nauki i praktyki agronomicznéj, a nadewszystko ciągłéj pilności. Gospodarz nie mógł się spuszczać ani na rosę niebieską, ani na ręce nic nie kosztujące, ani się tém pocieszać: jeden rok chybi, drugi nagrodzi — tylko sam musiał dokładać trudu, nauki i kosztu, żeby nietylko wyżyć, lecz utrzymać się przy majątku;... bankructwo bowiem wywłaszczało odrazu — kiedy w innych częściach Polski, osobliwie w Galicyi, na obdłużonéj własności można było, jak z defektem, żyć długie lata....

W takich okolicznościach, nic dziwnego, że *nowemu* gospodarzowi wieś nie uśmiechała się

sielanką. Opowiada też swoje mozoły, kłopoty i liczne niepowodzenia spotykające go na samym wstępie.

„Gospodaruję od ś. Jana; zmuszam się do „zasmakowania w tém rolnictwie, któreś tak pię- „knie opiewał, przecież nie mogę doorać się téj „roskoszy, którą lutnia twoja przyrzekała. Pra- „cuję, bo tak potrzeba i obowiązek względem „dzieci każe. Najstarsi ludzie wyobrażenia takiéj „posuchy nie mieli, na jaką teraz patrzymy. Siana „ledwie czwarta część; jarzyny niedojrzały, lecz „uschły; koniczyny, któréj bywało po 200 fur, „ani jednéj w tym roku; wszystko wypalone, stu- „letnie drzewa schną; o milę bydło do wody pę- „dzą i to jeszcze brudnéj; słowem, biéda chuda, „żółta, martwe inne żywioły i sam ogień działa....“

W późniejszym liście znowu się skarży: „Pra- „cuję jak wół, a nic nie przybywa. I wam zape- „wne gospodarstwo nie łatwo idzie; lecz gdybyśmy „mieli wasze przestrzenie, gorzelnie, lasy i pań- „szczyznę, mniemalibyśmy się bardzo bogatymi.

„Muszę orać i orać, i całe życie wstecz prądowi „naturalnemu działać. Czułem, że powinnością być „żołnierzem, i byłem nim; czuję, że trzeba prze-

„dzierzgnąć się na kmiecia, i znowu nim jestem;
„lecz żadnego z tych zawodów nie lubiłem.“

Nie lubił, a jednak w każdym z nich wyrósł nad pospolitość, tak wielkie było u niego uczucie obowiązku, tak silną wola w przełamaniu swoich skłonności.... Iść za popędem wrodzonych pociągów mniéj zasługi, niż się odznaczyć w tém, co dla nas nie ma uroku; pierwsze jest własnością talentów, drugie charakterów.

W kilku listach kreśli on niektóre wybitniejsze różnice prowincyi Wielkopolskiéj:

„Zupełnie tu inny charakter towarzystw wiej-
„skich. Gospodarstwem wszyscy zajęci, rzadko się
„widują, a widząc się, o gospodarstwie tylko mó-
„wią. Czytają, lecz nie wspominają nawet o tém.
„Wystawności więcéj jak u was, lecz może mniéj
„czułości, mniéj węzłów przyjaźni, mniéj pierwo-
„tnéj prostoty w obcowaniu i we wszystkiém.
„Nie ma już i jednego kontusza, nie znajdziesz
„go nawet na tandecie. Miasto Poznań nie leży
„w środku cywilizowańszéj części Księstwa po-
„znańskiego, z tąd mało uczęszczane. Nie należy
„przecież obwiniać téj prowincyi, że tak wyłącznie
„zagonowi się oddała; taki bowiem jest tu stan
„rzeczy, że bez tych wysileń wszyscyby zbankru-

„towali. Szkoda tylko, że te nadzwyczajne wysi-
„lenia, skutki potrzeby, do nadzwyczajnéj téż
„kalkulacyi i spekulacyi wszystkich zmuszają,
„i z tąd dawna prostota ucieka od pługa okrze-
„sanego. Jest jeszcze wiele i zalet i błędów wła-
„ściwych téj prowincyi, ale nie chcę tu o nich mó-
„wić; przecież dodać winieniem, że szlachetność
„i wyobrażenie honoru do wysokiego posunięte
„stopnia; a więcéj może nawet religii niż w in-
„nych stronach.

....„Okropnéj klęski doznają tu moje uszy,
„słuchając polskiego języka tutejszych mieszkań-
„ców. Odwykły od 28 lat od tego grubego dźwię-
„ku, oswoić się z nim nie mogę. Mówią bardzo
„gramatykalnie, jak to już Kopczyński uważał, ale
„wymawianie, intonacye, przekształcanie wyra-
„zów i gęste germanizmy są nieznośnemi dla świe-
„żo przybyłego. Szczególna rzecz, że gdy chłop-
„stwo i między szlachtą starzy ojcowie tak mówią,
„młodzież, która na niemieckich kształciła się
„uniwersytetach, czysto i dźwięcznie mówi, zape-
„wne dla tego, że przez oddalenie się na lat kilka
„od wiosek, odwykła także od téj grubéj, ruba-
„sznéj i najgminniejszéj mowy. W tym zupełnie
„sposobie Niemcy psują niemczyznę w okolicach

„Wiednia. W zimie mam zamiar zasiąść do dyk-
„cyonarza poznańsko-polskiego. Jakżeby się szla-
„chta gniewała na mnie, gdybym tego dokonał.“

W Tygodniku literackim poznańskim, podobnoś z r. 1841, były trzy listy: jeden z Paryża przesiąkły zwrotami francuskiemi, drugi z Wołynia zaprawny urzędową moskiewszczyzną, trzeci z Poznańskiego z wszystkiemi lokucyami i germanizmami tam używanemi. Koncept w nich wyborny, a rzecz tak ułożona, że wszystkie osobliwości zepsutego języka produkują się jak na paradzie. Być może, że pomysł wyszedł od Morawskiego, a nawet że on sam do niego rękę przyłożył. Czy tak jest lub nie, zawsze rzecz dowcipna, nie mogła wyjść tylko z dowcipnéj głowy. *On ne prête qu'aux riches.*

Zostawiwszy pióro Morawskiemu, żeby sam skreślił moralną dyagnozę prowincyi Wielkopolskiéj, winienem dać pejzaż okolicy, w któréj leżała Lubonia, w czém daję się wyręczyć pióru Stanisława Koźmiana, znanego współwydawcę Przeglądu poznańskiego*), autora wybornego dzieła o Anglii i tłómacza Szekspira,

*) Redagował go przez lat 20 wspólnie z bratem swoim księdzem Janem Koźmianem.

który, jako niedaleki sąsiad Luboni, i zażyły z Jenerałem tak (w udzielonych mi notatkach o ostatnich dziesięciu latach jego życia) kreśli ten wielkopolski zakątek: „Lubonia leży w płaskiéj, nie„uroczéj, ale żyznéj i ludnéj okolicy. Pełno tu domów „zamożnych i miłego sąsiedztwa. W długim dniu ma„jowym, lub czerwcowym, można było z łatwością „dziesięć domów objechać i w każdym godzinę zaba„wić.... Z noclegu w Goli u Gustawa Potworo„wskiego jadąc na nocleg do Xięztwa Sułkowskich „w Rydzynie, można było wstąpić do Józefa Łu„bieńskiego w Pudliszkach, Józefa Mycielskiego „w Rokosowie, Marcelego Żółtowskiego w Drze„wcach, Referendarza Morawskiego w Oporowie, „Wojciecha Morawskiego w Oporówku, Jenerała „Morawskiego w Luboni, Stanisława Mycielskie„go w Punicu, Leona Mielżyńskiego w Pawłowi„cach. Z tych Rydzyna, Rokosowo i Pawłowice „były najwystawniejszemi; ale Oporowo i Lubonia, „najprzyjemniejszemi domami. Mały i niepoczesny „dworek w Oporowie bywał najczęściéj punktem „zebrania całéj rodziny. Gdzie się to i jak wszy„stko mieściło, wytłumaczy chyba właściwość do„mów polskich rozszerzania się do nieskończono„ści. Zastawałeś więc zawsze ciasne a niskie po-

„koiki pełne córek, zięciów, wnucząt, krewnych i „sąsiadów, ale w nich jak wymiótł, jeżeli w po- „bliskim kościółku było nabożeństwo. Towarzy- „stwo zwykle grupowało się około Referendarza*) „albo jego żony. Nierzadko znalazłeś w niém „gości z najrozmaitszych i najoddaleńszych dziel- „nic Polski. Wiadomo jak liczną jest rodzina Łu- „bieńskich. Pod koniec życia pan minister liczył „niemal sto osób wprost od siebie pochodzących, „a do każdéj przynajmniéj raz w rok pisywał. „Ta to pochopność do korespondencyi, która ca- „łą tę rodzinę odznacza, sprawiała, żeś w Opo- „rowie zawsze zastawał najświeższe i najobfitsze „wiadomości ze wszystkich stron świata. Ztąd téż „wstępna pogadanka przechodziła natychmiast w „poważną rozmowę, to o polityce, to o literaturze, „w któréj starsi i młodsi równie gorący udział „brali. Kogokolwiek z nich zapytasz w jakimbądź „przedmiocie, wszystko wie, wszystko umie, w ka- „żdéj rzeczy ma dowcipne lub mądre zdanie, a „przecież słucha cię uprzejmie, bada, pragnie się „nauczyć, i najmniejszą zasługę podnosi i wychwa- „la. Nadzwyczajną zdolność i dziwną ruchliwość

*) Józefa, starszego brata jenerała i żony, z domu Łubieńskiéj, córki byłego ministra.

„umysłu swych dzieci, umiała roztropna matka
„ująć w karby niezłomnych zasad i pokierować
„ku poważnym i pożytecznym, a bezpiecznym nau-
„kom. Ona sama jedna wszystkie wychowała i wyu-
„czyła. Zmuszona często całe dnie przepędzać w łó-
„żku z powodu puchliny w nogach, obracała godziny
„wolne od lekcyi na pisanie wykładów dla ma-
„łych dzieci. Niektóre, jak n. p. historyę, poto-
„cznym wierszem układała. Kajety te, przepisy-
„wane w mnogich exemplarzach, dotąd służą w
„wielu rodzinach wielkopolskich do pierwszych
„nauk dzieciom. Połączona ścisłą przyjaźnią z Je-
„nerałową Chłapowską i Xiężną Antoniową Suł-
„kowską stanowiła z niemi jakby areopag, do któ-
„rego zewsząd młode matki udawały się po radę
„i naukę. O pobożności i rozlicznych cnotach téj
„przezacnéj pani, nie tu miejsce mówić. Chwała
„Bogu, wzory takie nie są rzadkie w Wielkopol-
„sce, ale można śmiało powiedzić, że i w téj pro-
„wincyi rzadkością było tyle cnót pociągających
„niezrównaną pokorą i słodyczą. Rozszerzyłem się
„nad tém kółkiem oporowskiém dla tego, że tu
„Jenerał prawie codzień bywał, tu czerpał wiele
„wiadomości a może i natchnień, tu nieraz znaj-
„dował zbawienne karby dla swego dowcipu i ku

„poważniejszym myślom kierunek. Lubonia leży
„tylko o kwadrans drogi od Oporowa. Droga jak
„na strzał prościutka, zawsze doskonale utrzy-
„mana, wysadzona topolami i tylko w jednym
„miejscu przecięta wjazdem do Oporówka, sama
„już pokazuje że łączy domy, albo dwóch braci,
„albo dwóch serdecznych sąsiadów. Wszakże
„postać Luboni nieco odmienna. Dom dawniej
„mały z niskiemi pokoikami wielce się rozszerzył
„i upiększył rozmaitemi i ozdobnemi przybudowa-
„niami. Z jednéj strony obszerny pokój Jenerała,
„z drugiej gustowna kaplica, w koło zgrabna we-
„randa, wszędzie mnóstwo ślicznych ozdóbek, na-
„dały mu nadobną powierzchowność. Ogród bar-
„dzo miły i starannie utrzymany, pełno wody,
„na stawach wysepki, na ślicznych trawnikach
„odwieczne dęby. Sama natura miejsce i granicę
„mu wskazała, tworząc jakby lekko zaklęśniętą
„dolinkę na tych płaskich obszarach.“ —

Powyższy obrazek, mianowicie co do opisu Luboni, do późniejszéj należy daty. Kiedy Jenerał obiął gospodarstwo, niebyła ona jeszcze tak uroczą, jak to widzimy z niniejszego listu opisującego oddalonym przyjaciołom obraz trybu życia w Luboni i dającego wizerunek téj wsi wielkopolskiéj:

„Mam domek dość schludny; ogród niezmier-
„nie wielki; mieszkam, poprostu mówiąc, w roz-
„ległym lesie. Są i kilkowieczne dęby. Półtora
„tysiąca drzew rodzących; łąki przedziwne w ogro-
„dzie; kilka stawów, które w naszych płaszczy-
„znach są bogactwem. Karczmę i stajnię wysta-
„wiłem porządne pod dachówką. Drogi zaczy-
„nam wysadzać owocowém drzewem, gdyż i to
„jest rodzajem przemysłu w tych stronach. Po-
„łożenie wioski dalekie co do piękności od Pio-
„trowic, ale najładniejsze w Poznańskiem. Wieś
„przepełniona ludnością, co u was jest klęską
„dla pana. Role mam żytne; najstarszy nawóz
„pięcioletni. Dobytek w najlepszym stanie; las na
„potrzebę miejscową dostateczny. Co rok dosa-
„dzam pięćkroćstotysięcy w zagajeniach. Łąki
„jedne z najlepszych w tym zakącie. Byłoby więc
„z czego żyć, ale wkłady niezbędne, landszafta,
„i inne wydatki, wszystko to razem zebrane, wiel-
„ką trudność zadaje....

„Wstaję z dzwonkiem, bo u mnie wszelka
„praca w polach i na dziedzińcu, zaczyna się
„i kończy z dzwonkiem. Wychodzę natychmiast
„i patrzę, czy roboty wszystkie rozpoczęte, potém
„wracam, budzę Tadzia; pijem śniadanie w ogród-

„ku jego, a potém trudnię się jego lekcyami. O je-
„denastéj wyjeżdżam konno przekonać się jak ro-
„bota szła od rana. O drugiéj jadam obiad. Po
„obiedzie patrzę znowu czy roboty rozpoczęte;
„potém lekcye przez dwie godziny; spacer, her-
„bata, dyspozycye robót na dzień drugi, wieczerza,
„długa rozmowa o znajomych, przyjaciołach w Pio-
„trowicach, krewnych w Stydyniach; potém sen,
„i tak codziennie cały czas spędzamy.... Gazet
„mi tu nie braknie; książby nie brakło, ale nie-
„podobna ekspensować na nie, a więc nie wiem
„co się dzieje w literaturze. Wreszcie przy tylu
„trudach i kłopotach niepodobna zajmować się
„tém, co sprawia przyjemność. Otóż masz cały
„obraz Luboni i jéj właściciela. Nudzi go okro-
„pnie gospodarstwo, gospodaruje przecież gorli-
„wie, bo tu opuścić się nie można na chwilę bez
„straty niemałéj. Nie to przecież życie mi przy-
„stoi; nie nawykłem do niego i nie stworzonym
„do niego. Czuję to w każdéj chwili i codzień bar-
„dziéj.“

.....„Czemuż nie jesteście tu blisko? Miałbym
„przynajmniéj ulgę w oglądaniu was, w pomówie-
„niu z wami, gdy tu tylko o owcach, kartoflach
„i zagonach wieczne dyskusye, do czego nawy-

„knąć nie mogę. Pojmuję, czemu ta prowincya „nigdy nie wydała poety wyższego. Dąb nawet „porządny jest tu rzadkiém zjawiskiem....“

Późniéj jeszcze wymowniejsze robi wyznanie:

„Wiesz z mojéj rozmowy w Karlsbadzie, jak „tu poecie duszno jest w Wielkopolsce, gdziebym „ledwie dwie osoby mógł znaleść mające cokol- „wiek zmysłu poetycznego, lub prawego smaku, „rozsądnych uwag w téj mierze. Co nie czasowe, „nie ma ponęty. Sam Homer i Tasso mniejby tu „znaczył od dobrego piwowara.“

Późniéj jeszcze, bo niemal po dwudziestu latach zamieszkania w Wielkopolsce, skarżył się Jenerał na brak uczucia dla tworów poetycznych, przed Stanisławem Koźmianem współredaktorem Przeglądu w tych słowach:

„Mógłbym lub Xenie, lub jaką bajkę po- „słać wam do Przeglądu, ale lękam się nares- „cie, aby widząc zawsze moje wiersze, niesądzili „czytelnicy Przeglądu żeście mi jednemu pra- „wie przyznali przywilej świecenia w piśmie wa- „szém. Chcecie, przeszlę, ale i nie bez obawy i nie „bez przekonania, że miernością was częstuję. W am- „baras tylkobym was wprowadził, bo niewiedzie- „libyście co robić ze starym Jenerałem, którego

„ramot przyjąćby nie wypadało. Mamy w księ-
„stwie poetów znakomitych, jakimi są: Stanisław
„Koźmian, Konstanty Zakrzewski, Berwinski,
„Zmorski, Lenartowicz, czemuż do nich niezastu-
„kać, nieotworzyć im pola do popisu. Czytelnik
„i pismo zyskałoby na rozmaitości talentów. Cze-
„muż od stryja (Kajet. Koźmiana) czego nie za-
„sięgnąć, od Wężyka, od znajomych, od Pola.
„Nieprzytaczam tu B. bo takie nudne poczciwo-
„ści bez talentu zająć nikogo niemogą. Niedziw,
„że w księstwie coś podobnego drukują, gdzie
„wiersz Goreckiego o zdrajcy ojczyzny podzi-
„wiano, gdzie Jachowicza mają za bajkopisarza,
„a wdzięków Zaleskiego poezyi nieczują, wyjąwszy
„Przenajświętszéj Rodziny dlatego, że to
„nabożne. Piasczystą to i głuchą Saharą co do
„poezyi jest nasze księstwo; żadnego echa, ża-
„dnéj woni, prócz kwiatu kartoflanego. Kobiety
„nawet bardzo rzadko posiadają coś podobnego
„do zmysłu poetycznego, zresztą żadnéj znajo-
„mości sztuki. Aby u nas poezya zajęła, trzebaby
„czyjeś wady wytknąć, lub uszczypnąć Niemców,
„lub jakiś ideał niepojęty wyrazić, któryby tem-
„bardziéj podziwiano, imby mniéj go zrozumiano.
„Księstwo jest prawdziwym czyścem dla poety,

„gdzie nie ogniem, lecz lodem dokuczają duszy „gorącéj, lub wzniosłéj. Czujesz to sam dobrze, „ale nieśmiesz tak śmiało powiedzić, jak stary „gdéracz....“

Lubo jenerał narzekał na ten brak towarzystwa któreby nietylko harmoniowało z jego wykształceniem literackiem, ale i dawało podnietę, bez czego trudny zawód pisarza, a osobliwie poety skazanego przemawiać do martwych głazów, płacących mu obojętnością — to przecież w kole swojém rodzinném, bardzo licznem, znachodził młodych, wykształconych ludzi, pełnych entuziazmu dla wszystkiego co piękne, co wzniosłe, których przedewszystkiém zajmował ojczysty język i literatura, ten jedyny wyraz ducha narodowego spędzonego z innych pól działania. Jednym z takich był syn jego brata Józef, kilkakrotnie poseł na sejm berliński, a dzisiejszy Dyrektor landszafty, z którym często korespondował w materyach literackich lub politycznych. Po ukazaniu się Giaura byrońskiego w przekładzie Mickiewicza o czém zapewne p. Józef donosił, Jenerał taki list pisał: „Giaura! na Boga Giaura przysyłaj, bo „uschnę z pragnienia. Wierzyłem jeniuszowi Mic„kiewicza, wierzę twemu smakowi, że przekład

„musi być silny i gładki jak oryginał, i im bar-
„dziéj wierzę, tém bardziéj pragnę. Pytasz czym
„czytał list twój do Oporowa*) pisany? A któżby
„nieczytał i ust na dwie wersty nierostworzył?!
„Grzmisz jak Etna, parzysz jak lawa; Bóg wie
„komu się niedostało: narodowi całemu, literatu-
„rze, politykom, guwernerom, kupcom i ledwie
„nie trawie rosnącéj w téj biednéj ziemi. Aby
„dąb sprostować chcesz wszystkie soki zwrócić do
„korzeni, potém go ściąć, aby rósł prosto. Szkoda
„że dęby drugi raz nie puszczają z korzeni, i że
„trudno, aby wszystkie drzewa oparły się ze-
„wnętrznemu wpływowi. Niema ludu, któryby był
„zupełnie tém, czém być był powinien. Z resztą
„ta chęć poprawy i spostrzeżenia téj potrzeby nie
„zaczynają się wcale od księgi, którąś odczytał.
„Stare są, niezmiernie stare. Maurycy je nawet
„zmodyfikował.“

Domyślam się że jenerał uwagi te odnosi

*) W Oporowie, jak już nadmieniłem, mieszkał starszy brat jenerała Józef, referendarz, mąż znakomity obywatelstwem i nauką. Gdy mu się dziwiono, że żadnych dzieł nie pisał — powiadał że czyni to z obawy, aby przypadkiem jakie jego słówko nie podało komu złéj myśli, nie wprowadziło w błąd, nie zgorszyło. —

do którego z dzieł wydanych w tym czasie przed emigracyą, jak: Księgi pielgrzymstwa lub Historya Powstania Mochnackiego, lub nareszcie pan Tadeusz Mickiewicza. O tym ostatnim wielkim utworze poety wyraża się w dalszym ciągu listu z licznemi zastrzeżeniami i bynajmniéj niepodziela entuzyazmu swego synowca. Morawski przywykł był uważać poezyę jako ogólny wyraz narodowego ducha; tymczasem w panu Tadeuszu dostrzegł prowincyonalizm, powiatowszczyznę, i przeto raził go nieco odrębny charakter i koloryt od ogólnego charakteru i kolorytu narodowego. W pewnym względzie stał on w obozie tych, co bojąc się podobnych lokalnych wyróżnień, uderzyli na Mickiewicza za sam początek poematu: „Litwo, ojczy-„zno moja!“ — Witwicki pierwszy powstał przeciw téj nowéj ojczyznie odrywającéj się od zbiorowéj. Nie można brać za złe stawiającym opór téj nowości; przeczuwali oni przez mgłę poezyi, że w dalszém następstwie przyjść może do rozkładu na ludowości, na powiatowszczyzny; i jeżeli grzeszyli przeciw swobodzie poety, mającemu wybór śpiewać to, co go najsilniéj porusza, co się w jego wyobrażenia i uczucia wprzędło —to jako obrońcy myśli ogólnéj i całości żyjącéj w tradycyach słu-

szność mieli po swéj stronie. Z téj właśnie zasady wychodził Morawski gdy następował szczególniéj na pierwszy tom Pana Tadeusza i odmawiał interesu téj części opowiadania; drugi dostawał jego absolucyę, bo tam poeta wprowadza rok 1812, maluje rozbudzony patryotyzm Litwinów i przemawia tonem szczytniejszym epopei. — Jak widzimy Morawski nie mógł się pogodzić z tą potoczną dykcyą pełną zaniedbania, prozaiczną jak życie codzienne, krotofilną jak wiersze Baki — i wziął ją za ubliżenie godności przedmiotu, zapominając że do odmalowania powszednich spraw zaściankowego życia pędzel Wirgila, a nawet Byrona, którego tak lubił, byłby tylko dostarczył konwencyonalnych, lub fantastycznych obrazów i figur, nieprzystających do serca ani Litwinom, ani nikomu. — Więcéj uzasadnione są uwagi co do postaci Jenerała Dąbrowskiego, którą poeta pokazał w drugim tomie Pana Tadeusza; lubo nie można go winić, że się nad Dąbrowskim krótko zatrzymał, kiedy i on sam ukazał się na Litwie tylko przechodem. Posłuchajmy jednak, jak Morawski pojmował Dąbrowskiego, a raczéj jak go malował: „Wreszcie jakiż blady ów kolos naszych dziejów: Dąbrowski! Wystaw sobie boha-

tera ojaśnionego słońcem Rzymu, zatrącającego okropnie niemczyzną, przybranego w kurtę sarmacką, któraby piwniczemu Batorego ledwie do kroju przypadła, i w téj kurcie mówiącego znowu językiem Petrarki, rozumującego z wyższym smakiem o cudach sztuk Italii, w każdym kroku chcącego kopiować Czarnieckiego, w każdym czynie patrzącego na historyę, chciwego sławy, nie znaczenia zwykłego; najbieglejszego historyka i znawcę dziejów ojczystych, najtrafniejszego obserwatora charakteru narodowego, kobiet naszych; prawiącego ciągle tysiące śmiesznych dykteryjek o Polakach, wiecznie podciągającego stare pludry; zwinnego często lisa, zwłaszcza z cudzoziemcami; nakoniec kochajacego Polskę szczerze, jako pole swojéj sławy, jako drogę do wielkiego imienia. Oto go masz zrysowanego lecz dopiero w części. Jestże takim w Panu Tadeuszu? Gdyby nie było mowy o Legionach i imieniu Dąbrowskiego, możnaby w tym samym obrazie umieścić Biegańskiego, Hebdowskiego, Kopcia. Nikt go może bliżéj nie znał odemnie; nikomu się tyle nie zwierzał przez lat jedenaście, co mnie; przed nikim nie obnażył tak prawdziwego Dąbrowskiego jak przedemną, dla tego téż ja może najmniéj będę zawsze za-

spokojony jego rysem. Autor (Mickiewicz) powinien był lepiéj schwycić te rysy, gorliwiéj o nie pytać; nie rojonego, lecz prawdziwego dać nam sławy naszéj człowieka.“

Zdaje mi się, że Morawski zbyt wiele tu wymaga, więcéj, niż poecie wypadało zrobić przez wzgląd na sam układ poematu, a głównie, że Dąbrowski tylko w przelocie ukazał się Litwinom. Jemu to raczéj możnaby uformować zarzut, dla czego znając tak dobrze Dąbrowskiego, nic o nim nie powiedział w swoim Dworcu Dziadka, chociaż była potemu sposobność. Cała druga część tego poematu, byłaby przez to ożywiła się i nabrała rzeczywistości, a mianowicie pewnego charakteru, któryby po wszystkie czasy był krystalizacyą téj pamiętnéj epoki. Wódz legionów, wymodelowany przez poetę co pod nim walczył, co go znał z blizka, co wtajemniczył się w jego sposób myślenia, co go wreszcie tak wysoko cenił — zyskałby „nieurojony“ posąg, którego nieszczęściami skołatana ojczyzna dotąd nie mogła mu postawić.

Zarzuty robione Mickiewiczowi nie zawsze są trafne i słuszne, mianowicie pod względem poetyckiego kunsztu; co zdaje się być winą dawniej-

szych, warszawskich uprzedzeń, niewychodzących jednak po za obręb poufnéj pogadanki lub korespondencyi. Sam nie wiem więc, czy z tytułu, że do potomności należę, wolno mi uchylać tę zasłonę i wyjawiać to, co do jawności przeznaczoném nie było. Skrupułu tego jednak nie możnaby się spodziewać i w późniejszych czasach, jeżliby listy te wpadły w ręce jakiego autora ciekawie śledzącego ducha téj literatury i tych wyobrażeń, jakich przedstawicielem był Morawski i jego współcześni. Zajrzyjmyż teraz do innego listu, gdzie z powodu artykułu o Hoffmanie, niemieckim humoryście, napisanego przez znanego naszego romansopisarza, uderza na ducha objawiającego się w powieściach, a mianowicie na fałszywe doktryny tendencyjnie rozszerzane w téj najprzystępniejszéj formie.

„Autor artykułu o Hoffmanie (pisze Morawski) utrzymuje, że chcąc poznać Hoffmana, trzeba go całego przeczytać. Nam się zdaje, że każdy autor ma prawo tego się domagać, jeżeli stanowczy wyrok chcemy o nim wydać; każe się wpoić w jego najtajemniejsze myśli, co ma zapewne znaczyć, że trzeba go dobrze zgłębić, i niepowierzchownie czytać. — Ale czyż o każdym tworze nie-

można tego samego powiedzieć? Każe się zniemczyć, aby zrozumieć Niemca — to zdaje nam się trochę za nadto. Umalujmy posąg Apolina z Belwederu, niech drugi Rafael tego dokona, w całą prawdę koloru przybierze, a płakać będziemy nad zniżeniem boga, bo sztuka do pewnego tylko stopnia naśladować powinna, a nie służebnie kopiować, przerabiać, że tak rzekę, materyalnie. Przez to właśnie sztuka jest sztuką, że nie powtarza niewolniczo i wszystko bez braku, co tylko przedmiot natury w sobie niesie, lecz poetycznie tylko rysy jego zdejmuje i w całość przybiera. To jest właśnie jéj tworzeniem, to całą jéj wysokością, że idealizując nawet niemą naturę, wlewa w nią jakąś myśl tajemniczą, która oddźwięk swój w każdéj znajduje duszy, że przybiera wszystko w pewne kształty, które taką są rozkoszą estetycznego uczucia, a przecież nie kłóci się z prawdą przedmiotu..... Wiesz dla czego chwalą dzisiejszych powieściarzy? Oto dla tego, że zwracając literaturę do grubości gminnéj, do najniższéj powszechności i pomiatając gustem, sławą i społecznością, słowem wszysto detronizując i zniżając wszystko, niwellują i torują drogę do tego celu, który mają przed sobą i za którym tak gorąco

dążą. Nie o literaturę im chodzi. Jest ona tutaj tylko środkiem. Niech gadają co chcą, niech się klną na wszystkie bogi, że to łgarstwo — Credeat Judeus. Oto im idzie, aby wszystko zbłocić wprzód, i z błota tego dopiero nowy świat ich marzeń wywieść.

Zdaje mi się żem zajrzał w samo jądro ich myśli. Bóg wie, com nabazgrał. Dziś odbieram list i dziś odpisuję. Berwiński*) ma ci także coś z uwag swych dołączyć. Czekam na nie. Ale nad wszystko pisz do Wosia**), w którym powieściarz więcéj może jeszcze indygnacyi wzbudził niż w nas, i któremu Zygmunt Krasiński powiedział iż na każde wspomnienie tych ramot flaki mu się przewracają."

Jeszcze wtedy, kiedy Morawski pisał te uwagi, literatura powieści nie doszło była tych rozmiarów, do jakich doszła późniéj, ani do tych nadużyć, w jakich się przesadzała zatruwając społeczność naszą wszystkiemi jadami pożyczonemi, a raczéj wyciągnionemi z śmietników literatury

*) Ryszard Berwiński dla talentu swego poetycznego był wielce przez Morawskiego ceniony.

**) Wojciech Morawski syn Józefa starszego brata Jenerała wstąpił po śmierci żony w stan duchowny.

francuskiéj lub niemieckiéj. Ucisk ciężący na prasie dziennikarskiéj, kazał przyjąć tę na pozór niewinną formę romansu, aby w niéj łatwiéj było przemycić wszystkie teorye społeczeńskiego wywrotu gnieżdżące się w głowach francuskich romansistów. Podżegać nienawiść jednych warstw społecznych przeciw drugim, emancypować kobietę, ubogiego uzbrajać przeciw bogatemu, usprawiedliwiać zbrodnię, zrzucając winę na społeczność źle urządzoną, ubóstwiać namiętności dla tego, że wywracały każdy organizm — oto w przecięciu były zasadnicze ideje wszystkich prawie romansów potrąconych nie wewnętrznym stanem naszych towarzyskich stosunków, lecz nowościami przychodzącemi z zagranicy.

Nowy romans Balzaka, Eugeniusza Sue, nawet Pawła Koka odfotografował się zaraz na tle pejzażu i kostiumu polskiego. Marawski, jak z powyższego listu widzimy, postrzegł się na grożącém niebezpieczeństwie, tak samo jak Michał Grabowski w swojéj Literaturze i Krytyce gdy z całą siłą przekonań i zdrowych zasad, wystąpił był przeciw tak zwanéj szalonéj literaturze francuskiéj. W wybornych argumentach tych rospraw smakować mogli ludzie wykształceni, którzy je

czytali; atoli, niedostały się one do rąk podrzędniejszéj masy czytelników, która zasypywana powieściami, coraz więcéj smakowała w tym rodzaju, z czego cieszyli się optymiści, powiadając że przez to spopularyzowała się literatura, że smak do pism polskich jak z jednéj strony rozszerzył się na dół, tak z drugiéj w wyższych sferach czytających tylko po francusku, powytrącał z rąk książki zagraniczne. Prawda, pomnożyła się liczba czytających, lecz w zamian nabyliśmy tyle rozkładowych pierwiastków, że zamęt pojęć i obecne rozbicie ducha, możnaby bez wielkiego naciągania przypisać téj romansowéj propagandzie, która, jak wszelki chwast wybujały głuszyła nieraz najwonniejsze kwiaty uczuć i myśli.

Morawski w roku 1836 wybrał się z synem na Wołyń, obracając drogę na Kraków i Galicyę.

„Przebyłem wzdłuż całą Galicyę — pisze „on — śliczny kraj. Ziemia tak bujna, że mierz„wićby nią można. Bieda zaczyna pędzić do „przemysłu. Język czysty. Chłop pijak i nędzny. „Całą Wieliczkę to jest kopalnię obszedłem. Mo„głem, jak to mówią: *faire les honneurs de Wie„liczka* jako pierwszy jéj zdobywca w r. 1809, „jako dowódzca tameczny, jako gospodarz nawet

„dawanych tam wówczas balów dla króla saskiego „i księcia Józefa. Anibyś się domyślił, żem i ja „kiedyś skakał i skakał potężnie; ale zbiegła „przeszłość — oni zmarli, a ja podobno bliski „podagry....“

Pobyt swój w Stydyniach na Wołyniu tak opisywał Jędrzejowi K.:

„Ciekawy może jesteś, co tu robię, lub ra„czéj jak nic nie robię? Tym razem robię. Pro„stuję koszlawe gospodarstwo, wykoszlawione in„teresa, daję gramatykę angielską Maryni, czuwam „nad nauką Tadzia. Czytam czasami gazety. Cóż, „gdy od Równego do Pińska tylko jest jedna — „jedna — jedna rzeczywiście na mil trzydzieści „Polesia! Byłem w Niewiorkowie, i tam znowu „upiłem się gazetami, tyle ich było.... W czasie „dwóchtygodniowych mrozów obrałem sobie szcze„gólną pracę. Bez oryginału, z pamięci jedynie „przekładałem Paryzynę wierszem.... Późniéj, „dostawszy oryginał, przełożyłem Więźnia Czyl„lonu. Wszystko to potrzebuje wiele poprawy i „radbym się z tobą widział dla miejsc niepewnych „dla mnie, to jest, czy dostatecznie wydane.

....„Tadzio ćwiczy się w językach starożyt„nych i wiele w nich postąpił. Ja głównie za

„starożytnymi obstaję, aby się wyuczył w sposób „przybierania wielkich myśli w proste barwy; co „tém potrzebniejsze, że żyjemy w wieku, gdzie „wielu (nie wszyscy) myśl małą w tysiąc farb „przyobleka, jakby w szatę Arlekina. Grecy więc „zwłaszcza bardzo mu będą przydatni. Nasi fran- „cuzko-polscy poeci nadto byli obdarli język z „wszelkiéj poetycznéj barwy, lub chude myśli „chudo wydawali; teraz zaś wielu, jak n. p. Sło- „wacki, tak smaruje farbami, że nietylko poza „niemi myśli, ale i sęsu nie dojrzysz. Do Gre- „ków więc, do Greków literatury, wrócić nam „potrzeba.“

Zdanie to o Grekach czytał Kaj. Koźmian i zaprotestował przeciw niemu, ujmując się za Rzymianami i przyznając im wyższość, na co Morawski w innym znowu liście tak odpowiedział:

„W ostatnim swoim liście powstawał na mnie „twój ojciec, że Grecyę nad Rzym wynoszę. Nie „zgodzim się nigdy w téj mierze. Wartość histo- „ryczna każdego ludu zawisła od dobra, które „uczynił dla świata. Oprócz prawodawstwa i kilku „nowych obrotów wojennych, nic nowego nie stwo- „rzyli Rzymianie; a cóż dopiéro gdybym mówił o „dobrém dla innych. Co do nauk, jednego wa-

„żnego odkrycia nie zrobili w Astronomii, w nau-
„kach matematycznych, a literatura bladą tylko
„kopią greckiéj była. Szeroko się rozciagnęli i
„dużo narobili hałasu — i cóż zostało? Chcąc
„Rzymian wyższość okazać, niech ich z nowoży-
„tnymi równa, lecz nigdy z Grekami. Tam źródło
„wszystkiego co tylko piękném było i będzie."

Mógł był jeszcze dołożyć, że metodę w umiejętnościach winni jesteśmy Grekom; jeniusz ich filozoficzny unosił się nad wszystkiém i ład wprowadzał; kiedy Rzymianin obrany z jeniuszu, stanowił tylko prawidła....

„Pisze mi twój ojciec, że tylko kartoflami
„umysł zatrudniam; przecież w jednym roku prze-
„łożyłem trzy poemata Byrona. Teraz odpocznę
„już na dobre. Nie zgadzam się przecież z tobą,
„żeby wiek ten nie miał swojéj poetycznéj strony.
„Zaszłe słońce Napoleona, wściekłe na nieszczęście
„i rozhukane namiętności, jakby czarne Oceanu
„fale, burze za burzami, a za niemi jak wielka
„dla ludów przestroga: widmo rewolucyi francuz-
„kiéj: jednych zdziczała radość, drugich jęk, jak
„świat rozległy: hymny Byrona, Walter Skota,
„Hugona, ekspedycye do północnego bieguna; od
„zagona aż do gwiazd posunięta wielka masa

„wiadomości naukowych, i tyle, tyle innych przed-
„miotów w niepoślednią odrębną indywidualność
„i barwę poetyczną, świat ten przyoblekły; a
„jeżeli rachunkowość i przemysł naszych czasów
„za antypoetyczne uważasz, na to ci odpowiem:
„gdzież więcéj rachuby, jak w Anglii; a któryż
„nowszy naród miał podobnych poetów i to wła-
„śnie w naszéj epoce? W którymże to kraju 12
„tysięcy egzemplarzy dzieła poetycznego w je-
„dnym dniu rozkupiono, jak w Londynie?“

To pewna, ż w każdym czasie, osobliwie w naszym, częste bywają utyskiwania na brak poezyi — skonała, już ją pogrzebiono. Atoli prawdziwa poezya nie umarła i umrzeć nie może, dopóki Bóg nie zmieni praw ustroju ludzkiego; poezya bowiem jest najwewnętrzniejszym żywiołem natury naszéj. W dzieciństwie narodów jest ona uczuciową i fantazyjną — czuje a nie rozmyśla: późniéj tracąc prostotę nieświadomości, zmienia swój sposób, wdziewa inne kształty, używa innego języka — ale swéj treści nie zmienia. Kiedy w zeszłym wieku różami wonne pisano wierszyki na cześć pięknych oczek — dziś poeta usiłuje śpiewać głosem narodu, i jak gwiazda przewodnia prowadzić go ku ziemi obiecanéj: wolności w

porządku, jedności w prawdzie. Ci co szyderstwem podkopują wiarę serca, co z sfery ideału ściągają w zmysłowe brudy, co jadem nienawiści trują duszę, szczepią przesyt i nudę — ci, choćby nałożyli na swoje wiersze jak na wschodnią księżniczkę wszystkie klejnoty wielkiego mongoła — nie więcéj zrobią je poetycznemi, jak wtedy, gdy palcami liczono zgłoski, a rymów szukano w słowniku.

Pomimo mozołów gospodarczych i czuwania nad naukami syna obudzała się w naszym poecie coraz więcéj literacka czynność. W listach jego częściéj się już spotykają kwestye estetyczne i literackie; bierze nawet taki udział w pismie peryodycznem: Przyjaciel ludu, wychodzącém w Lesznie pod redakcyą Prof. Poplińskiego, że nietylko sam do niego pisze, lecz i obu Koźmianów skłania do umieszczania prac swoich.

....„Z moich rzeczy — pisze w 1837 r. — „w tych tygodniach były drukowane bajki, Edward „staroszkocka ballada, Wizyta w sąsiedztwo, Gier„mek śpiew historyczny, i scena z Julii i Romeo. „Teraz kończę balladę: Góra Poznańska. Pary„zyny i Więźnia Czyllonu nie radbym drukował „przed widzeniem się z tobą. Piszę oprócz tego

„niekiedy prozą do innych czasopismów... Wszakże „niebawem przyjdzie mi zamknąć moją malutką „karyerę literacką, gdyż mając zamiar zamieszkać „we Wrocławiu, aż nadto wiele będę miał do „czynienia z Tadziem: ale wy możecie po zago- „nach marzyć i rymy łapać.“

Przeniósłszy się do Wrocławia dla czuwania nad edukacyą syna, tak się ze swoich usposobień spowiada:

„Już więc na dobre porzuciłem pióro, nic a „nic pisać nie będę. Ważniejszy cel mam przed „oczyma; edukacya Tadzia, pilnowanie lekcyi „wszystek czas mi zabiera; a wreszcie proza ka- „szy, mąki, rachunków domowych do reszty wy- „susza imaginacyę. Mieszkam przytém w prze- „chodniéj tylko komnacie, a na takich kurytarzach „trudno coś zrodzić. Wreszcie nic nie zrobiwszy, „coby mi imię nadało przez tyle lat, na starość „bym téż nie potrafił lepiéj; a więc na co się „męczyć. Przyjdzie co, przyjmę; lecz mozolić się „już nie myślę. Bierz diabli wiersze. Wiek ten „także innych barw i form żąda; a nam trudno „już wydobyć się z tych do których przywykliśmy“.

Wyznania tego o swoich własnych zasługach w piśmiennictwie, nie można brać za ową fałszy-

wą pokorę, udaną skromność, ażeby tém efektowniejszą ściągnąć pochwałę. Rzeczywiście tak było że jenerał choć pisał, mało dbał o swoje pisma. Często w listach powtarza: „Czytam dużo, „i widzę że z czytania najwięcéj odbieram ko- „rzyści, więcéj jak z tego, cobym nabazgrał. Nigdy „nie byłem i nie chciałem być autorem ni poetą. „Pisałem, jak przyszła ochota. Ustała, więc i „ja ustałem. Gdyby znowu kiedy przyjść miała, „znowubym pisał, bez marzeń o laurach, sławie, „potomności. Pocóż więc sam siebie mam dusić? „czyż niedość duszą lata, troski i ktoś tam „jeszcze....“

Potwierdza to Kaj. Koźmian w swoich Pamiętnikach*), gdy mówi: „Morawski żadnéj miłości ojca do swoich tworów, a zazdrości nawet cienia nigdy w całém życiu nie okazał. Wszystko odnosił do kraju, do dobra literatury, nie do siebie i dla siebie:

„Więcéj się cudzą sławą, niż swoją weselił.“

Prawda jest, lecz z drugiéj strony niebyło nikogo, coby więcéj dbał o przystojne wypuszczenie tworów swych na widok publiczny jak on.

*) Tom III. wydany w Krakowie 1865.

Każdy wiersz przechodził cenzurę swego twórcy, wielekrotnie gładzony i poprawiany. W czém podobny był do troskliwego ojca, dającego najwyborniejszą edukacyę i ogładę swym dzieciom, a potém się już nietroszczącego co zrobią ze sobą. Tak i płody swe sumiennie wyrabiał, nietroszcząc się bardzo o ich powodzenie w czytającym świecie, jeżeli przyjaciele musieli je dopiero wyciągać z zapomnianych szpargałów.

Przez ciąg zamieszkania we Wrocławiu nie odmawiał jednak współudziału w wydawnictwie dzieł swojego przyjaciela Koźmiana, którego Ziemiaństwo, zaczęte już w druku przed powstaniem, i temi wypadkami przerwane, teraz za staraniem Edwarda Raczyńskiego wydane być miało. Zdaje się że Koźmian chciał pewnych zmian w swoim poemacie, zapewne z obawy żeby nie ściągnął na siebie prześladowania władz rosyjskich jako obywatel Królestwa. Zmiany te zdawały się Morawskiemu ubliżające i szkodliwe dziełu, dla tego przesłał następne uwagi:

„Zdaje się że będzie niepodobieństwo, po„godzenia tylu względów jakich ojciec wymaga, „a nie zaszkodzenia dziełu. Ja tego nie pojmuję „jak się to da zrobić. Trzebaby dzielniejszéj re-

„zolucyi, takiém lękliwém oglądaniem się na wszyst-
„kie strony musi cała poezya pójść w kąt, a jeżeli
„poezyę odbierzem Ziemiaństwu, które właśnie
„najwięcéj jéj potrzebuje, cóż to będzie? — Wolę
„wam się zawczasu mojéj myśli zwierzyć, gdyż
„jestem pewien, że i ze mnie nie możecie być
„kontenci i pewno nie będziecie. Będą to *dis-*
„jecta membra, których tym sposobem sam dja-
„beł nie pozszywa. Wyrwij serce człowiekowi,
„zostanie trup; tak téż i z tém dziełem będzie.
„Zostaną także piękne formy, barwy; lecz tego,
„co wiodło do pisania, tego, co było duszą, i
„najbardziéj za duszę chwytało — nie będzie....
„Jakkolwiek bądź, będę wam usłużnym. Żal mi
„tylko, że całe dzieło tak obszelmowane, poob-
„dziérane — co musi być koniecznie, jeżeli, jak
„ojciec chce, i na te i na tamte strony mamy
„zważać.“

Przedstawienia Morawskiego musiały odnieść dobry skutek, bo Ziemiaństwo wyszło na widok publiczny w pierwotnéj swojéj postaci. Edycya była piękna, ale z powodu dość drobnego i ścisłego druku, ze spodziéwanéj grubéj książki, zrobiła się miernéj objętości, o co autor miał do Morawskiego urazę, z któréj ten łatwo się wy-

tłómaczył, przedstawiajac, że Raczyński będąc właścicielem rękopisu sam wybrał papier, format i czcionki, on zaś zajmował się korektą, i nieraz „nad jednym arkuszem całe godziny po nocach „ślęczał.“ — „Choć mi twój ojciec tak zaciekły i „tysiącem ostrz raniący list napisał, nie mam do „niego żadnéj urazy. Szlachetność uczucia piérw„szą iskrą gniewu jego była, aby nie sądzono, że „zbyt wiele od prenumeratorów wymagał. Przez „szacunek dla tego uczucia przebaczam zbyte„cznemu uniesieniu się, i sądzę że wiele dowodów „przyjaźni daję, bo nie każdaby taką próbę wy„trzymała.“

W parę lat po wydaniu Ziemiaństwa, zajął się wydaniem własnych pism, którym niedał nawet zwykle używanego tytułu: Poezyi, chociaż do niego więcejby mogły mieć prawa, niż tyle innych niedonoszonych płodów młodzieńczéj muzy. Zbiór ten nakładem autora wyszedł we Wrocławiu w r. 1841 oznaczony jako tom pierwszy poezyi. Drugi który nigdy nie wyszedł miał zapewne zawierać pisma prozą.

Przedmowa do téj książki jest wymownym dowodem jego interesowania się dolą ludu; powiada bowiem: „Korzyść pieniężną jakaby z dru-

kowania pism moich okazać się mogła, przeznaczam na utworzenie funduszu, z któregoby coroczny zasiłek czerpać mogli ci wieśniacy mojéj włości; którym los niedozwolił posiadania własności gruntowéj.“

Poezya nie była u niego piękną abstrakcyą, chciał on, żeby głód utulała i nie jedną łzę nędzy otarła. Prawdziwy Poeta-ziemianin z staréj rodziny Kochanowskich, Zimorowiczów, Wacławów Potokich, Karpińskich. W zbiorze tym zgromadził wiele lirycznych kawałków z dawniejszych lat, i nowsze tłómaczenia, niemniéj kilkanaście legend z podań gminnych. Najwięcéj oryginalności ma fragment: Wizyta w sąsiedztwo, w rodzaju domowych obrazów Pana Tadeusza. Najwięcéj polotu śliczny liryczny kawałek: Żeglarz powietrzny, prócz misternie przeprowadzonéj całości, nie brak tam strofek jak ta, co maluje natchnienie:

Są więc te stanowcze chwile,
Chwile życia, wieki chwały,
Gdzie dusza w całéj swéj sile
Rzuca się w zawód zuchwały:
Gdzie z głębi siebie przywoła
Wszystko, czém się podnieść umie,

I gdzie człowiek wszystko zdoła
Co być podobném rozumié.

W legendach nie zawsze trafiał w prostotę i koloryt pieśni gminnéj; za to w niektórych dziwnie się przejął humorystyką ludu. Dość gdy wymienię powiastkę z nad Warty: Chłop i djabeł, która bardzo może zająć miejsce obok Pani Twardowskiéj. Najwięcéj dowcipu i werwy mają epigramata; to jego rodzaj w którym nie dał się przewyższyć, jak np. w wierszu do Milczącego Jaksy:

Sowo Minerwy, perło Appola
Szczytna topoli w poetów klombie,
Ty, coś tak piękne grywał nam sola
Na Feba trąbie.
Sławny pijaku krynic parnaskich,
Coś Bielawskiego, coś Jacka przepił,
Któż ci na wieczny smutek Moraskich
Gębę zalepił?
Był czas, gdy jeden Bóg nas prowadził,
I przyjacielskie godził nam lutnie,
A każdy z nas się na koncept sadził
Kto lepiéj utnie.
Wtenczas to jakby Etna wzburzona
Wiersześ nam miotał, wierszem grzmiał, ryczał,
Dziarski twój pegaz zadarł ogona
Wierzgał i kwiczał.

Każden ci wprawdzie łatki przypinał,
Lecz i tyś dowiódł, że umiesz kąsać:
Poznał świat wówczas co za kryminał
Jaksą potrząsać.

I zkądże po téj bójce tak grackiéj
Milczysz na wieczne dni mych zatrucie?
Zapiej, ach zapiej — grzędy sarmackiéj
Sławny kogucie!

Nie brak u niego i w poważnym tonie głęboko pomyślanych, i z czuciem oddanych epigramatów, godnych owych dystychow antologii greckiéj. W strofkach pod napisem: Trzy mogiły, zamknął obraz całych naszych dziejów, i położył na nich napis lapidarny; który późne pokolenia powtarzać będą:

Trzy góry znojem sypane narodu,
Lackiego Nilu piramidy wzniosłe;
Trzy groby, z grobu Ojczyzny wyrosłe,
Stoją w obliczu królewskiego grodu.
Stoją — jak Bardy, co w przyszłość daleką
Sędziwą sławę swojéj głoszą ziemi,
Jak Alpy czasu, pomiędzy któremi
Przeszłość tak pełną przepłynęła rzeką.
Mieszczą się śród nich całe lat tysiące,
I z pełnią chwały i zagubą bratnią:
Słońce, chrobremu ludowi świécące,
Weszło nad piérwszą, zgasło nad ostatnią, —

W ostatnim wierszu słychać płacz milionów....

W ogóle o jego sposobie pisania osobliwie dawniejszym można powiedzieć, że każdy wiersz wypolerowany, połyskliwy, płynny, zaokrąglony. — Jest tam za wiele téj okrągłości i wygłady, zacierającéj pierwsze rzuty pędzla, ostre ale śmiałe, jak je zapał duszy wyrzucał. Maniera kropkowania była wadą téj szkoły, do któréj długo należał: piłowanie, szlifowanie wierszy wchodziło do reguł jéj poetycznego kodeksu, co sprawiało że się stawały tak wykwintnemi, jak cedzona mowa przez zęby, zawsze należąca do nienaturalnego sposobu mówienia. Zbytek sztuki, szkodził poezyi; odejmował jéj ciepło, rysy charakterystyczne zacierał. Nałożone na język kajdany, wielu słowom i lokuciom odmawiały prawa obywatelstwa; a ubieganie się za jasnością, pociągało za sobą ogólnikową wodnistość, bez malowniczości i energii. Czytelnikowi nic nie zostawiono do domysłu. Morawski który miał w sobie ducha poetyckiego, osłabiał go tą manierą. Muza jego z płomiennemi oczyma Gulnary, rzewna jak słowik przyśpiewujący miłosnéj schadzce Julii i Romea, chodziła w sznurówce i sukni z czasów konsulatu lub cesarstwa. Sam to czuł, gdy mó-

wił: „Wiek ten także innych barw i form żąda, a nam trudno już wydobyć się z tych, do których przywykliśmy.“ — W wielu jego poezyach podziwiasz rozmysł, całość doskonale ujętą, rysunek poprawny, drgnięcia prawdziwe serca — ale sposób w jaki je wygłasza, zostawia cię zimnym.

Tłómaczy to dla czego z wyjściem na świat nie zrobiły tego wrażenia do jakiego miały prawo; co jeszcze nie przeszkadza żeby w innych czasach nie miały być stawiane za wzór czystości mowy, harmonii i wdzięku. Zdawałoby się że on sam kreślił charakter swoich lirycznych tworów w téj strofce wiersza; Do śpiéwającéj Z*.

Żaden kwiat się nie rozwinie,
Żadne szczęście nie wypłynie
Z bujnych, dzikich uczuć wzbicia,
Z pięknéj tylko miary, zgody,
Płynie błogość, dźwięk swobody,
Piękność śpiewu, piękność życia!

XI.

Nieumiem powiedzieć z jakich powodów, lecz w zbiorze listów służących mi do niniejszéj monografii, Znalazłem tylko kilka i to niewiele znaczących listów od r. 1839 do 1845. Niedostatek

ten, lubo pozbawia nas wielu rysów charakteru, i umysłowych wyznań, człowieka pracującego myślą — jednakże o ile wiem, w ciągu tym zaszedł jeden tylko ważniejszy wypadek w jego świecie domowym: córkę wydał za mąż — dobrze dla ludzi — szczęśliwie dla ojcowskiego serca. Marya została żoną hr. Karola Jezierskiego i zamieszkała w Krolestwie, w Mińsku. Zresztą życie szło zwykłą koleją: skończył edukacyę syna, gospodarował, odwiedzał przyjaciół, jeździł do córki i zięcia, ci odwiedzali go nawzajem, a kiedy wena przyszła, w długich zimowych wieczorach złożył się jaki poemacik lub bajeczka... Dopiéro styczeń 1845 r. przyniósł zdarzenie sąsiedzkie, które miało rozgłos w kraju, a Morawskiego tak z prywatnych jak obywatelskich obchodziło względów. Tém zdarzeniem był zgon Edwarda hr. Raczyńskiego, męża wysokiéj zasługi, i wielkiego miłośnika rzeczy ojczystych.

W kilku listach do Jędrzeja Koźmiana tak opowiada Morawski szczegóły tego zgonu, nie obojętnego, choćby tylko pod względem psychologicznym:

„W téj chwili wróciwszy z Rogalina, piszę „natychmiast do ciebie, aby ci opisać ten zgon

„straszliwy, którym najzacniejszy z ludzi umarł. „Pokazało się teraz że już od dwóch lat miewał „Raczyński napady czarnéj melancholii, które prze„cież krótkie i przelotne bywały. Żonie tylko i „niektórym domownikom stan ten był znany, lecz „go tajono ile możności. W ostatnich ośmiu mie„siącach przyłączyło się jeszcze i najboleśniejsze „ściśnięcie serca, a w ostatnich dwóch miesiącach „zaród choroby, która go zgładziła, tak się rozwi„nął, że już i doktor wahał się czyby go nie zo„stawić pod strażą. Przeniesiono podróż do Włoch, „jako mniéj gwałtowny środek. Przystał na to „lecz śmierć prędzéj nastąpiła, nim przygotować „zdołano wszystkie paszporty. Od roku przyzna„wał się spowiednikowi, żonie, że myśli samo„bójstwa odeprzeć nie może; codziennie pacierz „oddzielny mówili razem ku odwróceniu téj myśli; „pilnowano go i w domu i w drodze; goręcéj niż „zwykle modlił się i wszelkich przepisów kościoła „się trzymał — nic nie pomogło; moralna cho„roba, i boleści serca tak gwałtownie się wzmo„gły, że nakoniec obłąkaniu uledz musiał. Obłą„kanie to i śmierć z obłąkania, tak były pewne, „że nie tylko lekarze zaświadczyli to najsumien„niejsi, ale nawet władza kościelna kazała go na

„świętéj ziemi pochować. Gdzie czyn ostatni w „tak nadnaturalnéj jest sprzeczności z całém ży- „ciem czlowieka — tam niezawodnie było obłą- „kanie umysłu. Widziałem go u siebie w lecie, „przed miesiącem byłem u niego, i choć nikomu „tego nie mówiłem zauważałem obłąkanie oczy- „wiste, i przewidywałem coś okropnego.

„Cóż to za dramat straszliwy odgrywał się „w jego duszy, jaka walka! pasował się bowiem „z obowiązkami względem kraju, z tak silnie „ugruntowaną w sobie religią, i z tém przywią- „zaniem do żony i syna, które tak gorącemi te- „raz się okazały. Wiedział że czyn haniebny „spełnia — spełnił go przecie! Aby pojąć czyn „podobny w takim człowieku, trzebaby pojąć „wprzódy ten stan duszy nadnaturalny, gdzie sa- „mo życie jest chorobą; istnienie ciężarem nie- „znośnym; śmierć potrzebą. Choroba tak mo- „ralna jak fizyczna, gdy do najwyższego dojdą „stopnia, zarówno śmiercią kończyć się muszą „obiedwie, i żadna nie jest samowolności skutkiem. „Ludzie potępiają podobne zgony, i słusznie czy- „nią; ale Bóg lepszy i litościwszy od nich, czę- „ściéj niż myślą, przebaczy.

„Z największym namysłem przygotowywał

„wszystko do téj śmierci. Dziwna rzecz, że za-
„wsze podobne przygotowywania noszą cechę nie-
„szczęsną najzimniejszego rozsądku i rzadkiéj prze-
„zorności i oględności na wszystko. Urządził
„majątek, porobił legaty znaczne dla dobra pro-
„wincyi naszéj; żonę, syna, o stanie wszystkiego
„zawiadomił. Zakończył sprawę Pomników*) przez
„wymazanie napisu. Mówią bowiem iż późniéj
„oświadczył, że się przekonał o swoim błędzie,
„nie dobrze wszystkie dokumenty odczytawszy
„wprzódy. W wilię śmierci był na wielkiém na-
„bożeństwie w tumie poznańskim; zrobił testa-
„mentowe ostateczne odmiany i wrócił 20 stycznia
„do Rogalina z synem, z którym był jak najle-
„piéj. 21 rano wyjechał wpół do 8méj na wyspę
„Zaniemyśla, gdzie to kiedyś tak uroczyście mnie
„przyjmował i illuminacyą i wodną walką i wy-
„borem licznych gości. Wstąpił do Mechlina, wsi
„swojéj, dla zakończenia rachunków, co najprzy-

*) Miał zatargi o położenie swego nazwiska na pomnikach Mieczysława i Ckrobrego, króre zrobione były ze składek.. Aczkolwiek summa, którą on z własnéj kieszeni wyłożył, o wiele przechodziła te składki — jednakowoż przyznał sam, że mu nie służył tytuł fundatora.

„tomniéj odprawił. Prosił tylko komisarzowéj o
„świécę woskową i z przyniesionych najdłuższą
„wybrał i pojechał do Zaniemyśla. Tam przy-
„bywszy i obejrzawszy kościół świéżo przez siebie
„zrestaurowany i upiększony, wszedł do proboszcza,
„zamknął rachunki tyczące się rzeczonéj restau-
„racyi; zjadł doskonale obiad, wypił kawę i we-
„zwał kapłana aby z nim szedł na wyspę. Przed
„odejściem jednakże oddał mu do przechowania
„szkatułeczkę z kluczykami. Poszli wreszcie, lecz
„gdy przybyli na jezioro, zatrzymał się, mówiąc
„że po śliskim lodzie mógłby się proboszcz oba-
„lić, i kazał wprzódy ściészkę wysypać piaskiem.
„Przyszedłszy na wyspę prawdziwie uroczą, za-
„czął opowiadać o przyjemności tego miejsca. Na-
„koniec pyta się proboszcza czy prochu dostanie
„w mieście a dowiedziawszy się że dostanie, po-
„słał kupić — gdy go przyniesiono, zaczął (jak
„to zwykle czynił) z będącéj tam armatki strzelać.
„Pożegnał nakoniec księdza ktory odszedł, niechcąc
„panu hrabiemu, zapewne mającemu jakie zatru-
„dnienie przeszkadzać. Został stróż i dziewczyn-
„ka. Stróża wyprawił do rąbania lodu; mała
„tylko dziecina została. Dał jéj tę świécę do
„zapalenia w kuchence; a tymczasem nabił kulą

„22 funtową dość długą armatę. Dziewczynka „przynosi świécę — gaśnie; przynosi powtóre „gaśnie; po trzecie — gaśnie. Wówczas niecier- „pliwi się i każe jéj otulone przynieść światło; „co téż uczyniła. Odebrawszy je, posłał dzie- „wczynkę z listem do proboszcza, przepraszając „go za bezecny postępek, którym plami ziemię „jego parafii. Ostatnie wyrazy listu były „Przepuść „mi Boże!“

„Dziewczynka poszła, a on do długiéj laski „przywiązał świécę zapaloną; klęknął przed dzia- „łem, twarz do wylotu kuli obróciwszy, proch „zapalił przedłużoną święcą -- działo strzeliło — „i roztrzaskało mu zupełnię głowę, tak że i śla- „du jéj nie zostało. — Ksiądz słyszy strzał — „leci z ludźmi... już po wszystkiemu!

„Chciał z nim Rogier (syn) koniecznie i ko- „niecznie jechać na wyspę; ale że wtenczas miał „katar, więc mu i ustnie i karteczką zostawioną za- „kazał. Dodano mu raz na zawsze sekretarza „który go nigdy nie odstępował; lecz i tego zmu- „sił do pozostania we wsi, gdzie wziął świécę, i „dał mu do kopiowania papiery. Mimo surowego „zakazu przyjechał za nim sekretarz na wyspę,

„lecz oddalony został; a gdy trzeci raz wrócił,
„już było zapóźno.

„Dano znać do Rogalina — czego ci już opi-
„sywać nie trzeba, i nie umiałbym.

„W szkatułce złożonéj u proboszcza, były
„listy zostawione do żony, do syna.... Żonie
„dziękuje za dwudziestokilkoletnie szczęście, i do-
„daje że nie chcąc jéj unieprzyjemnić żadnego
„zakąta ulubionego, wybrał o dwie mile wyspę,
„do któréj, choć tak pięknéj, zawsze jakiś wstręt
„czuła.

„Synowi pisze, że nic tak nie ukochał, jak
„jego, religię i ojczyznę — lecz widać (mówi), że
„źle kochał, kiedy tak haniebnego dopuszcza się
„czynu. O drogi synu! nie bierz ze mnie przy-
„kładu; mnie coś zadławia, dusi, zmusza... Nie
„mam prawa dawać ci teraz rady; nie mam pra-
„wa błogosławić ci! Czytaj Bossueta, Atanazego,
„Augustyna — oni powiedzą ci wszystko lepiéj,
„oświecą dokładnie. Przepraszam, żem cię ostro
„trochę chował i zmuszał do przeciwnéj ci nauki
„prawa. Moje wychowanie skłaniało mię do tego.
„O wierz! proś! ja koniecznie potrzebuję do eks-
„piacyi modlitwy wierzącego!...

„Miał on wprawdzie nieprzyjemności różne,

„do których lub sam przez dziwactwo dawał po-
„wody, lub też zwykła zazdrość ludzka były przy-
„czyną. Nie te przecież nieprzyjemności były po-
„wodem obłąkania, choć czasem cierpiał, był prze-
„cież zawsze wyższy nad nie. Obłąkanie jego
„pochodziło z organizacyi wewnętrznéj.

....„Przy końcu mawiał, iż poznaje, że świat
„się jakąś wielką siłą odradza, i że wszystko no-
„wą przybrać musi postać.... Wychodził przed
„dom w Rogalinie, zdało mu się, że Warta go
„zalewa, że mu ręce, nogi ucinają, że krew go
„otacza, zalewa. Dziesięć dni przed śmiercią
„biedna wdowa w Poznaniu przyszła go prosić o
„pomoc dla siebie i dzieci mnogich. Dał jéj kar-
„teczkę do kasy swojéj. Wdowa zeszedłszy ze
„schodów, czyta i widzi asygnacyę na 200 tala-
„rów z dodatkiem: do zapłacenia po mojéj
„śmierci. Wraca więc i mówi biedaczka, że
„umrze z głodu nim co na tę kartkę dostanie;
„wreszcie że i ona i tyle biednych prosi o jego
„życie, że żyć będzie i żyć musi. Raczyński
„opiera się, mówiąc, że wkrótce ją dojdzie ten
„fundusz, bo już wnet umrze; w końcu zmięk-
„czony łzami biednéj, dał rozkaz zaraz wypłacić.

„Co rok na ubogich, jak się pokazało, dawał 50 „tysięcy złoytch.

„W Poznaniu, jakiegokolwiek kto koloru, „wszyscy jeden żal czują i wyrażają. Żałoba „powszechna. Ja się tém pocieszam, żem się na „miejscu przekonał, iż co zrobił, zrobił z obłą- „kania zbyt mocnego. Inni, którzyby zmalić go „chcieli, będą ten czyn przypisywać pewnym za- „targom, które miał w Poznańskiém.... Gdybyś „do Zygmunta (Krasińskiego) pisał, powiedz, że „dowiódłbym mu, iż śmierć ta była śmiercią hra- „biego Nieboskiéj komedyi.“

Do Kajet. Koźmiana pisał w téjże materyi:

„List twój pełen żałości po Raczyńskim ode- „brałem. Pewien byłem, że w najdalszéj głębi „serca zabolejesz nad tą stratą, bo jest niepo- „wetowaną. Istotnego stanu jego duszy, téj stra- „szliwéj prawdy, niedoczytamy się, chyba w „otchłani wieczności, czas jéj nie wytłumaczy. „Pojmuję zgony samowolne Katonów, Brutusów; „ten zaś, choć nie znaczeniem, ale tajemniczością „swoją jest daleko od nich wyższy i ztąd dla nas „niepojęty; bo jakże tyle cnót zgodzić ze zbro- „dnią, tyle nadziei z rozpaczą; tyle wiary z jéj „podeptaniem; tyle mocy nakoniec duszy, z taką

„jéj słabością! Ale ty mój drogi przyjacielu za-
„śpiewałeś przytém *Requiem* i dawną twoją piosnkę
„na wiek obecny. Wiek starą stodołę obala, ale
„nie tęgiéj wiary i duszy człowieka. Nie poni-
„żajcie go przebóg tak dalece, aby dla uszczy-
„pnienia czasem jego miłości własnéj miał się
„zabijać. Zresztą daj Boże każdemu tak powsze-
„chnym szacunkiem i rozległą, europejską cieszyć
„się sławą. Miał dość nagrody najszlachetniejszéj,
„czémże przy niéj było kilka lichych frazesów
„lichego pisma peryodycznego Tygodnika, które
„w niedostatku wartości literackiéj uciekło się do
„potwarzy. Gdziekolwiek się zwrócił, wszędzie,
„na każdéj twarzy widział wyraz szacunku, nawet
„u nieprzyjaciół; gdziekolwiek zaczytał się, czy
„w gazetach, czy w literackich pismach o postę-
„pach naszego zakąta, wszędzie widział swe imie
„podniesione. Piszę ci to wszystko, aby żal nasz
„po tak zacnym mężu nie wziął złego kierunku.
„Oskarżanie drugich nietylko byłoby niesłusznem,
„ale i jegoby tam bólało zapewne... Biedny to
„ten wiek! co się tylko złego zrobi, jużci jego
„w łeb. Ile pamiętam, zawsze na kogoś zwalano
„wszystkie winy. To na Jezuitów, to na rewo-
„lucyę francuską, to na filozofów, to na farma-

„zonów, to na arystokracyę! to na Hegla. Cie-
„kawy jestem komu dostanie się po tym biednym
„wieku!.... Żegnam cię mój drogi przyjacielu,
„i choć się w tym wieku zrodziłeś, w tym wieku
„wsławiłeś, i w tym wieku wydałeś nam syna i
„wnuki, przecież cię kocham i do zawarcia po-
„wiek kochać będę. Bądź zdrów, a nieważ się
„chorować na kamień, lepiéj już na wiek choruj
„i na niezgrabne pismaki.“

W każdym niemal liście, to do ojca, to do syna, Koźmianów, jest jakaś uwaga o wielkim poemacie bohaterskim: Czarniecki, nad którym pracował Kaj. Koźmian. Podobnie jak dawniéj, gdy pisał Ziemiaństwo, Morawski podsuwał mu obrazy pełne poezyi, które radził wpleść w dzieło — tak teraz znowu o Czarnieckim radzi, podbija ducha, dodaje zapału. Oto jeden z takich ustępów.

„Puszczenie okrwawionego białego konia dla
„omylenia Szwedów, bardzo szczęśliwe, bo widzę
„jak na widok tego konia, Szwedzi upędzają się
„za nim, jakby w nim cała była potęga wojska
„i narodu; jak się prześcigają po tę zdobycz ula-
„tującą w koło, i żołnierze i wodze i krwi kró-
„lewskiéj książęta, i jak trudno im schwytać tego

„rumaka, na którego zjawisko płoszą się Szwe-
„dów bieguny. Mówisz, że ci już nie dostaje
„treści na epizody — pocóż zawsze epizody?
„Jeźli ci brakuje treści na chwilę, lub lękać się
„zaczynasz monotonności ciągłych bitew, wstrzymaj
„się nagle, zwróć oko w tył za Czarnieckiego, i
„maluj, co się dzieje w ziemiach już przez oręż
„jego oswobodzonych, po dworcach, chatach, ła-
„nach, świątyniach, grodach; jak wszystko budzić
„się i zrastać zaczyna w społeczności naszéj; jak
„krew przelana bujności łanom dodaje, jak mi-
„liony prośb i modłów popycha go naprzód, jak
„wszystkie twarze, serca i samo niebo się rozja-
„śnia nad krajem już wyswobodzonym, jak jeńce
„nad zamkami naszemi pracują; dodaj co się w
„sumieniu ospalców i zdrajców pozostałych dzieje;
„co w ponurém sercu Rakoczego; ile przyjaznych
„oświadczeń dworów zagranicznych; ile w magna-
„tach żądzy korzystania dla siebie z nowych zwy-
„cięstw; dodaj wreszcie — i na cóż te wszystkie
„boje były — po co tyle krwi i łez wylanych —
„po co te napady i zniszczenia? Otóż co po nich
„zostało! Przekleństwo więc najezdnikowi! grom,
„grom twoim orężem Czarniecki! i tak nagle
„znowu przerzucisz się do niego. Oto masz epi-

„zod godny poety i filozofa. Nie trudno ci wy-
„stawić sobie, jak wszystkie dworce i zamki przyo-
„zdabiają się wyobrażeniem Czarnieckiego, jak
„imieniem jego brzmi cała Rzeczpospolita; jak
„dziatki w zabawach swoich udają po wsiach i
„miastach jego boje i zwycięstwa. Ileż to obra-
„zów, ile barw, jaka rozmaitość w podobnym epi-
„zodzie związanym z całością i z całości wypły-
„wającym. Możesz i córę jego gdzieś wystawić,
„otoczoną hołdem narodu, niosącą ulgę i wspar-
„cie wdowom i sierotom wojowników, jeńcom i
„Szwedkom zabranym. Szczerze cię do tego na-
„mawiam, pół pieśni, nie więcéj, temu poświęcić.
„Zawsze to będą Czarnieckiego zwycięstwa czyny;
„zawsze to on będzie działał.... Dodasz nowego
„życia poematowi i nie zawsze samego Czar-
„nieckiego będziesz malował, lecz i lud, dla któ-
„rego te cuda działa, a który z tego powodu
„godzien jest oddzielnego obrazu. Jeźli ci to nie
„przypada do smaku, coby mię dziwiło, napisz,
„a co innego wymarzę.“

Morawski, jak widzimy, umiał być przyjacielem; nawet wyobraźnię poetycką oddawał przyjacielowi na usługi. Pomysły jego były bardzo trafne; czując, że epopeja, która nie miała ży-

jących w narodzie tradycyi, tylko musiała być opartą na erudycyi książkowéj i dokumentach historycznych, nie prędko ogół cały zajmie i poruszy, chciał ją zrobić epopeją narodowych uczuć, polityki, wiary, dążeń, i przez to nadać jéj wiecznie żywy interes. Nic innego nie zrobił Wirgiliusz w swojéj Eneidzie. Koźmian poszedł za jego radą i radami Zyg. Krasińskiego, i nie aparatem historycznym, ale uczuciami polskiemi uratował swego Czarnieckiego, że nie można go nazwać wierszowaną historyą, tak jak nazywamy Twardowskiego, Wojnę kozacką, Władysława IV. i inne tegoż rodzaju poemata.

Jeżeli sobie przypomnimy, rok 1845 objawił się ruchem kwestyi religijnych w Niemczech. Morawski zwraca na to uwagę i pisze postrzeżenia swoje K. Koźmianowi:

„U nas tu w Księstwie cicho i spokojnie; „po niemieckich prowincyach pełno marzeń, żądań „i krzyków. Gazety niemieckie, bez głębokiéj „trafności i dowcipu francuskich, wyrównywają im „śmiałością, często zuchwalstwem, a przechodzą „je w złym smaku i kłamstwie. Lecz co najgo„rzéj, że rozdmuchują żary dawnych wojen reli„gijnych, czego nie robią francuskie. Szerząca

„się sekta tak nazwanych przyjaciół światła, ni-
„czém inném nie jest, tylko maskowanym komu-
„nizmem.“

Późniéj w téj myśli donosi o dalszym prze-biegu ruchu:

„Upadają nieco swary religijne w skutek mą-
„drych rozporządzeń rządu, aby nowatorowie*)
„czyli twórcy, redaktorowie nowych religii, które
„przez gazety apostołują, siedzieli u siebie i bez
„pozwolenia nie wyjeżdżali, co u nas jest bardzo
„silnym krokiem.“

W Poznańskiém zaczął wychodzić Przegląd, pismo miesięczne wydawane przez Jana Koźmiana, mające dążność katolicką. Morawski oddaje słuszną pochwałę pismu, które na najtrwalszym fundamencie chciało oprzeć rozwijanie się kultury narodowéj, i zapowiada mu powodzenie. Atoli jednocześnie zakłopotany jest polemiką, toczącą się po pismach o Jezuitów i nie chcąc wyrokować o nich bez znajomości rzeczy, udaje się do Kaj. Koźmiana, aby jako dawnych czasów pamiętny, oświecał go w tym przedmiocie.

„Od niejakiego czasu — pisze on — nie wiem

*) Ronge i Czerski.

„dla czego wszczęła się u nas polemika o Jezui-
„tach. Jedni utrzymują, iż przyczynili się do
„upadku kraju, drudzy im ocalenie jego przypi-
„sują przez odparcie reformacyi. Radbym wiedział
„twoje zdanie w téj mierze. Podług mego mnie-
„mania, obie strony nie znają dość historyi i
„ztąd obie przesadzają. Prawdą jest, że historya
„18 wieku skrzywiła wiele faktów tyczących się
„ich zakonu, ale teraz znowu ich wielbiciele na
„drugą stronę krzywią ich dzieje. Już w tém
„jest postęp nie mały, że kwestya ta w naszych
„czasach zaczyna być na seryo traktowaną, choć
„nie bez obustronnéj namiętności jeszcze, tak tru-
„dnéj do wykorzenienia. Tyle o nich piszą, że
„nie łatwo jest ukształcić sobie ostateczne zdanie.
„Sądzę więc, że dopóki rzecz rozjaśnioną nie
„będzie dostatecznie, aż do czystéj prawdy, póty
„człowiek roztropny może i ma prawo pozostać
„przy powszechnie przyjętéj opinii, która Jezuitów
„potępiała dotąd. Aby dojść do prawdy, trzeba
„odpowiedź przygotować na cztery pytania:

„1sze czy idea główna ich instytucyi nie jest
„antysocyalną? 2gie jaka była rzeczywiście histo-
„rya ich zakonu? 3cie jakie powody do ich ska-
„sowania? 4te jaka potrzeba ich przywrócenia?

„Po takiém więc wyjaśnieniu można wyrokować „śmiało. Niezapomnij więc w pierwszym liście „przesłać mi twój sposób widzenia, który może „mi się tu przydać przy nadanéj okoliczności.“

Niewiem jaką autor Czarnieckiego dał na te pytania odpowiedź; to jednak pewna, że sąd bezstronny o Jezuitach tylko wtedy będzie możebny, gdy zakon ten całkiem zniknie, dotąd bowiem namiętności w grę wchodzące niepozwalają wydać bezstronnego sądu. Zresztą zakon ten był tak z życiem katolickiego kościoła związany, że trudno wymagać od tych, co i téj instytucyi radziby podrzędne nadać miejsce w historyi, aby o synach Loyoli mogli nie namiętne zdanie otworzyć.

XII.

Nie ma prawie jednego listu w zbiorze wzmiankowanych korespondencyi, aby Morawski nie wyrzekł jakiego słowa o książkach, które czytał, czy to w obcym, czy ojczystym języku. Zdania jego acz ogólne, bo w szczegółowe nie wdaje się rozbiory, pisząc pobieżnie — mają przecież wiele trafności; w kilku słowach streszczona jest wartość dzieła i pokazuje wytrawnego znawcę. Z li-

stów jego możnaby ułożyć kronikę krytyczną dzieł wychodzących przez ciąg lat trzydziestu; jednak w téj korespondencyi jaka mi służy do niniejszéj monografii niespotkałem się z ocenieniem tak wysokich utworów jak: Marya Malczewskiego, Nieboska komedya, Irydyon, poezye Bohdana Zaleskiego, Słowackiego Beniowski, i wiele innych. Zdaje się, że pisząc do przyjaciół będących mieszkańcami Królestwa, unikał mówienia o dziełach srodze zakazanych, zostawiając sobie wolność pomówienia o nich za widzeniem się. Wszakże w listach do osób mieszkających w Poznańskiém, osobliwie do krewnych swoich, rozpisywał się szeroko o niektórych dziełach przychodzących z emigracyi. I tak w r. 1845 pisał do jednego z nich o prelekcyach Mickiewicza, list następującéj treści:

„Odsyłam ci czwartoletni kurs Mickiewicza. „Szkoda, że przy takiéj jenialności tyle dziwolą„gów. Nie myśli, ale jakieś nawały z hukiem „i gromem przepędził mi przez głowę. Nie jestem „zdania powszechnie głoszonego, że autor cierpi „pomięszanie. Jest pewien związek w wywodach „jego, często trafność, głębokość i wyższość się„gania, choć jądro fałszu wśród złotych nici osnu-

„cia, widoczne. Tułają się, plączą pomysły, a taki „nieporządek w szykowaniu, taka pycha, żądza „twórczości i lekkość wyrokowania, najświętsze za- „bijająca rzeczy, że niewiedzieć jak to nazwać, „z czém porównać i co z tego wyciągnąć. Wyra- „źnie nie chciał pomnieć, co kościół przez 1800 „lat zdziałał; nie chciał wiedzieć, że kościół ten „jest na ziemi i ludzie w nim rządzą; żąda od „niego niepodobnych rzeczy, intuicyi, cudów „ciągłych, które tylko Bóg sam przez ten ko- „ściół czynić może i kiedy mu się podoba. Nie „umiał dojrzeć, że istnienie tego kościoła nigdy „w dogmatach niezmiennego i wszystko w końcu „zwalczającego, ciągłym jest cudem. Chciałby on „wlać w kościół tę dumę, która jego samego roz- „żarza, a gdy to niepodobna, chciałby w skutku „téj dumy sam zostać twórcą tego kościoła. Mógł „on słabszą jego stronę w ziemskiéj części z poko- „rą, chęcią podwyższenia, ugodnienia kościoła, na „jaw wystawić; ducha członków jego wzbić wy- „żéj; letniość wiary kapłanom wyrzucić. Czyniono „to już przed nim; lecz właśnie że czyniono, nie „chciał cudzéj sławy powtarzać, chciał być twór- „cą swéj własnéj. Kościół nazywa urzędowym „i niby na śmiech i wzgardę wystawia go, a prze-

„cież ten sam Chrystus, którego on nauki broni „tak gorąco, powiedział kościołowi: że Duch jego „ zawsze z nim będzie! Jakże to zgodzić tę nie- „omylność słów boskich z kościołem, co tylko jest „urzędowym?

„Ze smutkiem, rozdarciem duszy, czytałem „tę aberracyę tak potężnego umysłu; zapłakałem „sercem, że takie obelgi z ust polskich wyszły; „ale położywszy wreszcie książkę odczytaną, po- „znałem po krótkim namyśle wątłość téj budowy „nowo-babelskiéj; poznałem, że to nie bramy pie- „kielnie wzruszyły się z swych posad, ale gwoź- „dzik tylko jeden z nich wypadł i tocząc się po „brukach szatańskich, tyle hałasu narobił. Dla „tego tylko ta część jego prelekcyi została tak „głośną, że jest śmiałą aż do zuchwałości, poe- „tyczną w wyrażeniach i dziełem Mickiewicza.

„Powiedziałem z początku listu, że nie do- „stał pomięszania, ale podług mojéj intuicyi do- „stanie go niezawodnie. Wszedł do emigracyi, do „któréj nie miał prawa, bo się nie bił za ojczy- „znę, piosnki nawet jednéj dla niéj w czasach boju „nie zanucił — a teraz nietylko z kościoła, ale „z rzymsko-katolickiéj Polski, z rozsądku nawet „wyemigrował.“

Zabolało serce jenerała na to odstępstwo, w którém widział nowy dopust na nieszczęśliwą Polskę, i niezłorzecząc autorowi, wzniósł się do wyższego uczucia — i taką za nim napisał modlitwę:

Boże przyjąć racz
Całéj Polski płacz.
Wstrzymaj groźny sąd
Na Adama błąd,
Co w tak sporny bój,
Wyzwał kościół twój,
Podnieś nad nim krzyż,
Dumę jego zniż;
Zeszlij wiary dar,
Zgaś nieczysty żar;
Niech się wzniesie z win
Sławny Polski syn!
Boże przyjąć racz
Całéj Polski płacz!

Panie! brat to nasz,
Serce jego znasz.
Łatwo zbłąka szał
Pychę wielkich chwał.
Lecz niech Twoja dłoń
Grzeszną dotknie skroń;
A tam przed tron Twój
Taki tryśnie zdrój,

Takich żalów jęk,
Takiéj pieśni dźwięk,
Że z podniebnych chmur
Twych aniołów chór
Święty słysząc rym,
Hymn swój zleje z nim!
Boże przyjąć racz
Caléj Polski płacz!

Zwróć go Panie, zwróć,
Okiem ojca rzuć,
Maż ten wzniosły dąb
W taką runąć głąb?
Maż ta gwiazda spaść
Z takim wstydem zgaść?!
Boże, przez twój cud
Pociesz biedny lud;
Już on tyle mąk
Z Twoich przyjął rąk;
Starych zbrodni pył
Krwią i łzami zmył;
Codzień nowy jęk,
Codzień kajdan brzęk,
Codzień wyższy grób,
Do twych sięga stóp!
Boże przyjąć racz
Całéj Polski płacz!“

Piękny ten wiersz był drukowany w Prze-

glądzie Poznańskim. Autor, jak tyle innych swoich, nieraz bardzo cennych utworów, rzucił go mimojazdem na końcu listu z zastrzeżeniem: te wierszydła tylko dla ciebie, i organisty i dla mnie.“ Odświeżając go czytelnikom, czynię to w intencyi, żeby odsłonić nową stronę jego duszy, która w cichości zanosiła modły za nawrócenie wieszcza, uważając to za skuteczniejszy środek, niż otwartą polemikę, któraby może zajątrzyła tylko, a nie naprawiła skrzywionéj dążności. Mąż gorącéj wiary wolał ufać modlitwie niż argumentom, które choćby najgruntowniejsze, w pewnych chwilach zawrotu, nikogo przekonać nie zdołają.

Kiedy wyszedł Listopad, romans Henryka Rzewuskiego, tak opisał wrażenie swoje po przeczytaniu tego dzieła:

„Autor Listopada jest zapewne z piszących „prozą, najwięcéj utalentowany, i dzieło całe zna„komite, warte co rok nowego odczytania. W trze„cim czyli ostatnim tomie upadła przecież wysoka „jego zdolność. Charaktery, oprócz jednego, do „końca utrzymane; tło czasu z prawdą wystawio„ne; interes żywszy niż w tomach poprzedających, „a przecież tom ten daleko niższy od poprzednich. „Każdy poeta lub romansopisarz powinien sam

„kwiat swojéj treści wybrać, czyli to, co ma naj-
„więcéj poezyi, w obrazach dramatyzować,
„uwydatnić w akcyi. Tych scen najgłówniejszych,
„najpoetyczniejszych, opuszczać mu niewolno; nie-
„wolno ich do opowiadania zniżać, lecz ko-
„niecznie w akcyi wystawić je trzeba. Co ma naj-
„więcéj dramatycznego i poetycznego w
„sobie treść jaka, to téż najszersze miejsce
„zabierać powinno w dziele. Wszystko to są wa-
„runki sztuki, od których odstąpić nie można bez-
„karnie, i żaden prawdziwy geniusz nie odstąpił
„od nich. Zobaczmy co autor zrobił, czy histo-
„rya sama nie jest poetyczniejszą od jego poe-
„matu? Autor krótkiém opowiadaniem zbywa por-
„wanie wśród Warszawy króla, a przecież był to
„czyn nadzwyczajny, przewracający całego narodu
„i wyobrażenia i porządek społeczny. W téj to
„niesłychanéj odwadze konfederatów, w tém przej-
„ściu nagłém króla z szczytu godności najwyższéj
„do doli jeńca wleczonego przez pola i lasy —
„mieści się właśnie najwyższa poezya. Wiemy z
„historyi o zasadzkach, o przechowywaniu się kon-
„federatów tak długo śród stolicy; o śmierci sługi,
„osłaniającego swego króla, o opuszczeniu tegoż
„króla w niebezpieczeństwie przez innego Ponia-

„towskiego; o skutku wieści téj rozgłoszonéj zaraz „po stolicy; o ruchu całego garnizonu moskiew- „skiego; przestrachu magnatów; wleczeniu króla „bez trzewika i kapelusza przez okopy. Wszystko „to wiemy, lecz z historyi tylko, bo autor Listo- „pada i w tym nawet względzie nie chciał intere- „sownym czynić króla elekcyjnego. Cała Warsza- „wa u niego po tém zdarzeniu jak trup nieczynna. „Dobry poeta byłby okazał, jak zdarzenie to od- „biło się w umysłach pałacowych, w uczuciu gminu, „w imaginacyi wszystkich warstw społeczeństwa. „Autor Listopada ani o tém pomyślał. Cóż mi „po tém, że podrzędne treści swojéj obrazy pięknie „rozwija, kiedy główne, najpoetyczniejsze, więcéj „niż miernie wystawia. Wywleczenie króla za „miasto, zbłąkanie się konfederatów w lesie bie- „lańskim, ta niepewność, trwoga, nadzieja, rozpacz, „przelatując z serca króla do serca konfederatów „i znowu odwrotnie; te wszystkie rozrywania się „na części, nawoływania po lesie; szukanie dróg, „gubienie; odnajdywanie króla w ciemności leśnéj; „wszystko to stokroć bardziéj zajmujące i w tylu „rękopisach i w Ferrandzie, niż w romansie pol- „skim. W dniu nawet egzekucyi Warszawa ta „zawsze trupem u autora. Dzień ten trzeba było

„wystawić z głębszém, niespokojniejszém życiem. „Dzień taki powinien coś zapowiadać niepewnego; „nurtowanym być przez skryte spiski do odbicia „konfederatów. Władza stanęła groźnie z wy- „niesioném w nocy rusztowaniem, lecz i gorączko- „wy stan stołecznego ludu, powinien także wyda- „wać się władzą. Zbrodnia ta tylko polityczną „była zbrodnią; a konfederacya tylu przychylnych, „jak sam autor mówi, miała w Warszawie. Jakże „to poetyczno-groźna postać musiała być téj sto- „licy! Autor ją niemą, głuchą i zimną zostawia. „Czemu nakoniec króla nie wystawił mówiącego „za mniemanymi królobójcami? (bo istotnie nie „mogli myśleć o królobójstwie zgubném dla ich „sprawy). Król broniący winnych przed sądem! „Co za obraz! Autor go odrzucił, starał się na- „wet zniżyć, uśmiesznić; bo to król tylko elekcyjny, „a tu szło o ukazanie wyższości autokratów nad „stworzonego przez lud władzcę. Kilka tylko naj- „poetyczniejszych dotknąłem obrazów. Cóż autor „z niemi zrobił! Godziłoż się tyle poezyi pode- „ptac i zniszczyć?

„Będą autorowi zarzucać, że nic nie mówił „o jarzmie moskiewskiém, ciążącém wówczas nawet „zbrojną siłą na stolicy i kraju. Ten sam zarzut

„robiono autorowi Kirgisa, że na stepach nie „przypomniał sobie Polski. Zarzuty te są nie- „dorzeczne; bo w wolnych tylko krajach czynić „je można wolno piszącemu. Waryatem byćby „trzeba, aby dla wierszy lub romansu wystawiać „się na Sybir i knuty; zwłaszcza kiedy już raz „zakosztowano goryczy wygnania.

„Inny ja i gruntowniejszy uczynię zarzut au- „torowi. Tak on wysoko uidealizował Zosię Stra- „wińską, że już ją na tym szczycie koniecznie „utrzymać należało, aby wiarę naszą w taką do- „skonałość umocnić. Ale cóż się stało? Dawny „jéj kochanek, któremu była przewiniła, którego „wszystkie zabiła nadzieje, brat męża, wojownik „dzielny, najszlachetniejszy, najnieszczęśliwszy z „ludzi, haniebną ma umierać śmiercią. Zdaje się, „że ta Zosia która tyle mu winna, ta Zosia tak „tkliwa, szlachetna, religijna, doskonała, coś przy- „najmniéj dla niego w téj okropnéj sytuacyi uczyni; „a tu nic a nic. Pieści się z mężem, kłopoci jego „chorobą; przyjmuje księcia moskiewskiego; ukła- „da podróż za granicę, a żadnego czynu, żadnego „nawet słowa nie ma dla Michała. Jakże mam „autorowi twórczość wielką przyznać, kiedy z ta- „kiéj sytuacyi, z takiéj duszy nic wydobyć nie

„umiał? Poświęcenia się niewiast w rewolucyi „francuskiéj powinny mu były wskazać wzór, uła- „twić naśladownictwo. Ale nie — autor nic stwo- „rzyć nie umie.

„W początku mego listu powiedziałem, że „tom ten jest bardziéj jeszcze zajmującym, niż „poprzednie, co przecież przy tylu wykazanych „błędach zdaje się być sprzecznością. Nie jest nią „wszakże. Gdyby autor był gorzéj jeszcze ułożył „tom ten trzeci, zawsze byłby zajmującym, zwła- „szcza dla nieświadomych historyi; bo katastrofa „sama przez siebie już tak jest zajmującą i tyle „ma dramatyczności w sobie, że zawsze żywo in- „teresować musi. Lecz zdolność autora nic nie „utworzyła ku podniesieniu treści, a poezyę tylu „obrazów zniszczył bez litości.

„Z wyjątkiem błędów przytocznych wszystko „znajduję pięknem. Epilog tylko nudny, niepotrze- „bny, a za niektóre przypiski wart autor.....

„Pierwsze wrażenie wylałem w tym liście. „Zachowaj go, abym z zimniejszą kiedyś krwią „odczytał.“

Niepodobna trafniéj namacać tendencyi Rzewuskiego w Listopadzie, jak to w powyższym li- ście zrobił Morawski. Rzeczywiście autor tego

zbyt podnoszonego romansu nie śmiał się zmierzyć z wielkiemi figurami i zdarzeniami historyi, żeby nie czuć się zmuszonym do przedstawienia ich z fizionomią poetycznéj prawdy, coby go było zwróciło z drogi, którą sobie iść zamierzył. Pani Staël powiada o książkach tego rodzaju: że nie tém grzeszą, co w nich jest, lecz tém, czego w nich nie ma.

Zobaczmyż jak znowu ocenia Pamiętniki, i co mówi o literaturze emigranckiéj.

„Odsyłam ci książkę. Może być, że pamię-
„tniki te są prawdziwe, może téż skomponowane;
„bo niektóre wyrazy, jak np. odznaczać się,
„nie były wówczas znane. Jest takich wyrazów
„więcéj. Może szlachcić jaki bywalec to skreślił
„i wydukwiał powoli; może téż sam Gaszyński.
„Zgoła pamiętniki te nic dramatycznego, nic no-
„wego, nic charakteryzującego wyższe indywidu-
„alności nie mają. Wielkie to ubóstwo i w ob-
„serwacyi natury i ludzi i w zdarzeniach. Najmniej-
„szego nowego światła nie rzuca na samą kon-
„federacyę; żadnéj rozmowy nawet z Washing-
„tonem, słowem nic, oprócz jednéj anegdoty o
„Kiepskim, dość dobréj lecz już dawno zna-
„néj.

„Nie wiem jak inni sądzić będą; lecz moje „zdanie jest takie. Co za różnica od Paska, a „zwłaszcza nieoszacowanego Kopcia! Rogowski, „jest to najbiedniejsza bieda między pamiętnika„mi. Cóż że mi o śmierci Puławskiego kilka dał „szczegółów, i kto zaręczy, że prawdziwych, kie„dy ani rozkazu dziennego z powodu jego śmier„ci mi nie przytacza, ani o żadnéj jego pozostą„łości w papierach i notatach nie mówi; ani o „tém, co się z pozostałymi Polakami stało. Wszy„scy Amerykanie, sam nawet Washington milczą „jak posągi; ani słowa żalu po nim, ani oddania „czci zwłokom cudzoziemca, ani pocieszającéj łzy „dla pozostałych. Sama nawet śmierć tak opisa„na, że niepodobna pojąć, jak mieli czas zsiadać „z koni i unosić trupa. Jeden szczegół o szka„plerzu zgubionym ma coś uroczystego, tajemni„czego. Ale najbardziéj mię to indygnuje, że Pu„ławski będąc nadzwyczaj poetyczną figurą, co „pierwszy podniósł, zbudził naród z snu podłości „i korrupcyi, a tu wystawia go bez najmniejsze„go wdzięku; wszystko zmalone, obdarte z uro„ku. Gdyby przynajmniéj przy braku wszelkiéj „obrazowości prawda coś zyskała na tém, ale „nic, nic i jeszcze nic.

„Nowy to dowód, że byle co przyszło z emi-
„gracyi, tak już ślepo chwalimy. Toż samo było
„z tylu poezyami szumnemi, a nędznemi. Szczę-
„ściem już straciliśmy podobną ślepą wiarę w
„ukraińskie i wołyńskie płody, którym także dość
„wydziwić się kiedyś nie mogliśmy. Ja dla emi-
„grantów jestem co do literatury surowszy, niż
„dla innych; bo oni mają więcéj czasu do rozja-
„śnienia rzeczy, więcéj sposobności wśród wykształ-
„conego ludu do wytrawienia siebie; więcéj wol-
„ności do wydania swych myśli i uczuć, słowem,
„do wszechstronnego wykształcenia siebie. Jeżeli
„więc są takie mierności, jak Rogowskiego pa-
„miętniki, tak piszący dramata, jak Słowacki,
„tak siejący fałsze i historyczne i religijne jak
„Mickiewicz w swoich prelekcyach — nie mogę
„bez oburzenia się mówić o nich, pomimo cześci
„dla ich wyższości. Niech oni tylko wiedzą jak
„ich sądzimy i sądzić umiemy, a pewno na le-
„psze się zmienią.“

Na nieszczęście ta umiejętność sądzenia nie dochodziła do emigracyi, która w przekonaniu, że kraj przyjmuje jéj pisma literackie i polityczne jakby święte, nietykalne orakula, nie oglądała się na sąd domowy. Kto sobie przypomni

te czasy, przyzna, że tam nawet, gdzie wolno było mówić o pismach emigranckich, nigdy się nie ważono zaczepiać o ich płaskości lub niedorzeczeństwa. Lękano się opinii tych, co mieli interes propagowania wszystkiego, co przychodziło z zagranicy. Sam Morawski widać ulegał jéj, kiedy swoich trafnych uwag nie powierzył żadnemu publicznemu pismu, tylko je składał poufnym osobom. Śmiałe, otwarte i gruntownie praktyczne głosy w kraju, byłyby może zapobiegły niejednéj klęsce, i zdjęły mgłę uroczą, otaczającą każdy płód emigrancki. Co więcéj, emigracya tracąc na nieomylności, sama nie myliłaby się w swoich rachubach. Zawsze były u nas utyskiwania; energii przekonań — nigdy.

Nie mogę jeszcze pominąć listu jenerała o poemacie ks. Hołowińskiego: Dzieciątko Jezus.

„Czytałem téż owe tak teraz głośne poema „X. Hołowińskiego, które tak uwielbił Krasze„wski, że je najwyższą i najdoskonalszą nazwał „epopeją, z którą żadna poezya teraźniejsza ró„wnać się nie może. Ja znalazłem te poema naj„nędzniejszém i najnudniejszém, mimo kilku miejsc „szczęśliwych. Wprawdzie z podań o ucieczce i

„powrocie świętéj rodziny, zebranych w ziemi świę-
„téj, i przez ojców kościoła zachowanych w ich
„pismach, piękne bardzo poema dałoby się uło-
„żyć, choć trudniejsze od wszelkich innych po-
„ematów, z powodu obrazowania nieco oryental-
„nego, prostoty ewangelicznéj stylu, a przecież
„koniecznéj poezyi. Lecz ksiądz Hołowiński wszy-
„stko wziął na warsztat co tylko znalazł w tych
„księgach; nie umiał zrobić artystycznego wybo-
„ru, nie miał uczucia piękności estetycznéj. Kto
„chce święte dzieciątko wziąść za bohatera po-
„ematu, powinien wszystkie brudy przywiązane
„do człowieczeństwa odrzucić, a wszędzie bóstwem
„jego przebijać, i w przeczuciach i w skąpych
„bardzo wyrazach i w drobnych jeszcze czynach.
„Dzieciątku świętemu naiwność tylko ludzką, dzie-
„cięcą, zostawić należy z człowieczeństwa. Autor
„zaś wystawia Matkę Najświętszą piorącą pielu-
„chy brudne i z tych brudnych kropel spadają-
„cych na ziemię, wytryskujące rośliny balsami-
„czne. Nie ma przytém najmniejszéj poezyi słowa,
„jak w przekładzie Szekspira; gdzie niegdzie
„szczęśliwy wiersz lub obraz, lecz w ogóle jest
„to najrozwleklejsza gadanina w krocie przystro-
„jona rymów. Jeden tylko obraz oryginalny i po-

„etyczny w całym poemacie znalazłem, to jest „gdy Dzieciątko Jezus ubiegając się za kwiatami, „weszło na grób Jeremiasza. Mógłbym dodać i „nieszczęścia Judei; cóż, gdy tak rozwlekłe, że „aż ckliwo się robi. Ksiądz H. pięknie opisał „życie swojéj matki, pielgrzymkę do Jeruzalem — „lecz poetą nie był, nie jest i nie będzie *in se-* „*cula seculorum.* Lecz jakże mu to wyperswa- „dować, kiedy Kraszewski zawyrokował, że jest „nim i wyższym nad wszystkich!“

Przytoczyłem ten ustęp listu, żeby pokazać, jak delikatnym smakiem prawdziwego znawcy poznał się jenerał na niedostatku najważniejszéj rzeczy w pomienionym poemacie. Kilkanaście lat zaledwie minęło, a już o utworze tym nikt ani wspomni. Mogło być w nim cokolwiek woni nowości — atoli ta dawno ulotniła się. Tylko jedna prawdziwa poezya jest tą zaprawą, która daje życie; nieraz lada piosenka, byle z tą niebiańską zaprawą, żyje dłużéj, niż sążnista epopeja.

Z powyższych kilku zdań można powziąść wyobrażenie o doskonałym krytycznym zmyśle Morawskiego, i o zasadach, z których wychodził. Pojęcia jego o sztuce nigdy nie były ciasne, dą-

żność zawsze wzniosła, szlachetna, a chociaż wiele zważał na formę, robił to z przekonania, że co piękném jest w sobie, piękném być powinno i na zewnątrz. Zresztą o ile był surowym dla cudzych utworów, o tyle, a może i więcéj dla swoich, bo je najczęściéj lekko sobie cenił. Miał on to wieczne niezaspokojenie, będące wysokich artystów udziałem, że z niczego się nie cieszą co zrobią, w czém wręcz są niepodobni do płytkiéj mierności zawsze zadowolonéj z siebie. Tylko ten, kto nosi w duszy ideał, może chorować na wieczne niezaspokojenie; *les difficiles sont malheureux*, powiedział Lafontaine; zwykłych ludzi nie napastuje ta szczytna choroba.

XIII.

Jeżeli szczęście domowe, do którego tak wzdychał, kwitło w Luboni, jeżeli życzenia jego spełniały się w pomyślności dzieci — to nadeszły wypadki, które serce Polaka, obywatela, zatruły niezmiernym smutkiem. Było to coś tak strasznego, tak nieludzkiego, jak zamach bratobójczy.

Wypadki galicyjskie w r. 1846 w oczach jednych mogły być zasłużoną karą, w innych straszném ostrzeżeniem. Do tych ostatnich nale-

żał Morawski, który zawsze brał stronę wieśniaka i zżymał się na ślepotę oświeconéj warstwy, nieumiejącéj czy niechcącéj wyłamać się z nałogowego stosunku do ludu, aby wątpliwe korzyści teraźniejszości, dla przyszłości poświęcić. Ten brak inicyatywy w najważniejszéj pracy, przypłacano teraz podwójną klęską na polu socyalném i politycznem.

Szkoda wielka, że nie ma żadnego listu pisanego pod wpływem katastrofy — jest tylko późniejszy z d. 24 maja 1846:

„Zacząłem w tym przeciągu czasu i drugi „list, alem go nie posłał, bo niewiedzieć co teraz „pisać można. Serca przepełnione boleścią i „oburzeniem na głupstwo ostatnie, czyli raczéj „zbrodnię, a mówić o tém tak gorzko, nieznośnie, „i może nie ważyłoby się tak wyrazów jak na„leży; lepiéj więc milczyć.... Okropności już „prawie wiemy, niepodobna aby i o szlachetnych „czynach i poświęceniach się coś do nas nie doszło, „a te w burzach więcéj mają blasku i wydatności, „niż w czasach pogody i pokoju. Zbrodnia jest „szałem chwilowym ludzkości, naturą jéj poczci„wość. Inaczéj żaden społeczny węzeł, żadne do„mowe szczęście istniećby nie mogło nigdy i

„nigdzie.... U nas tu wszystko spokojnie, lecz „teraz za nic ręczyć nie można, kiedy febra „głupstwa tak silnie trzęsie chorych. Może też „Bóg zmiłuje się i położy tamę złemu, środkami „sobie wiadomemi. Skutki przecie ostatnich zda„rzeń zawsze najsmutniejsze będą na długo. Uwa„żaj tylko, że to, co dotąd zwaliśmy rozbiorem, „już aż do rozkładu chemicznego postąpiło. Jakże „serce nie ma się krwawić, myśl nie zczernieć!

....„Z Galicyi smutne zawsze dochodzą nas „wieści, które i wy macie i może pewniejsze i „smutniejsze jeszcze. *Militia est vita humanis*, „jak mówią; boć z ilu to sprzecznościami w cza„sach naszych walczyć trzeba. Byłyć wprawdzie „i dawniéj okropności. Czytam teraz wiek Leo„na X. przez Audin; obok wielkości i wzrostu „chrześciańskiéj cywilizacyi, ileżto szkarad, beze„ceństw! Nasze szkarady są innego rodzaju; lecz „kto nie da się powodować samym wrażeniom „osobistym i miejscowym, wiele także wyższych „rzeczy w czasach naszych postrzeże. Trzeba „przeklinać, co jest wartem przekleństwa, lecz „przedewszystkiém sprawiedliwym być trzeba."

Po wypadkach w Galicyi zaczęto i w Królestwie myśleć nad reformą włościankich stosun-

ków. Jędrzéj Koźmian, z którym jenerał w ciągłéj zostawał korespondencyi, był jednym z tych, co bardzo czynnie krzątali się około tego dzieła. Kilka ustępów z odpowiedzi jenerała, co do téj materyi, dadzą poznać, jak ją pojmował:

„Wierzę bardzo temu, co mówisz, że dla „wielu obywateli trzeba było mordów galicyjskich, „aby im otworzyć oczy, że konieczném jest wpro- „wadzenie nowego porządku w stosunki włościań- „skie; że raz już trzeba, aby bardziéj bratnie i „chrześciańskie były. Długo wczoraj z J. Z... „gadałem o sposobie oczynszowania, ale niepo- „dobna mi było przystać na jego zasady, choć z „wielu miar światłém rozumowaniem wspierane. „U nas w Księstwie nie od nas wyszła inicyatywa „oczynszowania, i to nie przynosi nam chluby; „ale skoro raz rząd oznajmił swoją wolę, jak „najwspanialéj szliśmy torem wskazanym, prze- „konani, że trzeba ile możności wynagrodzić błędy „poprzedników naszych, że wreszcie sprawiedliwość „sama każe przyznać im pewne prawa do téj ziemi, „którą tylowiekowym potem przynajmniéj w po- „łowie kupili, przez którą z nami jedną rodzinę, „jedno plemię składają. Podług zaś zasad pana „J... Z.., zdaje się, że z łaski tylko, z litości,

„z rachuby, a może i z obawy na obecne czasy „uczynić to wypada. Ja w chłopie coś więcéj „widzę niż machinę o dziesięciu palcach. Był on „przeciw własności, koniecznie za dzierżawcami, „dla tego chyba, że dzierżawy porobił, utrzymu- „jąc, że dzierżawca lepiéj się rządzić będzie, niż „dziedzic; a ja i tych i tych czasem durniami a „nawet potężnemi, widziałem. My u siebie widzi- „my, jaki jest skutek wdzięku własności, pewności, „że dla dzieci się robi; że nikt nigdy nie wyżenie „z chaty i niwy. Boi się słusznie J... Z... roz- „drabiania; wprawdzie wszyscy się boim tego; „ale czyż temu zaradzić nie można? Jeżeli kie- „dyś były w Polsce prawa, żeby większéj własności „nad posiadaną nie nabywać, to i najmniejszość „téj własności dałaby się oznaczyć ustawami. „Oburzył się najbardziéj na mnie, gdym powie- „dział, że obowiązkiem religijnym jest pana, jak „żebrakowi nie mogącemu pracować dać jałmużnę, „tak wyrobnikowi swemu, pragnącemu pracować „dać zarobek koniecznie; inaczéj za jego kradzieże, „łajdactwa, a może i zabójstwa przed Bogiem „będzie odpowiedzialność. Są chwile, lata tak „głodne, że choć wyrobnik zawsze ma pierwszeństwo „do zarobku, przecież i oczynszowanego chłopa po-

„życzką, zarobkiem, wspomagać jest koniecznością,
„jeżeli chcemy rościć sobie prawo do nazwy chrze-
„ścian. Zaprzeczał mi tego zupełnie, mówiąc, że
„taka n. p. Ordynacya ma sto tysięcy chłopów,
„a więc codzień sto tysięcy złotych dawaćby mu-
„siała. Jam mu na to odpowiedział, że kto ma
„taki ogrom majątkowy, zawsze kapitału obroto-
„wego przynajmniéj dwa lub trzy miliony mieć
„powinien, który w takich przypadkach uratować
„jedynie zdolny. Powiedziałem daléj, że nie może
„być wsi skończonéj kiedykolwiek, a tém bardziéj
„ordynacyi, a więc melyoracya zawsze jest do
„przedsięwzięcia, i wracająca koszta z procentem,
„byle rozsądnie wybraną i uskutecznioną była.
„Dodałem wreszcie, że kto chrześciańskim obo-
„wiązkom pana we wsi swojéj nie jest zdolny
„odpowiedzieć, nie powinien przez sumienie wsi
„posiadać. Kocham i szanuję bardzo J... Z...
„i wiem, że nie jest z tych ludzi, *qui voudroit*
„*faire une bonne affaire,* zyskać na oczynszowaniu
„— ale nie widzę w nim tego przekonania, uczu-
„cia obowiązku, że jeżeli bez ofiar nie da się
„rzecz zrobić, ofiary te uczynić potrzeba. Prędzéj
„on zrobi tę ofiarę, niż przyzna, że ją zrobić jest
„obowiązkiem. Zawsze ta nieszczęśliwa łaska i

„rachuba! Jeżeli można bez ofiar, tém lepiéj; u „nas w Poznańskiém niepodobna było. Piątą część „majątków wszyscy stracili; lecz ją wkrótce le- „pszym porządkiem i oszczędnością i dokładniejszą „gospodarką odzyszczą. Starajcie się, aby wilk „był syty i koza cała. Mnie tylko o to idzie, „aby uczucie sprawiedliwości było pobudką, a nie „rachuba zimna, ani duma łaski, ani podłość „trwogi obecnéj. Mówisz, że radzić się mnie za- „myślasz. Ślebyś bardzo trafił, bo ja nie znam „historyczności tego aktu w Księstwie; rzecz już „oddawna gotową zastałem, dopełniłem ją tylko „szerzéj i zgodniéj z życzeniami gminy. O taksach „więc, ustawach, nic nie wiem; bo już mi to po „skończonéj rzeczy niepotrzebne. Z powyższéj ro- „zmowy, jak łatwo zrozumiesz, nie mógłem być „kontent. Rachuba angielska — kiedy u nas na „co innego, na położenie i historyę patrzećby „należało.“

W kilka miesięcy późniéj, kiedy projektowane reformy włościańskie w Królestwie skończyły się prawie na niczém, tak pisał:

....„Tyle przykładów dobrych, groźnych do- „koła — a nic nie pomogą. Za cóż Bóg ma bło- „gosławić?! Serce moje radowało się u was przy

„naradzie o włościanach, nigdym milszego uczucia
„nie uniósł w sercu — jakże więc boleśnie, okrop-
„nie boleśnie, i tego jeszcze doznać zawodu! Sza-
„nuję bardzo pana J. Z... ale w téj sprawie jest
„to demon prawdziwy. Czemu nie da drugim
„lepiéj zrobić niż on? Zresztą nie trzeba było
„wielkiéj wymowy i silnych argumentów, aby na-
„szych właścicieli przekabacić, na drogę łatwiej-
„szych i starych zwrócić korzyści. Grubo i sze-
„roko leży przekleństwo na nich. Jedna myśl,
„jedno poczciwe uczucie, mogło je odrzucić na
„zawsze. Nie wiem co już pomoże, kiedy odor
„krwi nie pomógł. W takich umysłach i sercach
„myśl odkupienia nigdy urodzić się nie może. Ze
„wszystkich ciosów ten jest najsroższy, bo własną
„zadany ręką. Nie wiem co uczynisz przez wzgląd
„na okoliczności; ale wiem i to mocno, jasno i
„głęboko wiem, że jeżeli tylko możność dozwoli,
„dasz przykład wytrwałości w lepszém, zapracu-
„jesz tak na dobre, jak drudzy na złe, na stratę,
„jak drudzy na korzyść mniemaną. Mój ojciec
„był tu pierwszy, który wszystkie w dawnych
„czasach daremszczyzny i nadużycia skasował; pa-
„miętam wróżby, groźby i szyderstwa. Nie dał
„się niemi zatrzymać. Nie doczekał zupełnego

„uwolnienia włościan, ale pamięć poczciwą zosta-
„wił na ziemi, a w niebo uniósł zasługę chrze-
„ścianina. Nietylko na placu bitwy trzeba Czar-
„nieckich!

...„Nic mi nie donosisz o kraju, z którego
„wracasz (z Galicyi) a przecież to kraj Radklifów,
„Dumasów. Dramat tameczny ledwie za dwa wieki
„będzie cały wypowiedzianym. Zbliżamy się do
„okropnéj rocznicy tylu mordów. Daj Boże! aby
„sroższe jeszcze zbrodnie nie zatarły ich pamięci.
„Chciałbym głosem gromu zagrzmieć w uszy
„naszéj szlachty; lecz ona ma oczy, a nie widzi;
„uszy, a nie słyszy. Kiedy jedna ślepota u ludu,
„druga u młodzieży niedowarzonéj, trzecia u wła-
„ścicieli wiosek, nie ma słońca, któreby taką noc
„rozjaśniło! Jak dobrze, że w takiéj chwili nie
„ma Jaksów, boby i niemi weselić się było zbro-
„dnią. Szczęśliwe czasy! gdzie największą u nas
„szkaradą był wiersz głupi.“

Jak przewidującemi były uwagi Morawskiego o uwłaszczeniu włościan, niepotrzebuję powiadać; sprawa ta w ówczas rozstrzygnięta, niebyłaby się rozstrzygła w sposób gwałcący prawo własności jak to dzisiaj widzimy.

XIV.

Po zmartwieniach publicznych znowu zabłysnął promień błogosławieństwa nad domem wielko-polskiego wieszcza... Życie nasze przewija się jak różnobarwna wstęga, raz uśmiechem, raz łzami, nadzieją i smutkiem, pogodą i burzą, szczęściem i niedolą. I w życiu poety-żołnierza-rolnika, tak samo bywało. Po tęsknotach wygnania, po wstępnych trudach gospodarnego zawodu, błyska mu pociecha w postanowieniu córki; znowu po krwawéj burzy co wybiła tyle nadziei na łanie Ojczyzny — zaświeciło mu szczęście syna.

O jakżeż on odmłodniał, ile życia i ognia mu przybyło, kiedy pisał następujący list z Reinertz pod d. 28 lipca 1847 r.:

„Dziwne zdarzenia! Sztafeta zatrąbiła mi „przed oknem. Otwieram — Tadzio otrzymał „rękę panny Zofii Taczanowskiéj. Zadrżałem pod „piorunem szczęścia; bo tylko z Ojczyzną mógł-„bym być szczęśliwszy! Wsiadam na pocztę i „jakby ów duch w Manfredzie pędzący na nawałnicy, „spadłem tu w Reinertz. Cóż to za nieoszaco-„wane dziecie. Może wybór syna tyle jéj wdzięku „dodaje, ale gdyby i obcą mi była, raz ją ujrza-

„wszy, marzyłbym ją mimowolnie. Tak daleko „jak Pireneje od Himalai, jak twój ojciec (Kaj. „Koźmian) od Słowackiego, jak pan Michał od „Hegla, tak daleką ona jest od waszych lwic „warszawskich. Raz ją ujrzawszy, nie podobna „nie uczuć pociągu do uważania jéj niepospoli- „tości, do wuczenia się w nią, jak mówią Niemcy. „Wzrok ma istotnie najpiękniejszych Madon. Do- „bra dziecinną dobrocią, mało świata znająca, „zwłaszcza z czarnéj jego strony. Naiwna, czuła, „jakaś smętność całą jéj postać owiewa. W życiu „mojem nie widziałem tyle prostoty i prawdy. „Syn mój gorąco się kocha, a ja w obojgu rozmi- „łowany. Co to za szczęście wszystkie dzieci „postanowić i dobrze."

W kilka miesięcy, na niewiele dni przed ślubem syna, donosił o tém staremu przyjacielowi Kajetanowi Koźmianowi a zarazem do swego listu dołączył wierszyk, napisany na cześć przyszłéj swojéj synowéj. „Wierszyk z okazyi — pisze on ze zwykłą sobie skromnością — może mieć trochę serca, lecz nie miewa zwykle poezyi" — przytaczam te prześliczne strofki, wonne jak fiołek z rosą urwany:

Serca mego nowe dziecie,
Zosiu, oczom, duszy miła;
Tyś ostatnie życia kwiecie
Już nad grobem mi uwiła.

Mnóstwo strat się w życiu zniosło,
Mało serca ran zawarło,
I co bujnym kwiatem rosło,
Albo zwiędło, albo zmarło.

Lecz kto silnie z Bogiem trzyma,
Temu wiele odmłodnieje;
Tak i teraz moja zima
Waszém słońcem się ogrzeje.

Wami dzień się mój rozświeci,
I noc błogą zleje ciszę;
A pieśń szczęścia dobrych dzieci
W snach mię złotych ukołysze.

O spiesz w dom nasz, w te podwoje,
Gdzie cię radość łzą powita,
Gdzie zgadując litość twoję
Już się nędzarz o cię pyta.

Pójdź ukochać lud téj wioski,
Syny to są wspólnéj ziemi;
Słuchaj głosów żalu, troski,
I niekiedy zapłacz z niemi.

O, z nich każdy w czas niedługi
Serce z sercem twém zaślubi;
Panią tylko widzą sługi,
Sam chłop Matką zwać ją lubi.

Wchodź usłanym w kwiaty progiem,
Spiesz w dom nowéj ci Luboni,
Z młodém szczęściem, starym Bogiem,
Z dłonią w syna mego dłoni.

Tak, gdy pełny zdrój łask tryśnie,
Które Ojcu Bóg objawi,
Daj mu rękę — niech ją ściśnie,
Czoło — niech je błogosławi. —

Pogoda domowego szczęścia, prędko sposępniała mu w burzach jakie przebiegały widokrąg polityczny w roku 1848. O krwawych wypadkach w Poznańskiém nie znajduję wzmianki w jego listach; są tylko późniejsze daty, odnoszące się i do tych wstrząśnień, co nawiedziły różne stolice i kraje.

„Co do wiadomości, tych nie żądajcie ode-
„mnie. Mogłyby tam donoszone, być przeszkodą,
„abyście najmniejszéj o nas nie mieli wieści. Cza-
„sem niby się nieco rozjaśnia i znowu większa
„burza grozi następnie. Wiadomości więc jedne-

„go dnia pisane, już nazajutrz mogą być zatarte „nowemi. Onegdaj we Wrocławiu znowu się za- „burzyło potężnie, lecz bez złego skutku. Padło „pewnie znów coś ofiar, co i u nas, jak wszędzie „teraz się zdarzyło. Groźnie, i bardzo groźnie „na świecie. Bóg wie, co z nami tu będzie... „Znowu o milę z tąd bójka chłopstwa z żołda- „kami, i to z niepotrzebnych draźnień. Cała na- „dzieja, że może rozkazy z Berlina od króla po- „łożą tamę niegodziwościom naszych prowincyo- „nalnych Niemców.“

W téj materyi list z 23 lipca:

....„Jędrzejowi ktoś powiadał, żem zdemora- „lizowany zupełnie. Fałsz to. Gdybym nie znał „dziejów, niepomniał jak się każda prawda krwią „i łzami wyrabiała; gdybym nie był pewnym, że „Bóg wszystko prowadzi, i gdzie chce doprowadzi, „upadłbym na duszy niezawodnie; ale tak nie jest. „Nieznośny tylko dla serca szlachetnego smutek, „że ów światły, rozsądny i porządny lud germań- „ski, najniższym z wszystkich się pokazał. Cywi- „lizacya faktyczna dowiodła, czém jest w swych „owocach. Nie oparta na religii, w chwilach sta- „nowczych nie przemogła obrzydliwego egoizmu, „najbrudniejszéj chciwości, najchytrzejszych pod-

„stępów. Niema siły moralnéj, bo czyż widzisz „choć jedno wielkie poświęcenie się osobiste lub „majątkowe? niema światła politycznego, bo z ni- „czém do końca trafić nie mogą; nie ma chrze- „ściańskiéj miłości, bo same niezgody i duma i „pogarda wszystkiego, co nie jest Niemcem; a „przytém strach na obie strony Europy, strach „z trzydziestołokciowemi uszami! Możnaż nowéj „budowie Niemiec wróżyć jakąkolwiek trwałość? „We Francyi przynajmniéj są, mimo wielu nie- „dorzeczności, wielkie poświęcenia się; poznano, „że jędrności trzeba dodać rządowi; lała się wpra- „wdzie krew, ale też wiele kupiła, uderzono w sa- „mo jądro złego. Tu zaś w Niemczech zdają się „rozkoszować w rozrabianiu złego, w wikłaniu, „gmatwaninie. Taką iluzyę stracić zupełnie o na- „rodzie tak niedawno wzorowym, i na którym „wiele budowano nadziei, na jego wrodzonym po- „rządku, spokojności i takiém świetle — to dla „całéj ludzkości musi być smutkiem graniczącym „z rozpaczą. Wzięły wprawdzie na chwilę teraz „przewagę prawe strony tak w Berlinie jak i Frank- „furcie; tam przez odrzucenie wniosku Jakobiego, „tu przez wybranie Zawiadowcy Niemiec; ale nie „trzeba myśleć, że lewa zwalczoną; na moment

„ona tylko dała się wciągnąć, aby coś przecie „postanowić, lecz nie wyrzekła jeszcze swego osta- „tniego słowa. Ostatnie zwycięztwo w Paryżu ura- „towało całą społeczność, bo gdyby nie było tego „zwycięztwa, jużby się ta krwawa i brudna ra- „dykalizmu i komunizmu rzeka była dotąd po „świecie rozlała, a najsrożéj po Niemczech, gdzie „tego szkaradnego żywiołu okazało się więcéj „niż gdziekolwiek, a nawet w teorye scientyficznie „uorganizowany po głowach, w najrojniejsze uto- „pie wykształcony. Nikt ani pojmuje jaki stosunek „może się ułożyć między Reichsverwezerem i sej- „mem frankfurckim, między arcy-księciem i pa- „nującymi niemieckimi. Cóż oni uczynić mogą „dobrego swym ludom, jak potrafią rządzić, gdy „z dołu u siebie podkopywani, a z góry w takiéj „podległości więzieni. Szczególna to Unia; dziwna „jak mara; fantazya gorączki i strachu, a mądra „jak talmud jaki!

„Bóg wie, jak długo w świecie trwać będzie „ten zamęt. Znikła dawniéj feudalność, późniéj „arystokracya i przywileje szlachty, weszła w na- „sze prawa przemysłowa burżoazia, a nie w obo- „wiązki. My, czy grad, ogień, nieurodzaj, zabu- „rzenia, zawsze zarobek dać musimy; zawsze my-

„śleć o drzewie, mieszkaniu, chorobach, nieszczę-
„ściach naszego pracownika, i choć zbankrutuje-
„my, nowy właściciel wsi przyjmuje znowu te obo-
„wiązki. Przemysłowce zać płacą dziennie za ro-
„botę i o resztę nie pytają, czy robotnik ma rodzinę,
„czy będzie miał czém żyć na starość, czy chory,
„umierający. Wzrastała przy kapitałach mnożą-
„cych się przez fabryki liczba robotników, i do
„zastraszającéj wzrosła masy. Legislacye nie zwa-
„żały na to; przyszły biedniejsze lata, pozamy-
„kano fabryki, warsztaty, bo już tyle milionów
„co dawniéj nie przynosiły, i na kark rządów i
„społeczeństwa zwalono krocie wyrobników. Tu
„całe zło — i Bóg wie, jak temu zaradzą, bo
„wszędzie i chłopstwo głowy podnosi. Ostatnia
„ta warstwa społeczeństwa poruszyła się, a więc
„i ostatnia powinna być rewolucya światowa; bo
„po téj warstwie najniższéj już chyba tylko pro-
„sięta zostają. Może to potrwać ze czterdzieści
„lat; ale zdaje się, że już koniec będzie tym
„wstrząśnieniom socyalnym świat burzącym, i Bóg
„wielkie amen wyrzecze.“

Oby spełniły się te przewidywania! Atoli kwestya proletaryatu zażegnywana stucznym środkiem przebudowywania Paryża, nie może się

nazwać rozwiązaną. Choćby wszystkie stolice poszły za tym przykładem, to tylko na pewien czas wstrzymają burzę. Niebezpieczeństwa proletaryatu są wynikiem sił życia i interesów skoncentrowanych w stolicach; jedna decentralizacya mogłaby przywrócić naturalny stan społeczeństwu. Za dawnych czasów królowie przenosili często rezydencyę do miast prowincyonalnych, i to było jedną z przyczyn, dla czego ludność napływowa trzymała się w pewnéj równowadze.

Zawierucha niemiecka w pamiętnym roku najbardziéj ciężyła na sercu naszemu poecie —, i niedziw, bo się o nią prawie ocierał. Znowu więc o niéj pisze:

„Inaczéj jak Bóg stwarzać chcą Niemcy. Ten „stopniowo wszystkiemu rozwijać się kazał, ci z „ciemnéj i duszącéj głębi w najwyższą chcą sko- „czyć eteryczność. Jak zaczęli od negacyi przez „protestantyzm, tak negowali w filozofii, tak ne- „gują i jedynie negują w polityce, a nic zbudo- „wać nie umieją. Obwiniali nas zawsze co do „ucisku chłopów, a przecież po regulacyi jeszcze „się objawiły u nich takie daniny i ciężary, jakich „nasi przed regulacyą nigdy nie znali. Kiedy od

„chłopów niemieckich krocie petycyi podano do „sejmu, od nas zaledwo dwie.“

Niepodobna mi pominąć listu pisanego do synowca *), posła w sejmie berlińskim. Wytrawność polityczna Morawskiego, jego trafny, ogarniający rozsądek, można powiedzieć, stanowczo rozciął kwestyę abstencyi, która później i na innych sejmach debatowaną była w kole polskiém i doprowadziła do mniéj szczęśliwych postanowień.

„Pisałeś podobno, że przy rozpoczęciu dysku„syi o demarkacyę **) rzucicie sejm na zawsze. „Ja zupełnie przeciwnego jestem zdania, i zdaje „się dobrego. Protestować trzeba zawsze, wszędzie, „przed Bogiem, narodami, królami, dziejami — ale „dezerterować z przykrego stanowiska nie należy. „Cóżbyś mówił o tym żołnierzu, który widząc że „batalia już z pewnością przegraną będzie, nie

*) Kajetana Morawskiego.

**) W r. 1848 zesłano w Poznańskie komisarzy, którzy robili demarkacyę między powiatami osiadłymi przez Niemców, a powiatami, gdzie ludność polska przeważała. Był to więc zakrój na nowy rozbiór.

„walczył do ostatka, lecz opuszczał miejsce i „zemknął do stryja, jak mówią w obozach.

„Walka ta może, pewno nawet bezużyte„czna; ale powinność i bezużytecznego prawa opu„szczać nie dozwala. Trzeba kielich do dna spełnić „i wciąż i zawsze, choćby wiekami ciągnęła się „walka. Cóżbyście wreszcie zyskali waszym odja„zdem? Odtąd w ręku Niemców raz na zawsze „zostałyby wszystkie interesa księstwa do sejmu „należące. Ostatniego peryodu prawa, ostatniego „cala ziemi polskiéj bronić tam potrzeba; osta„tnim, umierającym nawet głosem jeszcze bronić! „W téj stałości cała nasza wartość, godność i „przyszłość! Nic łatwiéj jak wieko grobowe zam„knąć i osłonić się cnotą rezygnacyi. Wolno to „indywiduom, lecz nigdy narodom, bo tu jeden „za drugiego, jeden za wszystkich odpowiadać „winien, wszystkich i wszystkiego bronić. Sądzę, „że tak się téż stanie, bo o tylu zrywaniach sejmu „w Poznaniu dawniéj, a teraz w Berlinie, słyszałem, „że mniemam, iż jak zawsze tak i teraz zgubny „ten zamiar spełznie na niczém.

„Nakoniec zdaje mi się, iż wcale może do „dyskusyi nad tą materyą nie przyjdzie; jako „skończoną w Frankfurcie uważać ją będą, a

„zwłaszcza dla tego, że Brandeburg w swojéj mo-
„wie zagajającéj nie wyrzeka się wcale działań
„Frankfurtu z téj epoki, gdy nas ćwiertowano.“

W tymże duchu pisze do drugiego synowca swego Józefa obranego posłem na sejm w r. 1852.

„Był czas, w którym mi mówiłeś: „„Szczę-
„„śliwy czas waszego pokolenia, boście przynaj-
„„mniéj mogli coś zrobić dla kraju, i wspomnie-
„„niem dawnych, choć bezkorzystnych zasług, uza-
„„cnić waszą starość.““ — Otóż teraz przez wy-
bór ostrowski (w Ostrowie) nadarza ci się po-
dobna pora. Niewymawiaj się więc. Przyjm urząd deputowanego. Zdolności twoje, obywatelski obowiązek, rzecz religii, która jest w niebezpieczeństwie, wymagają tego po tobie. Winieneś coś nakoniec i imieniowi naszemu. Wiem, że niedogodność z tąd w domu i przykrości w Berlinie cię czekają; lecz inni przemogli te zawady, miałżebyś ty jeden zważać na nie? Nie idzie tu o mowy, lecz o dyskusye w komisyach, o ścisłość i jedność w zdaniu grona polskiego; możesz się wiele przyczynić do rozjaśnienia jednych, utrzymania drugich. Wszyscy przyznają ci podobne zalety, a moc charakteru i prawość duszy ułatwią ci drogę. Prawda, że trzeba wiele wiary i cier-

pliwości i zręczności nawet, lecz czemuż i tych niedostawać by ci miało? Skorym zawsze byłeś do poświęcenia siebie, gorącym w sprawach kraju i religii; nie cofaj więc nogi, rzuć się w nowy zawód, przyjm, ruszaj do Berlina i uciesz starego stryja, który cię zawsze kochał i cenił i więcéj w tobie widział, niż ty sam w sobie. Wczoraj z twoim teściem mówiłem; niewątpi, że przyjmiesz. Pozwól mi pewność jego podzielać."

W liście o parę lat późniejszym znowu pisze do tegoż w téj materyi, dołączając uwagi swoje z powodu wojny na wschodzie:

„Zdolności, wybór obywateli, potrzeba szerszego życia, powołały cię do Berlina, gdzie tak godnie z obowiązku twego się uiszczasz, a umiesz zarazem żyć sercem i duszą w kole domowém, gdzie, jak to mój Manfred powiada:

kłócą się wzniosłe myśli z niskiemi potrzeby.

boć do tylu klęsk domowych dołożono ci w całéj pełności i tegoroczną, a ty znosisz to, przyjmujesz z pokorą, nie opuszczasz rąk, działasz. Pamiętasz na to, najbardziéj chrześciańskie przysłowie: *Aide-toi, le ciel t'aidera*, w którém jest zarazem i wiara i czyn. Niechże ci Bóg tak błogosławi, jak ja ośmielam się błogosławić, błogosławi

na żonie, dzieciach i wszystkiém. Niech doda wyższéj siły!

„Radbym cię słyszał mówiącego o obecnym stanie świata. Dla mnie coś tajemniczego mają: ta niewidoma siła, która pcha naprzód Ludwika Napoleona, ta wiara w coś nieodgadnionego, i ten spokojny zgon Mikołaja, obarczonego tylą krzywdami jego ofiar, łzami tylu sierót, brzękiem kajdan tylu milionów. Wielkie czasy, to prawda, lecz ludzie, jak w 1848 za mali na takie zdarzenia, zwłaszcza w wojennym zawodzie. Z obu stron same mierności. Nie tak wielki jestem strategik, a przecież w swoim czasie wskazałem Stasiowi*) na mapie wszystkie błędy, które w ówczas popełniono tak w bitwach jak i w oblężeniu. Odgadłem je, bo były zbyt widoczne. Canrobert, jest to nasz Skrzynecki; mężny, nie bez talentu, ale w ciaśniejszym zakresie. Raglan stary niedołęga. Bosquet zda się mieć najwięcéj życia, najzdolniejszy, błyskawicznego postanowienia. Czém więcéj być może? niewiadomo. Omer Pasza jenialnie prawdziwie odgadł ważność Kalafatu; w nnych wypadkach był zwyczajnym; w skórę od

*) Chłapowskiemu z Czerwonéj Wsi.

Moskali dostanie, jeźli bez Francuzów na czystém polu bój wyda. Dziwna to wojna, niepodobna do żadnéj. Pokryli się wszyscy w swoich dziurach, i za okopami siedzą. Oblężony Sebastopol; oblężeni oblegający; oblężona Eupatorya! Gdyby przynajmniéj od Bałakławy korpus oddzielnie grożący raz odparto na dobre; ale i tego nie. W marcu jeszcze musi być coś ważnego, bo rzeczy nadto daleko zaszły. Nie pojmuję możności zgody na konferencyach. Pokój trudniejszy, niż za Mikołaja, bo koncesye przez nowego cara zrobione, położonoby na karb słabości jego charakteru, i sparaliżowałyby całe jego panowanie. Musi się jeszcze wprzód lać krew szeroko.....

„Śmiałem się tu z dyskusyi czy Oberhaus czy Herrenhaus przyjąć? przypomniało mi to nocnych stróży z Krasickiego bajki:

I o to się kłócili przez lat kilkanaście:
Jan wołał: gaście ogień! Jędrzéj: ogień gaście!“

Polityka świata, do któréj przyczepialiśmy tyle nadziei, podaje mu wątek do wielu trafnych postrzeżeń i żalów z doznanych zawodów. O traktacie paryskim tak się wyraża:

„Odebrałem list twój i dziękuję z wdzięcznością za pamięć. W tym roku (1856) zabijającym

tyle drogich mi osób i tyle rojonych nadziei narodowych, niebardzo do serca przylegają życzenia. Wszystko zda się zwodniczém; sama boleść prawdą. Doznajesz i ty tego codziennie w Berlinie, i jak się chlubię tobą, tak i szczerze cię żałuję.

„Mamy więc pokój, dziecko ciężkiego połogu. Niewiem, jaki los jego będzie, ale przewidzieć można, że będzie jakieś dziwaczysko, bo trudne do strawienia dla Rosyi to poniżenie, trudne i to przeistoczenie zupełne dla Turcyi, w któréj krwawą przewiduję rewolucyę, równie jak dla Rosyi jeżeli inną drogą nie pójdzie. Znam ja dobrze Rosyę. Niema tam miłości ojczyzny, ale jest bardziéj niż gdzieindziéj wygórowana duma narodowa, są wreszcie dość liczni ludzie głęboko myślący. Zdaje się, że Cesarz panujący czuje potrzebę radykalnych zmian, ale jak sam na własne uszy słyszałem, i Aleksander I. i Mikołaj w części, czuli to i chceli, a przecież wkrótce im ręce opadły i uznali niepodobieństwo. Wiara, obyczaje przywykłość do złego wiekowa, stoją na zawadzie, a zwłaszcza ciemnota i interesa osobiste panów.

„Słyszałeś zapewne o rozmowie Cesarza francuzkiego z Władysławem Zamojskim. Jest to jakieś ni to ni owo. Dziwił się że w Galicyi i Pru-

siech niewypełniany jest względem nas traktat wiedeński. Fałsz, komedya!“

W późniejszym liście tak się wyraża o cesarzu Ludwiku Napoleonie:

„Co do wniosków politycznych, które czynisz w liście, bardzo mi pochlebiły, bo moje są kubek w kubek takie same, z tą różnicą, że ty zdasz się mieć więcéj sympatyi niż ja do Napoleona. Nie przeczę ja mu wielkiego talentu i oględności, lecz jako człowieka niedość go znam, a więc nie ufam. Nic téż i nic dla Polski, a przynajmniéj dla Polaków nie uczynił dobrego, choć były chwile po temu.“

Zapewne trudno to ludziom głębszych przekonań i gruntownych zasad, do których Morawski należał, sympatyzować z monarchą, biorącym za podstawę swoich działań r. 1789 i robiącym go niejako regulatorem politycznych sumień. Taki punkt wyjścia, jeźli komu to Polakom niewróżył żadnéj nadziei; Polska rozbijająca się za niepodległością, za samoistnym bytem, nie mogła w przewrocie społecznego porządku znaleść swego zbawienia. Jakoż dawny porządek przewrócił się do dna, a jéj istnienie stało się tém więcéj problematyczném. Czuł to Morawski, kiedy patrząc na

zamęt zrobiony w świecie, nazwał go chorobą w przesileniu. W téj myśli w jednym liście do Jędrzeja Koźmiana zrobił on następującą diagnozę stanu moralnego Europy:

„Najwięcéj żyję życiem przeszłości. Radbym, „jak się myślącéj należy istocie, żyć i ideą przy- „„szłości, nie samolubnie zasklepiać się w obecno- „ści, nie jednostronnie w przeszłość tylko wlepiać „oczy. Ale cóż, gdy téj przyszłości nie ma, bo „nie ma idei, któraby na jéj przewodniczkę wy- „robić się mogła. Nikt nie wie, jak się ta przy- „szłość uorganizuje w czasie, jaka będzie jéj barwa, „myśl, charakter, i co następnemu po sobie za- „powie wiekowi. To, co teraz zdala przewidujem „— jest tylko błotem, nocą, szturmem wichru, „wściekłością i głupstwem z jednéj strony, z dru- „giéj niezgrabnością, przesadą w uporze, ślepotą „na dzieje; z obu stron zaś brakiem szczerości, „religii, i wymaganiem od świata téj perfekcyi „w każdym systemacie, do jakiéj ludzkość najwy- „żéj stojąca nigdyby zdolną nie była. Jest to „więc dopiero kryzys bolesna, choroba z maligną „i konwulsyami, złe w całém wytężeniu, na które „z obawą tylko i przerażeniem patrzyć można, „lecz nic pewnego jeszcze dostrzédz niepodobna

„Bóg, co z zamętu świat wywiódł, sam jeden „tyle sprzeczności zharmoniować zdoła. My mu „tylko psujem wszystko, lecz on zawsze wywiedzie „z tego ład, jaki sobie zamierzył. Kiedy? jak? „to nie nasza rzecz wiedzieć. Były takie chwile „i w Rzymie i w średnich wiekach, a przecież „świat wylazł ze swego błota w sposób nieprze„widziany w czasach chaosu.“

Tę spójność i ufność w ułożenie się zwichrzonych rewolucyami stosunków, dawała mu mocna wiara, głębokie przekonanie religijne. Horacyuszowski *impavidus* obojętnie depcze po ruinach; chrześciański poeta radby mieć lutnię Amfiona, żeby na dźwięk jéj powstały głazy i nowe z nich życie wytrysło. Jedna myśl, jedna harmonia przenikająca różne strony i objawy życia, robi tak wdzięczną, tak sympatyczną postać wielkopolskiego wieszcza, że tylko potrzeba tak zawichrzonych pojęć i czasów jak nasze, aby bez wielkiego rozgłosu minęła. W części może i sam temu był winien, że go tak nie znano, jak znanym być zasługiwał; polubiwszy ciszę, w ciszy pracował, czynił bez rozgłosu, co nie przeszkadzało dobremu ziarnu, które sypał na bliską rolę, wschodzić i zdrowo i silnie na pożytek ojczyzny. Widzieliśmy

jak w poufnych listach zaczepiał o każdą bieżącą kwestyę, oceniał jéj doniosłość, wskazywał z jakiéj strony brać ją należy, w jakim kierunku rozwijać. Były to pomysły jednéj, lub kilku osobom udzielone: te zaś uderzone ich gruntowną trafnością, często na téj powadze rozwijały swój wpływ na całą prowincyę lub okolicę. Ten rodzaj publicystyki nie mający zwykłego gazetowego rozgłosu, nie zwracał téż uwagi oddaleńszych stron kraju. Opinia dzienna lubująca się w bengalskich efektach, nie troszczy się o najszczytniejsze cnoty spełnione za kulisami. Opinia dzienna nie jest téż opinią potomności; wielkości jéj rodzące się jak grzyby po deszczu, przechodzą jak grzyby.

XV.

W roku 1851 wydrukował Morawski w Lesznie poemat swój: Dworzec mojego dziadka.

Był to pierwszy utwór oryginalny większego rozmiaru.

Napisał go jeszcze w początku r. 1848, kiedy u córki swojéj bawił w Mińsku pod Warszawą i doniósł o rozpoczętéj swéj pracy Kaj. Koźmianowi, że coś nowego pisze. W następnym

liście*) szczegółowiéj się wyraża do Jędrz. Koźmiana.

„Ja dziś spróbowałem dalszego ciągu mojéj „ramoty, i 50 wierszydeł nabazgrałem, to jest „cały romans Dziadunia, bo w takim obrazie „mnóstwo być powinno obrazków, podobrazków, „lecz krótkich, dla rozmaitości. Ztąd zdaje mi „się, że wesele jako 200 wierszy najmniéj wy- „magające, byłoby najlepiéj odrzucić. Jest coś „ostrzegającego w każdym pisarzu czego słuchać „trzeba, jakiś takt, instynkt w budowaniu treści, „które on tylko pojmuje. Najtrudniejszą rzeczą „w podobnych poematach, powiązać, naturalnie „tyle szczegółów, i taki styl dobrać, któryby „wznosił się nieco nad poziom zwykłéj pogadanki „domowéj a przecież nie utracił wdzięku poczci- „wéj rubaszności. Jakaś pleśń starożytna powinna „powlekać pewne wyrażenia, i przyczyniać się przez „to do charakteryzowania czasu i poezyi słowa. „Miłość nawet owych czasów koniecznie z reli- „gijném uczuciem musi iść w parze, inaczéj nie „byłaby to miłość ani panów Jakóbów, Rafałów, „ani panien Benigny i Pulcheryi. Tak ja pojmuję;

*) Z 4go lutego 1848 r.

„inaczéj pojmować nie umiem, bo taką widziałem „rzeczywistość, a koszlawić ani łgać narodowości „nie umiem i nie chcę.“

Niewiadomo mi, jakie rady podawali mu jego literaccy korespondenci w obrobieniu tego poematu; lecz jeźli postanowił przedstawić w obrazie czasy swojéj młodości, po których przesunęło się więcéj niż pół wieku; jeżeli chciał w nim oddać swoje wrażenia — musiał chwytać rysy charakterysteczne, malować ówczesnemi farbami, stawiać takich ludzi, jacy byli, nie zaś używać jakiegoś konwencyonalnego sposobu pseudo-klasyków, co wszystkie epoki i narodowości jedną i tą samą sentencyonalną nawodzili bezbarwnością. Czuł to i dobrze pojmował autor. Już w swojéj Wizycie w Sąsiedztwo dał próbkę szlacheckiéj domowéj epopei, w rodzaju pana Tadeusza — był to ustęp tylko, wskazujący wszakże swoją naturalnością i potocznością opowiadania, a mianowicie rysami branemi z życia lub z żyjącéj tradycyi, nareście owym jowialnym humorem staropolskim — że zrobił już rozbrat ze zwietrzałą szkołą, która czuła sercem i obrazowała imaginacyą jak każda inna, lecz tym czuciom i obrazom nie umiała dać ciała i życia.

Podług wszelkiego podobieństwa myśl napisania tego poematu urodziła się jednocześnie z radą, jaką Morawski dawał Kaj. Koźmianowi, aby spisał swoje pamiętniki; jak zaś to zadanie pojmował, będzie razem wskazówką jak pojmował ów świat, który miał rozświecić magicznym ogniem poezyi.

„Nic mi nie piszesz o postępie twoich pa„miętników. Baw jak nadłużéj nad wiekiem twym „studenckim; najdawniejsze to będą obrazy i wra„żenia; a więc najciekawsze. Każdy szczegół, „który ci może słabym się wydaje, nietylko będzie „dla czytelników uroczy, ale wiele do malowni„czości epoki się przyczyni. Wreszcie zawsze „miło słyszeć 80letniego starca opowiadającego „tak daleką już dziecinność swoją, rozdmuchują„cego jeszcze popioły od tak dawna już zgasłe i „uśmiechającego się jeszcze na pustoty swe stu„denckie, tém bardziéj zajmujące, im mniéj do „dzisiejszych podobne. Zyska pismo przeto i na „rozmaitości stylu i obrazów, co każde pamiętniki „najbardziéj powabnemi czyni..... Przypominam „sobie opowiadanie twoje o sejmikach lubelskich, „a zawsze ów nieprzepomny połmisek flaków go„rących, wysypany w kaptur szlacheckiéj opończy, „z którego żarłoczne wąsale widelcami po plecach

„nieboraka chwytali mięsiwo. Co za obraz prze-
„dziwny! A w wyższym rodzaju, starego księcia
„Adama Czartoryskiego, obraz dawnych wojewo-
„dów, lub téj mięszaniny nowego poloru z azya-
„tyckim przepychem i grubym jeszcze sarma-
„tyzmem; co to uroku w takich wystawach!....
„Zacznij tylko na dobre a rzecz pójdzie sporzéj
„niż mniemasz, bo wiązanie jest łatwém, stokroć
„łatwiejszém niż w poezyi; a wreszcie po jednéj
„godzinie pracy tak się zacznie w głowie mnożyć
„materyału że pisać nie nastarczysz. Przeplataj
„komicznością sceny dla dodania im rozmaitości,
„byle nie wyszydzenie przeszłości stało się głó-
„wnym obrazem, lecz raczéj wyświecenie dawnéj
„prostoty, gościnności, poczciwości, wiary i nieco
„rubaszności, która przecież nie była bez wdzięku."

Morawski z poematem swoim prędko się uwinął; w wielu miejscach znać jednolitość odlewu; gorączkę zapału, która go nie opuszczała. Zapewne jednak nieobeszło się bez piłowań, gładzeń, może uwag pociągających za sobą pewne złagodzenia, odmiany, wykreślenia... Oparł się temu autor, mianowicie gdy mu radzono omijać katastrofę rozbioru:

„Co do nierozdrapywania rany, którą już inni

„rozdrapywali — radzisz mi na saméj rzewno-„ści poprzestać — lecz na to zupełnie zgodzić „się nie mogę. Cóżbyś powiedział, gdyby pięćdzie-„sięciu wzięto na męki, a ktośby łajał pięćdzie-„siątego, że krzyczy i że krzyczeć nie powinien, „bo już 49ciu krzyczało.“

Szczęście wielkie, że jeszcze dużo rysów pierwszego rzutu ocalało w poemacie; z podobnemi radami mielibyśmy coś bladego, ogólnikowego, bez rzeźby, bez precyzyi, z retoryką a nie poezyą słowa.

Wyszedł nareszcie Dworzec Dziadunia w Lesznie przypisany zrazu Kajetanowi Koźmianowi, w czém autor składał hołd serca najstarszemu i najlepszemu przyjacielowi. Ten wyraz wdzięcznéj pamięci położony na wstępie utworu uwitego z najdawniejszych pamiątek serca, z najżywszych miłości dla ojczyzny, był tak ściśle związany w jego wyobrażeniu; osoba żyjąca tak się łączyła z konającą tradycyą — że ani przypuszczał, aby w téj mierze mogła zajść jakakolwiek trudność. Tymczasem wzgląd na okoliczności miejscowe wywował protestacyą poufną Jędrzeja Koźmiana, który z obawy, aby ojciec jego, mieszkający w Królestwie, nie był za tę dedykacyę prześlado-

wany, błagał jenerała o wypuszczenie nazwiska. Zastósował się do tego autor i tak mu opisał swój kłopot i zawód:

„Miałeś cały czas w Luboni przed sobą de-
„dykacyę, miałeś ją w drodze, w Dobrzechowie,
„a teraz, kiedy już książka wydrukowana, zeszyta
„i oprawna, wołasz o zmianę. Powlekło się więc
„stare jeneralisko po mrozie i grudzie parę mil,
„aby zadość woli twéj uczynić; zrobiłem co chcia-
„łeś; są tylko inicyalne litery (K. K.); wypuściłem
„wszystko, prócz wdzięczności za przyjaźń; wy-
„mazałem i znakomitość dzieł i zacność chara-
„kteru; zrobiłem to z prawdziwym bólem serca;
„słowem, całą szatę, całą purpurę królewską zdar-
„łem z najdroższéj mi postaci, i nikt jéj nie po-
„zna; zostały tylko K. K. to jest: Kilijan Ka-
„czorkiewicz. Była to dla mnie najprzykrzejsza
„z ofiar w życiu, — i drugi raz nie żądaj po-
„dobnéj! Niepojmuję wreszcie, coby to mogło
„szkodzić, gdyby ktoś we Florencyi piszący, mnie
„swoją biedotę lub niedorzeczność przypisał. Ale
„chciałeś — i stało się.“

Ukazanie się Dworca mojego Dziadka wdzięcznie było przez publiczność przyjęte. Rozchwytywano egzemplarze, powtarzano piękniejsze

wiersze i miejsca; krytyka jednak prócz w jednym Poznańskim Przeglądzie nie wystąpiła nigdzie ze zdaniem, z téj przyczyny, że cenzura w Galicyi, a tém bardziéj w Królestwie zakazała téj książki. Autor jednak obawiał się zjadliwości tych piór, co zdanie swoje pochwalne lub naganne regulują do tego, w jakiéj estymie zostaje piszący, w obozie pewnéj politycznéj opinii trudniącéj się sortowaniem indywiduów na arystokratów i demokratów, niepostępowych i postępowych, ultramontanów, papistów, i zapewne jako przeciwstawienie tym potworom, na radykałów i nihilistów. „Przed kilku dniami — pisze on — odbyłem spowiedź jubileuszową, aby być skłonniejszym do przebaczenia; gdyż niezawodnie znajdą się zjadliwe gadzinki, co gryść zaczną.“

Próżna była obawa; szanowny starzec niezawadzał nikomu, więc i gryść nie miał nikt interesu. Z krytyki zaś Przeglądu pomimo słuszności, jaką mu oddano w tém szacownem pismie, nie dość był zadowolony, jak to widać z ustępu listu do J. Koźmiana:

„W téj chwili odebrałem recenzyę Dziadka „nadto chwalącą i nadto, bo często niesłusznie „ganiącą, ale zawsze godną i sumienną. Zbytnia

„więc niekiedy ostrość złagodzona jest przyzwoi-
„tością. Nie dla druku, bom tego zakazał, lecz
„dla poufnego porozumienia się, posłałem zacne-
„mu krytykowi pięcioarkuszową odpowiedź, z in-
„tencyą dowiedzenia mu, że niekoniecznie miał
„słuszność, zwłaszcza na inném wcale stanąwszy
„stanowisku niż należało. I początek i koniec téj
„odpowiedzi mają te słowa: Kłóćmy się, kocha-
„jmy się — a więc charakter jéj i dążenie odga-
„dnąć możesz.“

Dla wyjaśnienia szczegółów tyczących się téj recenzyi, najlepszém źródłem są notatki pisemne udzielone mi z całą uprzejmością lat młodych przyjaciela, p. Stanisława Koźmiana, współredaktora Przeglądu Poznańskiego, który tak pisze:

„W końcu 1850 roku wyszedł Dworzec. Pierwszą część słyszałem już kilka razy wpierw czytaną. Na kilka miesięcy przed podaniem do druku, Jędrzéj (Koźmian), Ropelewski i ja, byliśmy w Luboni. Jenerał nam czytał całość i prosił o uwagi. Jędrzéj chwalił, Ropelewski milczał, ja tylko jeden acz nie śmiało i łagodnie, objawiłem pewne wątpliwości. Jenerał odpowiedział, że już teraz trudno zmienić. Gdy Dworzec wyszedł

z druku, napisałem recenzyę do Przeglądu. Czekał na nią pierwszy poszyt r. 1851, więc pisałem bardzo szybko. Nie było czasu ostygnąć, by każde zdanie spokojnéj poddać rozwadze. Prócz tego ciągłe zarzuty pism nam nieprzychylnych, że stanowimy koteryę, że jedni drugich chwalimy i uwielbiamy, a bezwzględnie potępiamy wszystkich i wszystko, co za jéj ciasnym obrębem stoi — zarzuty najniesprawiedliwsze, gdyż jeśli niezawsze łagodnie względem przeciwników, to zawsze surowo względem przyjaciół postępowaliśmy — tak mię były zajątrzyły, żem w méj recenzyji Dworca bezbarwniéj ustępy pochwalne, a jaskrawiéj naganiające wydał, niżbym to w innych okolicznościach był uczynił. Odczytując jednak dziś tę krytykę, widzę, że prócz kilku drobiazgowych zarzutów, kilku zbyt mocnych wyrażeń, nie zazawiera ona nic takiego, coby się sprzeciwiało obecnemu memu zdaniu o tym poemacie. Na Dworcu zawsze znać będzie, że nie z jednego wyszedł pomysłu, że opisowa część miała być wszystkiem, że dopiéro po jéj ukończeniu, przyczepiony późniéj został dramacik, a do tego dramaciku naprzód jedna mała scena, potem druga mniejsza, a wreszcie najmniejsza. Na krytykę od-

powiedział mi Autor listem, na trzech wielkich arkuszach drobnego pisma skreślonym. Że żądał niezwłocznego zwrotu téj repliki, posiadam ją tylko w kopii. Cały ten list znajdzie pewnie kiedyś miejsce albo w całkowitém wydaniu pism Jenerała, albo w jakiem dziele o tegoczesnéj literaturze naszéj. Tu podaję więc kilka tylko dowcipnéjszych okresów z samego wstępu:

„„Krytyk — pisze Morawski — obsypuje mię z początku takiemi pochwałami, że z całą szczérością serca mówiąc, pomimo największéj miłości siebie, nie mogę nienazwać ich zbytecznemi, przesadzonemi. Lecz za to, po zdaniu sprawy o treści dziełka tak przez kilka stronnic gromi, jakby mu żal było, że mię tak skwapliwie pochwalił. Bez wytchnienia już odtąd siecze, i nakoniec ledwie kilku obrazom i szczegółowym rysom przyznaje jakąś wartość i zasługę. Przepraszam za trochę niskie porównanie, ale krytyk przypomina mi owego poczciwego i zacnego komisarza obwodu, który cierpiąc na tém, że przykrego musi dopełnić obowiązku, wchodzi do domu szlachcica z wszystkiemi formami grzeczności, chwali jego gospodarkę, koniki, dzieteczki, i obrazki po ścianach rozwieszone, aby mu późniéj

oświadczyć, że ma rozkaz wziąść go w dyby i zapakować do cytadeli..... Ale co recenzentowi do tego, że autor chciał zostać na poziomie? wiem, że krytyk mi powie: kiedy tak miało być, to trzeba było nie wspominać ani Kościószki, ani Napoleona, bo tak widokrąg się rozszerzerzył, który przebiedz należało. A więc dla tego, że wystawiając jakiś pejsaż, kawałek morza w dali ukazałem, już mam dla tego, że się widokrąg oceanu zdala ukazał, koniecznie malować wszystkie ponim przepływające floty, boje morskie, burze i rozbicia? Mamyż prawo nastawać na malarza że z profilu tylko wystawił Napoleona, gdy miał tak blizko, bo zaraz za nosem, całą twarz tak jenialną, podającą mu pole do rozwinienia wyższego talentu? Nie — Wernetowiby nawet wyrzucać nie można, że chciał się drobniejszym zabawić obrazem, kiedy tylko w téj drobnostce piętno swojéj zdolności wycisnął..... Mickiewicz w Tadeuszu zwłaszcza w pierwszym tomie, tak często nieznośnie jest długi, że zdaje się, że nigdy wygadać się nie może, czyni to nawet bez

nił. A dla czego? dla tego jedynie, że autor nie nazwał Tadeusza poematem, lecz kroniką szlachecką, przez co zyskał prawo do wybajania się *ad libitum*. Jeżeli więc nadto rozszerzać się wolno, wolno też i ścieśniać się według upodobania. Może to przytem służyć za przestrogę, że na tytuł dzieła koniecznie spojrzyć potrzeba, bo on jest tym szyldem sklepu kupieckiego, który uprzedza, czego w tymże sklepie dostanie. Nieważając na ten szyld możnaby przez pomyłkę żądać butów od księgarza, a rubarbarum od galanterników.““ —

„List ten — pisze daléj Stanisław Koźmian w swoich notatkach — poczyna się i kończy temi samemi wyrazami: kłóćmy się, kochajmy się. Zajście też to nieprzerwało ani oziębiło naszych stosunków. Co najwięcéj, jeżeli zatrzymało je przez kilka miesięcy na tym samym punkcie, i przeszkodziło, ale tylko na krótką porę, coraz szybszemu i serdeczniejszemu rozwijaniu się onych. We dwa, czy trzy tygodnie, po liście Jenerała, ległem na jego imieniny, 2go Kwietnia, w Oporówku i zdrowie jego wnosiłem. Jenerał wnet się udobruchał, i choć po wielu jeszcze latach robił czasem przytyki do owéj recenzyi, zawsze w żart

to obracał i dobrym humorem dowodził, że urazy żadnéj nie czuje. Wypadek ten jednak nader był mi przykrym. Przekonał mię, że głośność, choćby najdoskonalszéj i najsłuszniejszéj recenzyi, nie warta jest, nie nagrodzi nigdy za jedną chwilkę zachmurzonéj przyjaźni. Niesmak i wstręt, który zawsze miałem do krytykowania, odtąd się stokroć we mnie powiększył; atoli nie mógłem opuścić brata (księdza Jana), który prawie wyłącznie własnemi tylko siłami dźwigał część polityczną, religijną i naukową P r z e g l ą d u. Wciąż więc i daléj obrabiałem część krytyczno-literacką. Trudny to wszędzie zawód; truduiejszy u nas, niż gdzieindziéj. Wynurzone pochwały każdy poczytuje za tak przynależne sobie, że na nie bynajmniéj niezważa, a najdrobniejszą naganę bierze jak najgłębiéj do serca. Osobliwie urząd ten najprzykrzejszym jest, gdy przychodzi sądzić przyjaciół, ludzi mniéj więcéj tych samych zasad i opinii. Gdy Whigowie ofiarowali O'Connellowi krzesło najwyższego sędziego w Irlandyi, odmówił je, dając za powód, że musiałby srożéj sądzić, swych rodaków niż zasługują, a to z obawy, aby go o stronność nie pomówiono. Moja stanowczość i surowość w tym razie nieprzekonała nawet przeciwników. Jeszcze

w kilka lat potem Gazeta Warszawska drukowała te wyrazy (notabene nigdyśmy nie rozbierali żadnego z dzieł Kajetana Koźmiana): „Ma „Przegląd całe szeregi autorów, którym się ni„gdy słówko nagany niedostaje. Tymi wybranymi „śród poetów są: Kajetan Koźmian, a obok niego „Jenerał Franciszek Morawski.“ —

Z taką wiernością i szczerością skreślony powyższy obrazek kłopotów recenzenta, zdał mi się w sam raz przypadać do elementów składających tę monografię, będącą niejako pamiętnikiem literackim z epoki Morawskiego. Urazy krytykowanych, niechęć przyjaciół i zwólenników krytykowanego, zła wiara dzienników, mianowicie Gazety Warszawskiéj, co nie mogąc walczyć na polu politycznem, walczyła na literackiém z polityczno-socyalną dążnością — wszystko to napawało goryczą każdego, co śmiał wystąpić przeciw nadużyciom pióra, czy to gwałcącego zasady religijne i moralne, czy sączącego jad rozkładu w społeczność, czy obrażającego smak dobry, uczucia narodowe lub język. Tymczasem bez krytyki właściwa literatura ucierpiałaby w tém bezkrólewiu, sztuka przestałaby być sztuką, a niepowściągliwa płodność zajęłaby miejsce twórczości.

Jak w wielu przypadkach, tak i w tym, dowiódł Morawski wielkiego taktu, że nie wystąpił publicznie w obronie swego poematu. Bronić siebie szczególniéj z powodu tworów poetycznych, nigdy się nie opłaci; bo jeżeli utwór ma istotną wartość i przymioty życia, to wszelkie nagany nic a nic mu nie zaszkodzą; jeżeli zaś ich nie ma — to najwymowniejsza obrona, z martwych go nie zbudzi. Tu zachodziło tylko nieporozumienie co do punktu widzenia. Recenzent chciał może, żeby artysta był mu rzucił olbrzymi karton wielkiego sejmu, konstytucyi 3 maja, wojny pod księciem Józefem, przystąpienia króla do Targowicy i sejmu grodzieńskiego, podpisującego haniebny rozbiór, a na tém tle, żeby poczciwą, szlachetną postać Dziadunia ukazał kuszoną i zdradzoną przez Mefistofela machiawelizmu pruskiego; — zapewne piękny byłby to poemat w pomyśle, chociaż najprzepyszniejszy pomysł, kiedy jeszcze nie wcielony, niewart najdrobniejszego obrazka, który już wyszedł skończony z pod pędzla artysty. Skończony, powtarzam, niedokończoność bowiem, choćby jenialnym zastąpiona szkicem, zawsze niezadowolni znawcę, mianowicie jeżeli to, coby najwięcéj zająć mogło, naznaczone jest tylko lekkiemi dotknięcia-

mi pędzla. Ma więc krytyk prawo upominać się o rozwinięcie; w niém mieści się dopiero skończoność i całość. Brak rozwinięcia w drugiéj połowie Dworca sprawia niezadowolnienie w czytelniku; poeta wziął kilka tylko akordów, któremi uczucie rozjątrzył, wzburzył; atoli całéj nie wygrał sonaty.

Poeta trzymał się więcéj opisowego, niż dramatycznego rodzaju. Chciał on, jak widać, zostawić nam fotografię owych drewnianych szlacheckich Dworców, tak jak ją znalazł w kartkach serca, młodocianém wspomnieniem odbitą. Ta opisowa część mistrzowsko zrobiona, a przytém tak pełna prawdy uprzytomniającéj, że choćby na całéj polskiéj ziemi znikły te staroświeckie dworce, Dworzec Dziadunia nieśmiertelnie stać będzie na wzgórku pośród wsi, z wielkim dachem, wązkiemi oknami, z wystawką z stuletnim rozłożystym kasztanem na dziedzińcu,

Gdzie się stary Jegomość chronił w upał letni,
Gdzie mawiał swój różaniec, dawne czasy marzył.

A i z tém co było wewnątrz: na drzwiach napisane święconą kredą „trzech królów imiona,“ przy wnijściu w drobnéj czarce woda poświęcona — wszystko to oznaczało mieszkanie pobożnego

pana, nieodrodnego od przodków. Sień ogromna, na kołkach zawieszone cietrzewie, kuropatwy, lisy, zające i wieniec żniwiarski:

Którym dziarski parobczak znojne strojąc skronie,
Zdaje się w staréj Piasta pysznić się koronie.

Za sienią izba jadalna:

Sarmackiéj gościnności państwo niezmierzone.

Z ogromnym kredensem, istnym drewnianym gmachem lśniącym puharami, z ogromniejszym piecem, który był meblem niepospolitego znaczenia i także mającym swoją historyę:

Istny olbrzym Babelu, co na podpał mały
Paszczą swoją połykał drzewa sążeń cały,
I w którym, jak to dawne powiadały dzieje,
Potrzykroć się przed laty zakradli złodzieje;
Stykał się z nim, rozległéj równie jak on miary,
Komin, krewniak, towarzysz i przyjaciel stary;
Gorząc wzajem tak w dziennéj, jak i w nocnéj dobie,
Ciągłym żarem afektu dogrzewali sobie.
Jak ów potwór, co całą zalega jaskinię,
Tak potężny pień dębu jeżył się w kominie;
Stróż nań ciągle szczyp smolnych całe kopy walił,
Huczał ogień i Dziaduś przy nim turka palił...

Na środku izby stół dębowy; ileż to przy nim odbyło się kompromisów sąsiedzkich, ile przedsejmikowych narad! a jakich biesiad był świadkiem!

Na ścianach portrety antenatów — illustracya historyi domu:

Jeden w lśniącym kirysie i z podpartym bokiem
Wygolony rudowąs groźnym ciskał wzrokiem,
Drugi z brodą kępiastą i czubem na głowie
Zdał się stare ojczyzny wyobrażać zdrowie...

Dziadunio w samotnych chwilach rozmawiał z nimi i nieraz gorzką łzą spłynęło oko... Ależ wszystkie te sprzęty, tak niepodobne do dzisiejszych —

Gasił potwór, przez cały pułap przeciągnięty,
Odwiecznych może borów piérwsza rodzicielka,
Niezmierzonego dębu jednorodna belka,
Potężna córa puszczy, król piastowych lasów,
Łom arki, co przepłynął cały potop czasów.
Zdało się, że nieludzkie go tam ręce wzbiły,
Że trza było téj strasznéj, téj wszechmocnéj siły,
Która światy przerzuca i hamuje burze,
Aby wznieść taki ogrom i utwierdzić w górze.
Belka ta liczne włości przeżywszy dziedzice,
Miała jednę z kart ważnych w domowéj kronice,
Na jéj boku wyryty rok stawiania dworu,
Był rokiem straszliwego w ojczyznie pomoru;
A kiedy piérwszy Moskal wszedł w Dziadka podwoje,
Z strasznym hukła łoskotem, i pękła na dwoje.
Pod nią chłystki szlacheckie na kobiercach bito,
Pod nią duch się pokazał i Szweda zabito.
Nigdy téż dobry Dziaduś, znany z ostrożności,

Ni sam pod nią siadywał, ni umieszczał gości;
O szeląg on się nawet pod nią nie założył,
Na niczém nie podpisał, listu nie otworzył,
Zważał nawet, że gdy kto klął się na Szatana,
Zachłysnął przy kielichu, ograł w kasztelana,
Lub się wyrwał niebacznie i głupstwo powiedział,
Zawsze się pokazało, że pod belką siedział.

Dziwnie szczęśliwie schwycił poeta ten przesąd o belce jaki się zamienił dziś w przysłowie utrzymujące się dłużéj niż belki, które ustąpiły miejsca sufitom. To wszystko, co włożyła w nią jego poetyczna fantazya, zrobiło ją rówieniczką owego sławnego „serwisu“ Mićkiewicza, i „dęba gaduły“ Goszczyńskiego; a jeżeli jeszcze dalszéj poszukamy parenteli, pokaże się że idzie w prostéj linii od owéj achillesowéj tarczy, którą Homer przyozdobił w takie cudowne bareliefy. Szkoda tylko że gruby tram nie bywał u nas okryty rzeźbą, za to prosta jego powierzchowność miała tajemnicze przymioty, jakich nie miała nawet tarcza Achillesa. Z tego porównania możnaby wysnuć całego ducha naszéj rodzinnéj poezyi; ubóstwo zewnętrznych form, piękność plastyczna nie wytrzymująca porównania z cudami Grecyi i Włoch — za to nieprzebrana kopalnia wewnę-

trznych skarbów; — wszystko tu, choćby martwy kamień, żyje sercem człowieka...

Lecz wróćmy do Dziadunia. Poznaliśmy Dworzec, poznajmyż gospodarza.

Dziadunio gościnny i zażyły z okolicznem sąsiedztwem, nagle zamknął dom swój, i w samotności zaczął gromadzić grosiwo. Wprawdzie na starość, kiedy się inne miłości wyczerpią, przychodzi miłość pieniędzy, lecz tu był inny przypadek: Dziadunio zbierał, żeby wyposażyć Ewunię, córkę nieboszczki Chorążyny w któréj się kochał za młodu, nim wyszła za Chorążego. Poeta opisuje te dawne amory, nadając im cechę głębokiego przywiązania, które nie kończyło się z życiem. Otóż Dziadunio afekt swój dla matki, przeniósł na jéj córkę; a że Ewunia miała oddać rękę jakiemuś zacnemu młodzianowi, a zatém Dziadunio umyślił dla państwa młodych w dworcu swoim wyprawić sute wesele. Następuje narada o przygotowaniach do festynu z klucznicą, i Podstarościm. Obie te figury wybornie scharakteryzowane. Któż nie pozna klucznicy z tych dwóch wierszy?

Lata, łaje i gdyra po każdéj ustroni,
Jak domowy grzechotnik pękiem kluczów dzwoni.

Któż powie, że to nie z natury zdjęty konterfekt Podstarościego dawnych czasów?

Wchodzi w ręku z batogiem, kurtą na żupanie,
Pas z klamrą, wąs sumiasty, już siwy w połowie,
I czerep na golonéj bielący się głowie.
Sześćdziesiąta już wieku przyciska go zima,
Lecz służył w rajtaryi, i prosto się trzyma,
Ztąd to przy gęstéj minie i wojackiéj dumie
I słuchać i wypełniać i rozkazać umie...
..Drwi z książki, drwi z niemczyzny, na nowość się jeży,
I jak w duszne zbawienie, tak w kalendarz wierzy;
Nabożny, zna kantyczki, wie co wąż i Ewa,
Suszy piątki, na summach z organistą śpiéwa;
A gdy ksiądz na spowiedzi burę mu wypali,
Słychać w całym kościele, jak łbem w ziemię wali.

Z równie szczęśliwym humorem oddany wizerunek pani Regentowéj, sąsiadki i krewnéj, któréj Dziadunio nie chce zapraszać na wesele Ewuni, bo to

....jakieś *quamquam*, baba samiec, jędza,
Niedość że w rok po trzykroć swą czeladź rozpędza;
Jeszcze w wiecznéj z proboszczem i dworami zwadzie,
Wciąż się wdziera w granice, a wciąż pozwy kładzie;
Jak od dżumy, tak od niéj palestra ucieka,
I z tąd sama po sądach, trybunałach szczeka...

Charakterystyka staroświeckich oryginałów najsilniejszą jest stroną w tym poemacie. Pióro

poety zamienia się w pędzel godny Rembrandta lub Hogarta; każdy tu rys nosi cechę podobieństwa i prawdy historycznéj; nigdzie nie ma przesady wpadającéj w karykaturę — stąd postacie te zawsze pozostaną przy życiu, choć dawno ustąpiły z rzeczywistości. Jak w średniowiecznym manuskrypcie ozdobionym miniaturami przez jakiego sławnego illuminatora, odkrywa ci się fizyonomia wieku i społeczeńskich typów, z którymi zabierasz taką znajomość, jakiéj nigdy nie nabyłbyś przez najszczegółowsze opisy — tak samo w trzech powyższych miniaturach tego poematu poeta unieśmiertelnił towarzyskie typy konającéj Polski.

Lecz wróćmy do toku powieści.

Dziadunio jedzie na imieniny Chorążego, któremu Paweł, a że on nosi imię Piotra, a więc podwójna solenizacya przypada na ten dzień; całe więc okoliczne obywatelstwo zwali się tu na festyn.

Opis karocy, w któréj dziadunio odprawia kilkomilową drogę, jest także miniaturą godną zachowania.

Nieco mniejszy od dworca, gmach ów znamienity,
Zewnątrz niegdyś szkarłatny, a wewnątrz wybity

Felpą żółto-gorącą, z mnóstwem taśm, kutasów,
Wznosi się w staréj pysze Batorowych czasów;
Gęsto się w gwóźdź mosiężny brzegi pudła stroją,
Groźne Gryfy na straży drzwiczek z kordem stoją,
A na tryumf téj wzniosłéj i dziwnéj struktury,
Sześć sfinksów wyzłacanych świeci się u góry.

Antykiem tym, tą ruchomą basztą wjeżdża dziadunio na dziedziniec dworu Chorążego, i wysypało się co żyło, na jego powitanie,

Ciśnie się całowany w ramię, ręce, wąsy,
Pcha przez tłum mężczyzn, kobiet i wsród dzieci mrowia,
Jeszcze progu nie przeszedł, już wypił trzy zdrowia...

Dziaduś staje od razu do poloneza z Podstoliną:

Rżnie od ucha nadworna Starosty muzyka;
Dziaduś w kord swój uderzy, pomuśnię wąsika,
Uśmiechnie się, dłoń poda, i z marsowym wzrokiem
Na czele par trzydziestu wolnym stąpa krokiem;
To zawraca, to kołem, to wężykiem krąży,
Gdy już w trzecim nawrocie wstrzyma go Chorąży;
Wiwat pan Piotr! zakrzyknie, wznosząc flachę sporą,
Damy solo puszczone nowych mężczyzn biorą:
Dwaj zaś starcy klęknąwszy dawnym obyczajem,
Piją swe zdrowia, płaczą, ściskają się wzajem,
A za każdym uściskiem zacnéj starców pary,
Z blizkiego wirydarza huczy moździerz stary.

Ewunia to widzi i odwodzi dziadka do pobocznéj komnaty, gdzie czeka na niego zastawiony

obiad, — goście bowiem dawno już po obiedzie. Posiliwszy się i nasłuchawszy kłamstw pułkownika, który tak samo jak on późno przyjechał, wraca do sali tańców i usiadłszy w kąciku

Na każdy ruch Ewusi tkliwém strzela oczkiem;
Nie może się jéj wszystkim wydziwić ponętom,
Nasłuchać się jéj głosu, napatrzéć oczętom.
Śliczna jakby obrazek, jak aniołek słodka,
Perła, kwiatek, brylancik, przylepka, pieszczotka,
Cóż dopiero, gdy nieco poprawi kołpaczka,
I stanie do mazura i upiecze raczka,
Utnie korkiem hołubca i koło zatoczy, —
Wówczas ledwie z starego dusza nie wyskoczy;
Tupa, klaszcze, podryga i chustką wywija,
I zdejmuje trzewiczek i duszkiem wypija.

Prześliczny to obrazek tego starca upajającego się widokiem tańczącéj dziéweczki; odmłodniał, i zdaje mu się że go młoda krew tak jak ją unosi.

Kiedy wesoła kompania w najlepsze hula, na dworze zrywa się okropna burza. Wicher wali drzewa, pioruny biją po piorunach, wszyscy padają na ziemię i wznoszą błagalne ręce do nieba.

Ale to nic, — sroższa burza nadchodzi — burza rozmiatająca ojczyznę, burza polityczna!

Posłaniec jakiś wpada na dziedziniec, szuka okiem dziadunia i oddaje mu list. Dziaduś otworzył, przeczytał —

i upadł jak długi.
Rwą ów papier — czytają — Polski rozbiór drugi.

Wprowadzenie owéj burzy z błyskawicami i piorunami, użycie tego tak już zużytego efektu, aby przejść do katastrofy, zwiastującéj upadek narodu, — nie może się nazwać szczęśliwym pomysłem. Poeta trzymał się tu rutyny swoich warszawskich kolegów, którzy nader mało mieli daru wynalazczego. Tego posłańca złéj wieści można było z mniejszym łoskotem wprowadzić, a wrażenie na czytelniku spotęgowałoby się o tyle, o ile przeniosło się na burzę poprzedzającą odebranie listu.

Dość ogólnemi rysami, szaro, bez kolorytu, maluje poeta wrażenie sprawione listem na bawiącéj się szlachcie. Tak samo możnaby odmalować ból Francuzów na wiadomość o straceniu Ludwika XVIgo, Greków na wieść o zdobyciu Missolonghi:

Ten głową tłucze ściany, — ten ryknął z boleści,
Wrząca krew mu ustami lunęła potokiem,
Tu dwóch starców z zdziczałym porywa się wzrokiem,
Stargane się ich myśli zmieszały z rozpaczą,
Drobne nawet dzieciny jak bobrzęta płaczą.

Poeta poświęcił element epiczny opisowości, i dla tego coraz bardziéj słabnie.

Dziaduś widząc innych upadających pod brzemieniem nieszczęścia, zrywa się i powiada że trzeba stratę odrobić.

..... trzeba w pocie czoła;
Tym potem jest krew nasza, — pracą Sybir, boje ....
..... Dziś tłoczący duszę
Zrzucam ten kamień grzechu, jarzmo włościan kruszę:
Rozjaśnią się niebiosa wolnych dusz widokiem .....

Piękne słowa, gdyby były w ustach i chęciach całego narodu; dziaduś reprezentował siebie, i nie wielu sobie podobnych.

Lecz cóż będzie z weselem Ewuni? Smutne to gody w publiczném nieszczęściu.

Ewunia szczytna Polka nie chce słyszeć o weselu, odkłada je na szczęśliwszą porę.

Źle jest mieszać i żenić z wesołością płacze;
Pluje na grób ojczyzny kto w jéj smutku skacze.

Dwa te wiersze powinnyby zamienić się w przysłowie. Pisząc, je odezwało się zapewne w Morawskim przypomnienie tych bachanaliów, jakie Kraków wyprawiał w r. 1813, kiedy rząd i wojsko Księztwa Warszawskiego schroniło się tamże przed Moskalami i było w przededniu wyemigrowania z ojczyzny. Kajetan Koźmian i on skarcili

wówszas biczem satyry tę nieszczęsną wesołość, podobnie jak w ośmnaście lat później skarcił ktoś rymem Tańczące Polki w Warszawie.

Rozjechała się szlachta z imienin, i niebawem żarzyć się zaczął jakiś tajemniczy ogień po kraju. Po dworach ruch niezwykły, zjazdy i zmowy, nocami broń przewożą; w kuźniach kują młoty, młodzież ujeżdża konie — i jacyś nieznani wąsale kręcą się po drogach. Między gminem nawet krążą jakieś wieszczby o trzech miesiącach, o krwawych słupach widzianych na niebie, o płaczącym cudownym obrazie. Cały ten ustęp o przepowiedniach zwiastujących wojnę wyborny; lubo podobna scena w Goszczyńskiego Zamku Kaniowskim, w któréj poeta wystawił żydów modlących się w bóżnicy, ma nie tylko wyższość jako bardzo oryginalne, pełne zgrozy malowidło, ale jeszcze wiąże się z przedmiotem tak ściśle, że kiedy ją pisał, pewnie nie pomyślał sobie: trzebaby koniecznie wsadzić ustęp o wróżbach hajdamackiéj rzezi. Najcenniejsze są te piękności, które same wysnuwają się z naturalnego toku przedmiotu: klasycy zaś miewali zazwyczaj z góry obmyślane ustępy, i tak: tu trzeba wsadzić burzę, tu pożar, tu sen, tu pieczarę, w któréj schodzą się kochankowie;

bo wszystko dawno obrobione, dawało gotowe patrony ..... Morawski w takich ustępach zatrzymał tylko intencyę, rysunek zaś i farby, są już jego niezaprzeczoną własnością.

Cóż robi Dziaduś? Dziaduś starym obyczajem wolnego obywatela Rzeczypospolitéj siedzi po nocach

I układa manifest, znów drze, maże, pisze,
Z praw go świętych, praw ludzkich, bozkich wyprowadza,
Gromi, — żółcią doprawia, łaciną dosadza .....

Ileż to historycznéj prawdy w tym jednym szczególe! Manifesta najgęściéj powtarzały się podczas Barskiéj konfederacyi, kiedy Moskwa napadała i łupiła dwory, bezcześciła kościoły. W Bieczu wpadli Moskale do miasta, złupili i sprofanowali kolegiatę, wyrzucając na ziemię komunikanty, i popełniając najokropniejsze ekscesa rabunku i gwałtu, — zdawałoby się, że to powinno było poruszyć krew w starcu i w dziecku, a cóż dopiero w zdrowych i składnych do konia i oręża mężach — gdzie tam! Napisali manifest i oblatowali go w grodzie, spodziewając się zapewne, że Pan Bóg ujmie się ich krzywdy, i zeszle im w pomoc legiony aniołów z ognistemi mieczami ..... A jednak nie była to nieczułość na los Rzeczypospolitéj, raczéj nazwałbym to wiarą w moc prawa, w nietykalność szlach-

cica. Przywykli za poniesione krzywdy od swoich, wydawać manifesty i pozwy, mniemali że i na moskiewskie gwałty wystarczy trybunał lubelski. Sprawiedliwość trybunałów naszych nie musiała być tak wątłą, kiedy się na nią powoływano w przypadkach nie mogących nawet znaleźć zastosowania. Składać winę na znikczemnienie rycerskiego stanu, nie zdaje mi się dość słusznem, tém więcéj, że w owéj epoce miękkość i zbytki nie zawitały jeszcze do dworców szlacheckich. Wiara w wymiar sprawiedliwości pisała te manifesta, tam, gdzie je pisać należało ostrzem żelaza w krwi najeźdźcy maczaném. *Aide - toi, Dieu t'aidera,* to dopiero naszéj epoki godło.

Gdy tedy Dziaduś pisał manifest, — jakiś Derdydas, szubrawiec z orłem, stawa przed nim i rzuca mu papier. Był to patent czyli uniwersał króla pruskiego, nakazujący składać homagialną przysięgę. Dziaduś oburzył się, porwał gwintówkę; Prusak czmychnął krzycząc: bunt! bunt! Niebawem nadjechali siepacze, okuli starca i wtrącili do więzienia.

A więc się znalazł ktoś z Wielkopolan, co z poświęceniem swojéj osoby zaprotestował przeciw zaborowi? Historya inaczéj mówi; a lubo

historykiem tym jest ironiczny i żółciowy Kitowicz, jednakowoż, jeżeli wyjątkiem z ogółu był Dziaduś poetyczny, nie można historyka winić, że go na liście wyjątków nie zacytował.

Domyślam się, że Morawski czytał w Kitowiczu ów ustęp opowiadający co się działo w Wielkopolskich województwach przy drugim rozbiorze, który tak brzmi:

„Z uniwersałami czyli patentami rozesłani po „powiatach komisarze pruscy, dwaj do każdego „powiatu, których odwoziły z miejsca na miejsce „konie chłopskie albo dworskie, do ich kolasek „i pół-karet zaprzężone .....

„Komisarze ci przybywszy do dworu, lub do „księdza, najprzód odezwali się do gospodarza nie„mieckim językiem; a jeżeli im nie odpowiadał „tym samym, jeden z nich dobrany w każdéj parze „z umiejętnością języka polskiego, dosyć że do „zrozumienia, zaczął opowiadać poselstwo swoje, „jako przybył z oznajmieniem, iż ten kraj odtąd „należeć będzie pod panowanie króla pruskiego pod „imieniem Prus Południowych. Po tym krótkim „komplemencie, oddał cztéry egzemplarze paten„tów panu miejsca, drugie cztéry księdzu, aby „były w kościele publikowane i na drzwiach ko-

„ścielnych zawieszone; trzecie cztéry przez sługę „swego posłali komisarze do karczmy, aby tam „u belki lub na ścianie zawieszone były. W mia„stach zaś i miasteczkach oddawali takie egzem„plarze burmistrzom, a drugie do kościoła, trzecie „przybijali do drzwi ratusznych; w każdém także „mieście na bramach, a gdzie tych niemasz, na „słupie w środku rynku wkopanym, przybijali orła „czarnego na blasze wymalowanego, i na to ze„wsząd brali rewersa. Gdzie ich przyjęto z ludz„kością, wziąwszy posiłek w trunku lub potra„wach skromnie, podziękowawszy grzecznie za „ochotę, niebawiąc daléj pospieszali, tylko do tych „wsiów zajeżdżając, w których były kościoły pa„rochialne, gdzie albo we dworze, albo u księdza „w plebanii tyle zostawiali egzemplarzy pomienio„nych patentów, ile było w téj parochii szlache„ckich dworów, a których każdy dwór z osobna „był obowiązany komisarzom do stacyi opowie„dzianéj, do któréj się przenieśli, przysłać rewers, „jako patent odebrał.

„Nie było ani jednego w całym kra„ju, któryby albo patentów nie przyjął, albo re„wersu nie przysłał; taką we wszystkich obywa-

„telach polskich król imci pruski znalazł podle-„głość i posłuszeństwo. *) “

„Nie było ani jednego w całym kraju któryby albo patentów nie przyjął, albo rewersu nie przysłał“ — wyrazy tak kategorycznie brzmiące, musiały przykro dotknąć poetę, gdy je czytał. Rehabilitował więc swoją prowincyę w szlachetném oburzeniu się Dziadusia — i rzeczywiście nie była to fikcya; na dnie każdego serca leżało to oburzenie się, które niebawem na jaw wyszło podczas powstania Kościuszki, gdy Dąbrowski wszedłszy z niewielką siłą do Wielkopolski, znalazł umysły przygotowane do chwycenia za broń. Dywersya sprawiona na tyłach armii pruskiéj, zmusiła króla Wilhelma, oblegającego Warszawę, do odstąpienia i nie mieszania się już do téj wojny. Owéj zaś obojętności, z jaką Wielkopolanie przyjmowali pruskie rządy za drugiego zaboru, nie inna przyczyna, tylko pewne znużenie się wstrząśnieniami politycznemi; niedawno przeważnie rządziło stronnictwo konstytucyjne; przychodzi reakcya targowicka i wywracając dzieło cztéroletniego sejmu, ciężko daje się we znaki obywatelstwu, — ztąd

*) Pamiętniki księdza Jęd. Kitowicza, T. III. r. 1845.

przejście z anarchizmu i samowoli Targowiczan pod rząd regularny, choć obcy i wstrętny, wydawało się pożądaną ulgą w zwykłym trybie życia. Tyrania fakcyi stokroć była przykrzejszą i cięższą, niż obca regularna władza, mająca rzeczywistą siłę. Wreszcie nowi panowie bardzo delikatnie i grzecznie brali się do dzieła; wystudyowali dobrze wszystkie słabości nasze i umieli zręcznie je wyzyskiwać, jak owemi bankietami homagialnemi w pojezuickiém kolegium w Poznaniu, gdzie hojnie częstowano napitkiem i jadłem, aż nieznacznie z Polaka każdy się, mówiąc słowami Trembeckiego: „w Południowca przemienił.“ Smutne te rysy historyi zatarła poezya. Tu odsłania się wielkie jéj posłannictwo: podnosić, uszlachetniać, wiązać wielką myślą, tworzyć idealną Ojczyznę, jakby miasto niebieskie, unoszące się w obłokach nad padołami ludzkich nędz, niedostatków, upadków i słabości.

Dziaduś wtrącony do turmy pokutuje, że chciał zostać Polakiem a nie Południowcem. Tymczasem wybija godzina powstania Kościuszki, zaczynająca się tryumfem Racławic, a kończąca się katastrofą Maciejowic i Pragi. Poeta poświęca kilka wzniosłych ustępów téj rozpaczliwéj walce, która

położyła kamień grobowy bez napisu, kto pod nim spoczywa.

Dziaduś w więzieniu słyszy huk dział — domyśla, się że naród walczy o swoje prawa, — ale nikt nie przychodzi odemknąć więzienia, nikt rozkuć jego więzów! Raz tylko dochodzi go pod oknem wdzięczny śpiéw niewieści; piosenka polska napawa go nadzieją, — gdy wtém strzelił szyldwach — pieśń się urwała i znowu cicho jak dawniéj.

Nareszcie pewnego dnia wchodzi dozorca i mówi: Wolnyś!

— Ktoś ty jest? pyta Dziaduś.

— Polak, a od trzech dni dozorca więzienia — odpowiada zapytany.

— Cóż cię zmusiło do tak podłéj służby?

— Głód dzieci; żonę zamordowano mi na Pradze, a po wojnie dano mi sprosny urząd.

— A więc była wojna? A więc odzyskaliśmy Litwę i Koronę? Wszystko odbite?

— Stracone!

Dziadunio usłyszawszy to okropne słowo

Ryknął z żalu, — przyklęknął, — wzniósł oczy ku Bogu,
Krew buchła, — serce pękło — i skonał na progu.

Któż śpiéwał tę pieśń przerwaną strzałem?

Spiéwała ją Ewunia; lecz ugodzona kulą, połączyła się w niebie z starcem męczennikiem.....

Cała ta część wymagała większego rozwinięcia i dramatycznosci. Poeta poprzestał na samém szkicowaniu. Pobyt starca w więzieniu mógł był dziwnie udramatyzować, przypuszczając do jego kaźni odgłosy ze świata, które na rozdrażniony cierpieniem, a samotnością do wielkiéj czułości doprowadzony system nerwowy, działają jak odurzające opium. Najmniejszy jakiś znak, dźwięk przyniesiony powietrzem, przeczuciowy niepokój, senne marzenie, wyraz twarzy dozorcy, zgoła wszystko, dla zwykłego obserwatora często obojętne, dla więźnia staje się znaczącą wskazówką, na któréj skombinowanie i wytłómaczenie wysila się jego wyobraźnia..... Ci co prześli przez katusze więzień, mogą coś powiedzieć o téj męczącéj fantasmagoryi. Poeta ledwie po wierzchu dotknął jéj, gdy Dziadusiowi pozwolił usłyszeć daleki huk armat, i na tém poprzestał, pomijając tyle innych perypecyi, przez jakie więzień przechodzi w chwili tak płodnéj, w szał radości jednych, przestrach i pomieszanie drugich, jak powstanie narodu. Nie więcéj rozwinął tę sytuacyę, wprowadzając śpiéw Ewuni pod oknem: który ma

coś balladycznego, jak śpiéw trubadura Blondela pod więzieniem Ryszarda „Lwie Serce“, a śmierć jéj od kuli szyldwacha, tak coś romansowego, jak śmierć któréj heroiny Byrona. Wolałbym widzieć Ewunię w roli naszych matek i sióstr, wydeptujących wschody satrapów, znoszących upokorzenia i naigrawania się, niewyczerpanych w sposoby porozumiewania się z więźniem, ulżenia jego niedoli, a nawet wydobycia go z katowskich szponów. Strzał szyldwacha — nic nie mówi; murzyn spełnił swoją powinność i nic więcéj.

Epilogiem do tego posępnego obrazu, kréślącego dzieje męczennika patryotyzmu, jest kilka ostatnich ustępów, poświęconych wspomnieniom epoki utworzenia Księstwa Warszawskiego. W tym dworze, gdzie niegdyś takie życie wrzało, a gdzie teraz osiadła cisza grobowa z jednym sługą dawnych panów, włóczącym się jak pokutująca dusza po zarosłych chwastami ścieżkach i kątach, pajęczyną zasnutych, — w tym dworze zjawia się po wielu latach młodzian. Któż on jest? Nie tenże to

co w dziecinnych latach
Igrał tutaj po cichych Dziadunia komnatach,
I marząc, że z swym wrogiem stacza bitwę wielką,
Z drewnianego konika wywijał szabelką.

To ten sam. Patrz jak ściska starego sługę, jak wypytuje o wszystko, a o sobie też rozpowiada, że służył pod Dąbrowskim w legionach, a teraz przybywa z wojskami cesarza Napoleona, który przychodzi Polskę wskrzeszać:

Za Polskę teraz bój stoczemy,
Bo jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy!

Młodzian ten, tułacz po obcych ziemiach, zjawia się jak Orest - mściciel. Potrzebnym był ten epilog. Dusza czytelnika rozdarta niesprawiedliwością losu, jaki spotkał cnotliwego starca, czuje się, jakby przygniecioną widokiem tryumfującéj zbrodni. Owa więc Nemezis historyczna ratuje od zwątpienia, ukrzepia wiarę w Opatrzność, która jeżeli dopuszcza ciężkie kary na naród, to i narzędzia tych kar, kiedy przekroczą granicę sprawiedliwości, upokarza i kruszy .....

Jeżeli opisowa część tego poematu pod każdym względem należy do klasycznych pereł polskiéj poezyi, to druga, lubo bogata w piękne wiersze i myśli, grzeszy deklamacyjnym liryzmem; ztąd podlega niedostatkom, które wyżéj wytknąłem.

Pewny jestem, że sam Morawski czuł czego niedostawało jego poematowi. Obdarzony trafnym sądem, niechybnie widział brak rozwinięcia epicz-

nego i dramatycznego. W młodszych latach byłby zapewne całą drugą część przekréślił i napisał nową; w późniejszym wieku już mu się nie chciało wracać do téj pracy; a może téż uwaga ta przyszła mu za późno, kiedy poemat był już wydrukowany. W liście do Kajetana Koźmiana tak o tém pisze:

„Nie kontent jestem ze Dworca, choć się „powszechnie podobał; a poprawiać się nie chce. „Wreszcie wygodniejsi sędziowie Wielkopolscy niż „Lubelscy. Tamtym trzeba coś smakowitszego za„stawić; tutejsi i biédotą się kontentują, jako do „wasser - zupek przywykli. "

Dworzec mego Dziadka z zapałem był wszędzie przyjęty. Wielkopolska wiele ma do zawdzięczenia mu; on piérwszy, jeżeli nie ozłocił słońcem, jeżeli nie ubrał wonnemi mgłami poezyi jéj monotonnych płaszczyzn, — to u domowych ognisk zaklął opiekuńczego ducha, który podobnie jak duch Dziadka „staje w progu cały w śnieżnéj bieli" i wpatruje się w tę lub ową stronę nieba łyskającego nadzieją.....

XVI.

Niespełna w dwa lata po wydrukowaniu Dworca mego Dziadka, wydał Morawski swoim nakładem: Pięć poematów lorda Byrona *). Żeby się nie spotkać zapewne z innymi tłumaczami, którzy dokonali przekładów Giaura, Korsarza, Dziewicy z Abydos, wybrał Manfreda, Mazepę, Oblężenie Koryntu, Paryzynę, Więźnia Czyllonu.

Od dawna już, jak to sobie z jego listów przypominamy, ubóstwiał on albiońskiego wieszcza. Śmierć jego podana w ofierze powstającéj Grecyi, zrobiła na nim w swoim czasie mocne wrażenie, tak że nawet na pamiątkę tego zgonu zasadził kilka drzewek w Piotrowicach, i zawsze wywiadywał się, czy się przyjęły, czy pięknie rosną? Atoli cicha ta cześć nie wystarczyła jego admiracyi; sądził więc, że kiedy ogół poezyi naszéj ozdobi kilkoma poematami swego ulubieńca, wywdzięczy się cieniom wieszcza za doznane rozkosze w obcowaniu z jego utworami. Nastawał na niego Koźmian, żeby pisał oryginalnie, a w tłómaczenia się nie wdawał; lecz on został przy swoim zamiarze

*) W Lesznie, drukiem Ernesta Günthera, 1853 r.

i usprawiedliwiał go tém, że przez spolszczenie poematów Byrona, więcéj poetycznego żywiołu spłynie w nas, niż z tylu miernych wierszydeł kleconych na tle niby narodowém. Nie mylił się w tém. Poznanie znamienitych wzorów kształci publiczność i robi ją wybredniejszą, że nie poprzestaje na lada niedowarzonym kąsku.

Podobnoś jeszcze w Stydyniach na Wołyniu, gdzie się śmiertelnie nudził, z pamięci, o ile ta była mu wierną, zaczął przekładać Paryzynę; następnie w Luboni, w długich zimowych wieczorach poświęcał téj pracy odpoczynek po dziennych trudach gospodarczych; i tak powstało Pięć poematów.

Niemcy, Francuzi, mają po kilka tłómaczeń zupełnych dzieł Byrona. U nas tłómaczono tylko poemata i to nie wszystkie; o lirykach i trajedyach ani słychu. Za to kiedy Niemcy i Francuzi dają wyrób tandetny, nasze przekłady odznaczają się taką doskonałością, że mogłyby wejść w poczet oryginalnéj literatury. Giaur Mickiewicza stoi na czele, potém idą przekłady Morawskiego, Wiktora Baworowskiego Don Juan, Odyńca Korsarz. Z tych tłómaczeń możnaby zrobić wybór, dopełnić i dać Byrona w komplecie.

Nie zdarzyło mi się w licznéj korespondencyi, służącéj za materyał do niniejszéj monografii, trafić na ustęp, gdzieby Morawski dawał zimny sąd swój o Byronie. Uważałem tylko, że angielski poeta zachwycał go, i unosił w szczytne sfery swojéj fantazyi; czy go w nich trzymał do końca? Niewiem. Nic dziwnego; bo któż nie uległ téj jego przemocy? Kogo on raz pochwycił za wszystkie włókna czucia i wyobraźni, czyż nie targał niemi dopóty, aż pękły w niemocy, albo wyjęczały wszystkie tony złożone w sercu człowieka? — Usunąwszy się z zaczarowanego koła byrońskiéj poezyi, można zdać sobie sprawę z natury tych wrażeń, i zapytać siebie samego, dla czego tak jak po przepiciu się na nocnéj hulance, tak po czytaniu Byrona, czujesz nazajutrz w sobie wielką czczość i smutek. Właśnie téż dwa te symptomata: czczości i smutku, zostają ci po fałszywych rozkoszach, po téj rozpuście poezyi, po tém pijaństwie wyobraźni, po tych konwulsyach i spazmach sercowych.

Trafnie Lamartine powiedział, że poezyom Byrona niedostaje trzech rzeczy: rozumu, cnoty i Boga, a zatém trzech najważniejszych rozkoszy duchowych.

Wyobraźnia u niego wytężona do ostatnich granic, szaleje jak u Russa; czułość ma w nim ostatni swój wyraz, ale to czułość chorobliwa, skłonna do samobójstwa jak u Werthera; cóż że wnika we wszystkie tajemnice nędz ludzkich, prawie jak Job biblijny — kiedy aż do bluźnierstwa posuwa to swoje współczucie dla nędz i nieszczęścia, i zamiast człowieka podnieść do Boga, téj bezdni nadziei, ona go wtrąca w nicość, w bezdeń rozpaczy, i cierpiącéj ludzkości rzuca na pożegnanie śmiech szatański, zamiast łez miłości, gojących rany.

Są niektórzy co w tych bluźnierstwach, ironiach, szałach wyuzdanych, widzą znamiona wyższego ducha, śmiały i odważny pozew, rzucony w oczy losowi i Bogu. Właściwie jest to tylko rękawica rzucona rozumowi. Zdrowego sądu brakuje całéj téj szkole, nazwanéj w prostéj linii od niego szkołą sataniczną. Bluźnierstwo nie jest odwagą; więcéj ma odwagi kto umie cierpieć. Cóż łatwiejszego jak krzyczeć lub śmiać się udanym śmiechem w męczarniach zagadkowego bytu? a cóż szczytniejszego jak los wydzielony na ziemi przyjmować z pokorą, i błogosławić mu, mimo poszeptów zwątpienia, mimo wzdrygającéj się na-

tury, mimo rozpaczy szukającéj odwetu w bluźnierstwie?

Co nie jest najwyższym rozumem, nie może być najwyższą poezyą.

Ten świat nie jest paradoksem Twórcy, lecz prawdą.

Toż i paradoksalny poeta mimo całéj potęgi wyobraźni i czucia, nie jest jeszcze prawdziwym poetą. Lot jego zwichniony; zamiast wzbijać się do słońca, pędzi w przepaść, i obłąkuje w mrokach zwątpienia i rozpaczy, tych, co mu się porwać dali.

Czegóż mu brakowało, żeby był największym jeniuszem w dzisiejszości? Oto harmonii darów poetycznych. Ma on wyobraźnię, twórczość, czułość, wewnętrzną tęsknotę nigdy niezaspokojoną, ma wszystko, lecz w nierównym stosunku do innych przymiotów, tworzących tak wielkiego człowieka, jak wielkiego poetę.

Rozsądku i moralnych podstaw brakuje jego jeniuszowi, będącemu raczéj jeniuszem sofizmatu, niż prawdy. Nie można téż inaczéj zdefiniować go, tylko że to był największy sofista poezyi, grający na najszérszéj skali paradoksów.

Dla czegóż wiek nasz podniósł go tak wy-

soko? Czy, że widział w Byronie uosobienie i popisywanie się niektóremi wadami, będącemi własnością wieku? Zdaje się że tak jest.

Ów wyraz cierpienia śród wesołéj zabawy; owa czynów szlachetność z któréj się potém szydzi; owa mania gadania o wolności przy despotycznych zachciankach; stawianie wyjątku w miejsce reguły; malowanie występku uroczemi barwami; pociąg do gwałtownych sytuacyji; heroizm rozbójników i złodziei; człowiek w zapasach nie z olbrzymami, lecz z losem, z własną namiętnością zbuntowaną przeciw powinności — oto ujemne strony naszego wieku uosobione w Byronie. Niemogąc cierpieć zimnego i sztywnego kalwinizmu, rzucił się w niewiarę gorszą niż pogańska. Z nieporównanym talentem, z nieograniczoną pychą smagał arystokracyę purytańską i mieszczaństwo angielskie za ich hipokryzyę; a jednocześnie drwił z liberałów, opluwając i depcąc wszystkie zasady. Muzą jego była wzgarda. Dla tego téż we wszystkich jego kreacyach nikogo nie studyował, tylko siebie. Korsarz, Lara, Manfred, Giaur, Don Juan, to zawsze Byron, tylko raz w tym, raz w innym kostiumie, stosownie do tego, jakim się widział, lub czuł w danéj chwili.

Targany pychą upadłego anioła, poprzysięgający zemstę społeczeństwu, które mu nie biło czołem i odepchnęło od siebie, miotany niepokojem że nie miał pola dla swéj działalności, szukał miłości w wyuzdanéj rozpuście, chwały w sprzeczności z przyjętemi wyobrażeniami, czasami napadał go heroizm wolności i praktykował go w awanturniczych wybrykach pod despotyzmem tureckim, zamiast go szukać w silnéj konstytucyi angielskiéj.

Takim był Byron w życiu i pismach.

Jak życie, tak pisma, nie pozostały bez ogromnego wpływu na naszą epokę. Świat rozruszany wojnami napoleońskiemi, marzył za jego przykładem, o dalekich awanturach między ludnością półdziką, o rozbójnikach, korsarzach, o wykwintnych występkach, o przesyconych rozpustnikach, i zaczął zżymać się na ustrój i węzły społeczeńskie, jakoby te przeszkadzały ruchliwości materyalnéj. Jak każdy naśladowca wielkiego wzoru przyswaja sobie tylko najpośledniejszą jego stronę, tak stało się modą udawać znudzonego zwykłym biegiem codziennego życia, wmawiać w siebie pogardliwą wyższość i to wtedy, gdy cywilizacya równała nierówności społeczne; w literaturze znowu prze-

sadzać uczuciowością, właśnie kiedy uczucie w zwykłych stosunkach życia coraz więcéj wątlało. Ztąd to porodziły się owe dusze cierpiące, bolejące, niezrozumiane, a w gruncie słabe, bez woli, bez charakteru, niegodne mierzyć się z czerstwą duszą prostego wyrobnika, który wierzy, modli się i codzień pcha taczkę swoją. Umyślnie przybierano rolę ofiar, aby tym sposobem wystawić na wzgardę i potępienie zasady obowiązku i powinności na jakich stoi społeczność. Nie sumienie, lecz namiętność stała się regulatorem postępków człowieka; wielka namiętność, a przynajmniéj podawana za takową, usprawiedliwiać miała największe brudy i zbrodnie. Francya, rywalka Anglii, zazdroszcząc jéj wielkiego poety, najsilniéj poddała się jego wpływowi; i to wszystko, co ten wyjątkowy człowiek wyzionął w jenialnych konwulsyach, w gorączce pychy i zemsty, która nie mogąc wyjść na wierzch, schowała się w nim — zaczęła rozwijać i popularyzować w literaturze. Szkoła ta nazwana szaloną, rozpostarła się najwięcéj w dramacie i romansie, dwóch najprzystępniejszych rodzajach, szerząc ogromne spustoszenie w moralnych pojęciach, i zarażając zatrutym oddechem inne literatury europejskie.

Strony te ujemne muzy i żywota angielskiego lorda podniosłem dla tego, że one jedynie największy wpływ wywierały, większy nierównie niż strony dodatnie jego poetycznego jeniuszu, co jest w zwykłym porządku rzeczy ludzkich. Znajdzie się ktoś niezawodnie, kto oceni szkodliwość jego wpływu na dzisiejszy stan piśmiennictwa. Zuchwały lord nie cofał się przed żadnym nadużyciem; była to własność jego tamerlańskiego jeniuszu; — po nim, nadużycie stało się prawidłem dla najmierniejszych nawet talentów, mających do jeniuszu pretensyę.

Po wysznurowanych suchościach, i bezdusznych szablonach literatury pseudo-klasycznéj — zjawienie się Byrona wywołało ogromną rewolucyę w świecie ducha; — lecz nim to wstrząśnienie wejdzie w zdrowe organiczne karby, wprzód napłodzi dużo potworów.

Entuzyazm, jakim pałał Morawski dla wielkiego poety, był ten sam, jaki się ma na widok majowéj burzy, zajmującéj szeroki horyzont, burzy, z błyskawicą rozdzierającą do dna niebios sklepienie, a sypiącéj piorunami, jakby padał deszcz siarczysty..... Patrzysz na nią, i żal ci, że nie jesteś jednym z aktorów tego dramatu

natury, choćby małym piorunem, z jakąż rozkoszą biłbyś w głowy złoczyńców i tyranów, palił gniazda zbójeckie, lub je zatapiał powodzią!...

Piękne to, okropnie piękne! z tém wszystkiém miło ci obudzić się nazajutrz i powitać szklanny błękit i pogodne słońce. Burza nie jest stanem powszednim natury. Szał gorączkowy i konwulsye namiętnéj duszy, jak nie są stanem naturalnym człowieka, tak nie są głównym i jedynym przymiotem poezyi.

Morawski przepadał za Byronem, atoli nie napełniał się jego duchem. Tu możnaby słusznie zastosować do niego, te słowa, co mu Koźmian często powtarzał z wyrzutem, że obstawał za romantykami: „Chwalisz ich, bronisz — a czemuż nie piszesz jak oni?“

Morawski chciał i umiał pozostać samym sobą. Jeźli przekładał Byrona, to dał go poznać publiczności naszéj w utworach, gdzie jeniusz poety trzymał się w granicach swego przedmiotu, przezco nie miały one tego znaczenia i doniosłości, jakiéj nabywają wszystkie jego utwory, zestawione z życiem, które więcéj, jak u którego bądź poety od początku świata, wiąże się z jego płodami, i służy im za wymowny komentarz.

Byron mimo tego nic a nic nie wpłynął na jego sposób pisania. Mógł tu i owdzie w drobnych poezyach pożyczyć od niego formy, tonu, farb — ale ducha, nigdzie; dla którego to nabytku, musiałby się wyzuć ze swoich silnych wierzeń, zasad moralnych i rozsądku.

Podziwiał poetę, lecz się jego poezyą nie spijał, i nie tracił równowagi, jak ją potracili ci, którym zachciało się byronizować.

Cóż powiedzieć o samym przekładzie? Trzeba go czytać, żeby poznać jak tłómacz umiał pozostać wiernym angielskiemu wzorowi, a zarazem zachować tę ciągłość, jednolitość, niewymuszoność dykcyi i stylu, będących raczéj cechą oryginalnych utworów, niż tłómaczeń.

Gdyby dzieła Byrona zginęły, a zostało to tłómaczenie, kiedyś, po wielu wiekach, mógłby nieświadomy rzeczy, wziąść je za samorodny płód polskiéj muzy. Giaur Mickiewicza ma te same własności, tylko jeszcze bardziéj spotęgowane, mianowicie w téj płynnéj, niczém nie hamowanéj swobodzie dykcyi i trafności rymowania. W Morawskiego przekładzie znać więcéj wypracowania, co jeszcze nie mówi, żeby miał być wymęczony.

Z jaką starannością i sumiennością, lecz nie

niewolniczą, pracował nad przekładem angielskiego poety, mamy dowód w listach do Stanisława Koźmiana, wybornego znawcę angielszczyzny, a nadto poetę, którego niekiedy wzywa, aby mu pomógł w przełamaniu jakiéj trudności.

„Manfred — pisze Jenerał — jeszcze drugiego niedostarczył arkusza. Skończywszy jego poprawę, poprawiam ostatecznie Mazeppę. A czy wiesz co u mnie ostateczną poprawą się zowie? Oto namęczywszy się w przekładzie samym nad wiernością, odjąć tłómaczeniu nakoniec ten przymus, który z chęci wierności pochodzi, a językowi polskiemu naturalny tok jego odbiera. To u mnie jest ostatnią ręką. Może mylę się, ale zawsze styl na lotności zyska, będzie prawdziwie polskim. Będę może mniéj wiernym oryginałowi, ale wierniejszym mowie rodzinnéj i pierwotwór na tém niestraci. Pozwól się spytać o radę. Kiedy Mazeppa na wpół umarły przepływa rzekę, mówi w oryginale:

Czuję żem ożył, że silniejszy jestem
Zimnym wód rzecznych orzeźwiony chrzestem.

Otóż pytam, czy można powiedzieć: chrzestem, czy téż chrztem? Słyszałem dawniéj utrzymujących, że jak się mówi czci i cześci,

tak i tu, oba wyrażenia są dobre. Jakież twe zdanie? Jeżeli trzeba zmienić, to zmienię, ale ujmę może siły:

Czuję żem ożył i że zgasłe siły
Zimnym wód rzecznych chrztem się orzeźwiły.

Po Mazeppie przyjdą zapytania o niektóre wyrażenia z Oblężenia Koryntu, na które zawczasu zamawiam sobie odpowiedź.“

W innym liście tak pisze w téj materyi:

„Ostatni raz już nudzę cię prośbą o radę. Poprawiam ostatecznie Paryzynę, która, dla nadzwyczajnie delikatnych odcieni, więcéj trudności mi zadawała, a przytém pierwszym moim przekładem była z Byrona. Kiedym więziony pod Uralskiemi Górami nie mógł w pierwszym roku wymodlić sobie żadnéj książki do czytania, ani jéj sprowadzić sobie, ratując się w tak nieznośném położeniu, z pamięci zacząłem przekładać Paryzynę, i jak mogłem przełożyłem, częściami dobrze, częściami mniéj wiernie. Chcąc późniéj, po otrzymanéj już wolności, przekład ten do należnéj przywrócić wierności, czyniłem co mogłem, ale zawsze ślad widoczny pierwotnéj niewierności został i nigdy zupełnie zatrzeć się nie dał. Niepodobna już prawie zaradzić temu zupełnie, a

szkoda byłoby tak uroczy kwiat Byronowskiéj poezyi wyrzucać ze zbioru mego, zwłaszcza że są miejsca silnie bardzo oddane, przeto proszę zwrócić uwagę choć na kilka wierszy, które mię najbardziéj trapią.... Idzie mi o to, aby z małą obrazą wierności, jasno i gładko było po polsku. Wierność czasami niekoniecznie potrzebną będąc, w gimnastyczną tylko zmienia się walkę, kiedy na to przedewszystkiém zważaćby wypadało, że się dla Polaków ich językiem pisze. Aby tylko obrazowi nadać jego wybitność, i wyssać z niego tyle ile możności poezyi, i styl oryginału naśladować, dość jest podług mnie. Można coś dodać lub ująć, lecz zawsze w duchu oryginału; nie zważać na szczegóły drobniejsze, często tylko dla rymu położone, śmiało tłumaczyć jak poeta, a nie jak kopista, służalec niewolniczy; nie dagerotypować, lecz kunsztownie naśladować, to zawsze miałem na myśli w moich przekładach. Może nie słusznie, może téż słusznie, lecz zgodnie z naturą moich zdolności. Oto jest moje wyznanie wiary. Podług tego chcę być sądzonym.... Na dziś tyle, zostaje jeszcze kilkanaście wierszy mniéj dobrych, lecz z temi sam się męczyć będę. Posyłam tylko te, których zwalczyć nie mogę.“

Teoryę tłómaczenia jaką Jenerał wykłada w tych dwóch listach, i jakiéj trzyma się w swoich przekładach — mógłbym nazwać teoryą poety, jedynie dobrą między różnemi metodami tłómaczenia dzieł poetycznych. Wszelkie wierności posunięte aż do niewolniczego kopiowania zwrotów i własności obcego języka, a nieledwie jego brzmień, są podług mnie najgrubszém przeniewierzeniem się dla własnéj mowy, która uczuje się pogwałconą i ze swoich przymiotów obdartą. Przed laty tłómaczono u nas na sposób francuski lekko i powierzchownie, z czego rodziła się płynna bezbarwna niewierność; dziś weszło w modę tłumaczyć na sposób niemiecki z niewolniczą, pedancką wiernością i przekładów tych nikt strawić nie może, tak są przeciwne duchowi języka. Zwykle tak bywa, kiedy ludzie obrani z poetycznego daru, rwą się przelewać poetę. Niedziwiłbym się, gdyby dzisiejszy czytelnik, czytając tak przetłómaczone jakie arcydzieło starożytne, zawołał w rozczarowaniu: Dziwię się jak ludzie przez parę tysięcy lat mogli chwalić i podziwiać taką ramotę! Musi to być jakaś mistyfikacya!

Można sobie wyobrazić jak Morawskiemu krew psuły mniéj udatne, a właściwie niedbałe

i mgliste *) tłómaczenia z Byrona tych samych poematów które on przepolszczył. W jednym liście do K. Koźmiana z r. 1845 tak mówi z tego powodu:

„Zastałem tu (w Mińsku) nowy przekład „Mazeppy, za który nie dość krytyki i chłosty. „Naszą zasadą w przekładach było, być wiernym „autorowi, a tam tylko odstępywać od oryginału, „gdzie język oddzielny do tego zmuszał, lub gdzie„śmy mogli być wierniejszymi naturze, którą au„tor pierwotworu kopiował. On zaś Byrona prze-

*) Czytałem w Tygodniku Poznańskim (Ner 2. 1862 r.) przyganę zrobioną przekładowi Morawskiego, z powodu że pozwolił sobie odchodzić od oryginału w zamiarze sprostowania go; np. w rysach obrazu króla Jana Kazimierza, podobnież że nie wahał się opuszczać z oryginału po kilka i kilkanaście wierszy. Winić o to tłómacza, że sprostował przedmiot Polskę obchodzący, nie mam za bardzo słuszne. Morawski lubił, żeby to, co z pod jego pióra wychodzi, było doskonale piękne, dla tego nie mógłbym żądać od niego téj niewolniczéj precyzyi krawców chińskich, co szyjąc mundury dla francuzkiéj okrętowéj załogi, wszystkie poszyli podług danego wzoru — z łatką na kolanie!

„rabia na swoje kopyto, to jest baje i szkaradzi. „Łajałeś mię przed Karolem (hr. Jezierskim, jego „zięciem), że tłómaczę; cóż! gdy mam to głębo- „kie przekonanie, że i w dziesięciu moich orygi- „nalnych poematach nie przyniósłbym narodowéj „literaturze takiéj masy poezyi, jak w jednym „przekładzie z Byrona. Mała chwała — ale po- „żyteczniejsza dla ogółu.“

Skromne wyznanie! a jednak Dworzec mego Dziadka więcéj wspomnień poruszył, żywiéj dla niego serca biły, niż dla byrońskich Manfredów, Alpów, Paryzyn, tych bohaterów i bohaterek zrobionych z „wyobraźnéj pianki.“

Rzeczywistość poetyczna prawie zawsze ma górę nad poezyą imaginacyi.

XVII.

Było zamiarem jenerała wydawać po kolei wszystkie swoje prace, które miał tomami przygotowane do druku.

Przed wydaniem Dworca pisał on do Koźmiana o tym swoim planie:

„Pytasz się o Dziadunia? Odpowiadam ci, „że dawno fertig, jak mówią w Wielkopolsce.

„Lecz na cóż się to wszystko zda? Mam mate-
„ryału na cztery jeszcze tomy, nie mówiąc już
„o wydrukowanym (poezye we Wrocławiu. T. I.
„1841). Drugi tom mógłby składać Dworzec Dzia-
„dka, Bajki, Parchatka, i drobne poezye. Trzeci
„objąłby Manfreda, Paryzynę, Mazeppę i Oblęże-
„nie Koryntu *). Czwarty Andromakę; komedyę
„przełożoną wierszem. Piąty Mowy, i com tylko
„prozą nabazgrał lub jeszcze nabazgrzę. Któż to
„drukować będzie?“

Plan ten nie przeszedł w wykonanie: Dworzec wyszedł osobno; potém osobno pięć poematów Byrona — a każda z tych książek w innym formacie.

Po przyjęciu jakiego doznały te dwie publikacye, zamyślał drukować zbiór swoich Bajek. Z tego powodu pisał w r. 1851:

„Przybyło mi nieco bajek: Wstęp, Pan Mar-
„cin, Zwada, Oś, Kundel, Stary Kalendarz, Rzeź-
„biarz, Latarnia magiczna.... Nie wydam ich, póki
„nie znajdę na nie kupca. W Lesznie bym dru-
„kować mógł i dojrzeć korekty.“

*) Więzień Czyllonu był drukowany w pierwszym Tomie.

Pokazuje się, że nieprędko znalazł nakładcę i nabywcę, kiedy Bajki te wyszły dopiero na kilka miesięcy przed jego zgonem (w Poznaniu u Żupańskiego r. 1860). Rodzaj ten, jak popadł w niełaskę od czasu romantyzmu, tak zaczął być lekceważony i przez publiczność i przez nakładców.

Morawski w krótkim dopisku na końcu swych bajek czuł się zmuszonym stanąć w obronie tego rodzaju poezyi, powiada też ze zwykłą swoją trafnością:

„Dziwnież to czasy, w których przeciw oczy-
„wistym niedorzecznościom walczyć potrzeba. Któż-
„by się spodziewał, że Thiers będzie musiał do-
„wodzić istnienia własności, dowodzić wobec słońca,
„że słońce istnieje. Ktoby był przewidział w pań-
„stwie poezyi, że apolog, ta forma przez wszy-
„stkie wieki i narody przyjęta, przez nas tylko,
„i to aż w dziewiętnastym wieku z dziedziny jéj
„wykluczony będzie? Wiemy w jakiéj był cenie
„u Platona i Sokratesa, wiemy z Goetego jakie
„miał znaczenie za Lessinga. I niedziw. Zasta-
„nówmy się tylko głębiéj, że on był lub pier-
„wszém źródłem z którego wszystkie inne wysnuły
„się formy, lub też streszczeniem wszystkich in-

„nych rodzajów poezyi; w nim bowiem znajduje-„my dramatyczność, dyalogowanie, satyrę, opiso-„wość, dydaktyczność, epigramma, w nim niekiedy, „jak w Starcu i trzech młodzieńcach La-„fontaina, elegią. Bajka wiąże obok tego świat „fizyczny z moralnym, idealizuje rzeczywistość, a „więc jest poezyą.“

Daléj na taką napada przyczynę téj wzgardliwéj obojętności dla bajki:

„Możebym doszedł do źródła i powodu téj „zapamiętałości, gdybym powiedział, że niejeden „z naszych pisarzy chciałby, aby ten tylko rodzaj „istniał, w którym sam pracuje, a sądzi, że jest „w nim znakomity.“

Jest to przyczyna, lecz jeszcze nie źródłowa. Romantyzm inaugurując swoje panowanie, ogłosił uniwersałem, że tylko w uczuciu, w sercu, a nie w rozumie i głowie poezya powinna mieć swoje siedlisko. Krytycy i teoretycy przyjęli to za ewanielię, i zaraz wykluczyli bajkę z państwa poezyi, dla tego, że wymagała dużo bystrości rozumu, obserwacyi natury ludzkiéj, trafności w obrazowém zastosowaniu, a nadewszystko zwięzłości wykluczającéj niepotrzebną gadaninę i bujne ozdoby. Kiedy ballada mogła być sobie łokciowym

salcesonem, czém bądź nadzianym (na to reguły nie było), bajce należało być treściwą i jak ze zgryzionego orzecha wyłuszczać się zdrowém ziarnkiem prawdy moralnéj lub praktycznéj. Takie wymagania, u których na straży stał Krasicki i Trembecki, narażały na niebezpieczeństwo trudnéj rywalizacyi, a ztąd exkomunika Ezopowego rodzaju. Do tego wmówiono w publiczność, że bajki dobre są tylko dla dzieci, i Krasickiego zostawiono dzieciom, zapominając ile w nich głębokiéj filozofii życia, ile wyższych poglądów na wypadki towarzyszące jego epoce. Czytałem w Bibliotece Warszawskiéj glossy nad niektóremi bajkami Krasickiego znakomicie napisane przez Erenberga, który jenialnie rozwinął pomysłowy zarodek poety, i zarazem wykazał wysokie znaczenie jego bajek potrącających o pytania niemogące postać w umyśle dziecięcym. Już to samo pokazuje, jak niesłusznie zepchnięto te małe arcydzieła do sfery, dającéj im wprawdzie wielką popularność, lecz tego rodzaju, jakby kto bronzowe fantazye greckich i rzymskich rzeźbiarzy, znajdujące się w muzeum burbońskiém w Neapolu, pomieścił w sklepie dziecinnych zabawek.

Wszystko to było robotą krytyki o ciasnych

pojęciach, i przesadą nowatorstwa. Twórczość mistrzów słowa nie pogardzała żadnym rodzajem, czego dowodem Mickiewicz. W poetycznych jego dziełach figuruje kilkanaście bajek pełnych werwy i humoru, które bynajmniéj nie szpecą ani ballad, ani poematów, owszem stwierdzają uniwersalność jeniuszu.

Przykrém to było dla Morawskiego, gdy widział ulubiony swój rodzaj w tak lekkiéj cenie, rodzaj, w którym od samego początku autorskiego zawodu tak uderzającéj wartości złożył próby. Bajki jego od lat pięćdziesięciu obiegały po Polsce, jako mające niezaprzeczoną wyższość nad bajkami Niemcewicza, noszącemi cechę satyry okolicznościowéj i formę zbyt literacką; a lubo nie ma w nich téj niezrównanéj łatwości Krasickiego, mogącéj równać się tylko z bezwiedną łatwością, z jaką tworzy się piosenka gminna, z tém wszystkiém zajmują one drugie po Stanisławoskim bajkopisie miejsce. Kto chce znaleść krytykę, a mianowicie sąd zdrowy i trafne ocenienie rozmaitych prądów, porywających umysły w naszych czasach, niech czyta jego bajki, a będzie miał moralne zwierciadło wad, uroszczeń, szaleństw,

obłędów, śmieszności w komicznym i traicznym rodzaju.

W Wężu np. u którego ogon wypowiedział posłuszeństwo głowie, znalazł zastosowanie do gminu nieuznającego nad sobą władzy. Ogon zostawiony samemu sobie, rusza naprzód:

Lecz gdzież mógł zaleść przy swojéj ślepocie?
To się o drzewo, to gałęź uderza,
To w straszliwém grzęźnie błocie.

Nareszcie upada w przepaść:

I tak przez swoje ogonowe
Gubi i siebie i głowę.

To samo dzieje się z narodami, kiedy „brudny ogon“ opije się jadu zawiści.

Suknia pradziadka jest jakby wymierzona przeciw drugiéj ostateczności.

W stolicy jakiegoś małego księstwa został się ubiór po zmarłym księciu, i tak przez syna jak wnuka starannie chowany był w skrzyni; dopiéro gdy prawnuk nastał, przyszło mu coś do głowy, że podwoi swoją godność, nosząc suknię pradziadka. Ubrał się więc w sutą szatę, nałożył dynastyczną perukę, a na nią trójgraniasty kapelusz. Dworzanie krzyknęli:

Stary książe wykapany;
Kubek w kubek pan pradziadek!

Niedość mu było tego tryumfu, — wyszedł na ulicę, — aż tu tłum śmieje się, krzyczy, palcem wytyka:

Biada nam! kziąże ma bzika!

Rozgniewany potentat dobywa korda, bije i rąbie, aż w końcu kark łamie na bruku.

Cofać się ciągle w czasy przedwiekowe,
Odrzucać lepsze, dla tego, że nowe,
Rzecz to u książąt nie rzadka;
A przecież owe zabytki zbutwiałe,
Dzikie przesądy i formy zgrzybiałe,
Wszystko to suknia pradziadka.

Na dziśby nie zdała się może ta bajka, przynajmniéj tam, gdzie w imię postępowych reform niosą rozbicie i zagładę społeczności ludzkiéj. Nasz bajkopis, gdyby żył, ułożyłby pewnie na ten temat bajeczkę pod tytułem: Frygijska czapka na tronie.

W Królu Scytów nader szczęśliwie odkrył różnicę między opinią dzienną a historyą. Król Scytów zdobywa jakieś miasto i widzi posąg z napisem: sławie i cnocie. Ciekawy, co to był za bohater, którego pamięć naród tak uczcił, woła mędrca i każe sobie opowiadać o nim. Król ten, — powiada mędrzec, — był, jak mówi historya, okrutny i krwawy, niczém mu były boskie

i ludzkie prawa; a poddanych darł, o ile drzéć się dało. — Zdumiał się Scyta na taką sprzeczność, trudną do zrozumienia; mędrzec mu ją wytłumaczył:

Posąg stawiano za życia,
Dzieje pisano po zgonie.

Nie tylko to stosuje się do królów, lecz i do dziennych wielkości, których sława i zasługi wynoszone za życia, schodzą po śmierci do — zera.

Lubo bajka: Pojazd i Mucha jest naśladowaniem znanego tematu, jednakże poeta dał jéj zwrot, wybornie charakteryzujący te nierzadkie dziś indywidua, co przy bardzo szczupłych zasobach umysłowych, pożérani są nieograniczoną ambicyą mieszania się we wszystkie najróżnorodniejsze sprawy publiczne, w tém przekonaniu, że bez nich nicby się nie zrobiło:

W każdą więc sprawę wmięsza się i wtrąci,
Wszystkim chce dodawać ducha,
Zwija się, szasta, a bróździ i mąci:
Nasza to mucha.

W blizkiém powinowactwie z tą Muchą, jest Dmuchaczka. Prysnął węgielek z kominka i potoczył się ku wiórom.... Leżąc tak, czuł że niebawem zgaśnie, gdy wtém blizko stojąca dmuchaczka oświadczyła się z usługą rozdmuchania go.

Ileż będzie i dziwu i sławy,
Ile blasku, ile wrzawy!
W tym tak szczytnym żarze, dymie,
Wielkie sobie zrobisz imię;
Będziesz wszędzie głośny, znany,
I w gazetach drukowany!

Dmuchaczka dmucha a dmucha, — węgielek coraz się rozpłomienia, wtém wióry się zajęły, od nich ściany, belki, aż cały dom spłonął, a z nim i dmuchaczka, co pokazuje, że nie miała czasu salwować się ucieczką.

Godne wzgard świata i złoczyńców taczki,
Największych może nieszczęść winowajce,
Krajowych niezgód pokątne dmuchaczki,
Was to skreśliłem w téj bajce.

W naszym wieku Spekulant należy do bardzo rozpowszechnionego rodzaju, — atoli nie jest on żadną nowością, nie mającą poprzedników. Spekulanci byli i dawniéj, bo i łatwowierność ludzka starą jest jak świat; znano ich pod formą szarlatanów, wynalazców kamienia filozoficznego, taumaturgów i filozofów, sprzedających sekret uszczęśliwienia rodzaju ludzkiego. Dziewiętnastego wieku spekulant kusi szczęściem zbogacenia się przez wciągnienie do spółki urojonego przedsiębiorstwa. Taki to typ wystawił poeta w rozmowie z pająkiem, któremu przygania niecną za-

bawkę łowienia w siatkę głupich much i duszenia ich. Pająk odpowiada mu, że nic gorszego nie robi, jak on:

Muchy — są moi akcyoniści,
A siatka — moje programa.

W Kaczce i Piskorzu wybornie scharakteryzował los Polski, którą tu przedstawił w roli piskorza połykanego przez żarłoczną kaczkę i zawsze wychodzącego cało. Dziwi się temu kaczka i pojąć nie może; — patrzący na to bury kaczor taką jéj daje radę:

Tak go strawić nie podobna,
Nigdy ci się nie poszczęści;
Lecz go przetnij na trzy części
I każdą połknij z osobna.

Odtąd bury kaczor uchodził między kaczkami za wielkiego — polityka.

Jakaż wyborna dla rządzących nauka w tych Wołach, co wciąż bite najgorzéj zorały zagon, dając taką przestrogę poganiaczowi:

Gdybyś zręczniéj kierować umiał wołki twemi
I zagon byłby lepszym i my mniéj bitemi.

Oktrojowane konstytucye znalazły swoją charakterystykę w Dzwonku. Ojciec dał mruczliwemu synkowi dzwonek do zabawy; chłopczyna uradowany dzwonił i dzwonił po całym domu.

Uprzykrzyło się dzwonienie; ojciec wyrwał serce z dzwonka, a chłopca za drzwi wyrzucił.

Tak króle prawa dają i znów łamią,
Dają ów dzwonek, a dzwonienia bronią.
Cóż się więc dzieje, gdy w górze tak kłamią?
Ludy na gwałt dzwonią.

Znajdzie wszystkiego w tym zbiorze; jak w latarni czarnoksięzkiéj przesuwają się zarozumiali a ciemni Hegliści, autorowie szumnych poematów, przemądrzałe dzieci, bezwzględni postępowce, fabrykanci oszczerstw, zwolennicy ciemnoty, prudhoniści, i ci co samego Boga chcą w jego dziełach poprawiać. Jest tu w czém wybrać w tych złotych ziarnkach prawdy, które choćby odrzucała dzisiejsza pyszna zarozumiałość i pewność siebie, to potomność, mniéj może miotana falami najsprzeczniejszych prądów, znajdzie pociechę widząc, jak te drobne bajeczki, podobne do alcyonów w burzy, zachowywały trzeźwość i równowagę śród zamętu pojęć.

Jest w poczcie tym kilka z przedziwnym staropolskim humorem skreślonych dykteryjek, jak owo Zdarzenie z Nosem. Kilku jegomościów grało ćwika; między grającymi była jedna pocieszna facyata

z rudym włosem
I nadzwyczaj wielkim nosem.

Stojący przy stoliku synek Cześnika, *enfant terrible*, ni z tego ni z owego zawołał nagle: Co za ogromny nos! Groźnie popatrzył na niego Cześnik, chłopak się zmieszał, i poprawiając się rzekł: Jakiż to nosek maleńki! Na tę nieszczęsną poprawkę rozsierdził się ojciec, porwał za dyscyplinę i nuż okładać nieboraka, który krzyczał w niebogłosy: Ten pan nie ma nosa!

Tak i my, co to lubimy rozprawiać,
Kiedy się z głupstwem wyrwiemy,
Chcemy się niby ratować, poprawiać,
A wciąż gorzéj brniemy.

Morawski miał zwyczaj, skoro mu się złożyła jaka bajeczka, przesyłać ją w liście ojcu i synowi Koźmianom, zawsze z zastrzeżeniem utajenia jego autorstwa i niepuszczania jéj w obieg, chyba tylko udzielania przyjaciołom i prawdziwym znawcom. Często téż przy téj sposobności opowiada co mu dało pochop, a raczéj pomysł do napisania bajki. I tak w jednym liście donosi:

„Powiem ci co mi się zdarzyło, i to wczoraj: „spotkałem chłopa pijanego w niedzielę, co u nas

„rzadkiém jest zjawiskiem, i taka z odpowiedzi „jego złożyła się anegdota:“

Że pił w święto, pan chłopu wyrzucał pewnemu;
A ten na to: Mój Panie! czyż ja winien temu?
Człowiek chodzi za nosem. Stokroć więc szczęśliwy
Kto ten nos dostał prosty — mój, nieszczęściem krzywy;
Krzywo też ciągle chodząc codzień się zawodzę:
Chciałbym wnišć do kościoła, a do karczmy wchodzę.

„Przyznaj, że ekskuza dowcipna! lecz wątpię tro- „chę, aby tam, w górze, tak przyjętą była jak „przezemnie.“

Wprawdzie ta odpowiedź wywołała fraszkę, epigram, w rodzaju Kochanowskiego lub Wacława Potockiego, lecz zdarzało się często, że z potocznéj rozmowy lub drobnéj okoliczności ułowił bajeczkę, i to bardzo oryginalną, jak w tym przypadku o którym pisze:

„Był tu u mnie *un fameux gourmé,* utrzymu- „jący, *que l'animal broute, l'homme mange, et qu'il „n'y a que l'homme d'esprit, qui sache manger.* „Krotofilny pan Michał zaraz na niego taką bajkę „napisał: Jeż i chłopcy.

Leżąc pod krzaczkiem jeż w kłębek zwinięty
Wszystkie swe kolce nadstawił;
Staś go swojemi chciał ująć rączęty
I strasznie biedak się skrwawił.

— Nie tak go chwytać należy —
Dowcipny Stefuś mu powie:
Jest inny sposób na jeży,
I zaraz twego tak złowię.

I zerwał kilka jabłek i położył:

Jeż się zrazu patrzył boczkiem,
Chciwém na nie strzelał oczkiem,
Ale się wahał i trwożył....
Kiedy w tém nagle zrywa się z pod krzaczka
Do smacznych bieży jabłuszek,
Stefuś mu rączkę wsuwa pod brzuszek,
I tak chwyta nieboraczka.

A teraz-że sens moralny:

Walcz jak chcesz z ludźmi pewnemi,
Zwycięztwem się nie poszczycisz;
Ale wszystko zrobisz z niemi,
Gdy ich za brzuszek pochwycisz.

Czy może być szczęśliwsza parafraza znanego przysłowia: Czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą! — Bajka niczém też nie jest, tylko spoetyzowaniem, zobrazowaniem filozofii ludu; a. ta podobnoś najlepsza co z artystycznéj sfery przechodzi na własność powszechną, i zamienia się w przysłowie.

W ogóle o bajkach Morawskiego można wydać to zdanie, że przy bardzo prostym i natural-

nym układzie, mają w sobie wiele dramatyczności, interesują, a nieraz niespodziewaném uderzają rozwiązaniem. Wielka poprawność stylu, artystyczne wykończenie, obok charakterystycznéj energii obrazowania i rysunku, wszystkie te przymioty pisarza wyższego talentu, nadają bajkom jego pierwszorzędne miejsce w tym rodzaju. Miał on téż do nich szczególną miłość, i nie było nic dlań przykrzejszego, jak puścić taką bajeczkę w świat bez przyzwoitéj powierzchowności. Żadna matka możeby więcéj nie bolała nad córką, którąby w rannym dezabilu pokazała się gościom, jak on, gdy mu z pierwszego rzutu, jeszcze nieokrzesaną bajeczkę, kto porwał i dał do druku. Z tego powodu skarży się w jednym liście:

„Dwie z moich świeżo napisanych bajek, a nie-
„wyrobionych jeszcze, porwał mi tu M.... do druku,
„co mię trochę gniewa, bo ja pewną wykończono-
„ścią zwykłem się odznaczać, i nie chciałbym od
„niéj odstąpić. Może to nie jest dowodem jenial-
„ności, w którą świat ten tak bogaty. Lecz cze-
„muż przez pośpiech w brudny tylko puderman-
„tel i dziurawe pantofle piękną przybierać postać?
„Czyż publiczność niewarta, aby jéj te piękności
„w godowéj przedstawiać szacie?“

Zapewne że warta, jeżli nie ta co nas otacza, to publiczność potomności. Ten wzgląd jest jakby kontrolą autora; chroniąc go od zaniedbania, ochrania zarazem literaturę od upadku, który zazwyczaj objawia się pogwałceniem natury języka, dorywczością planu, nierównością wykończenia i kaprysami improwizacyi, z których ani czytelnik, ani autor nie będzie mógł zdać sobie sprawy. Morawski przywykły do innéj fizionomii społeczeństwa niż dzisiejsza, wyobrażał sobie wykwintną i dobraną publiczność, dla tego rad stawał przed nią w pełnéj zbroi wymagań i przyzwoitości. Lecz dzisiejsza publiczność mniéj bywa wybredną; znajdzie się tu i owdzie znawca, lub człowiek z wyrobionym smakiem — większość przecież ma smak owego bonończyka w jednéj bajeczce francuskiéj, któremu młodzian daje wąchać najprzedniejsze perfumy, a bonończyk nosem kręci, szczeka i ucieka od niego; za chwilę jednak wraca i liże mu zwalany but, z nieudanym gustem.

Jak w początku swego pisarskiego zawodu, tak i przy końcu, w starości, lubił Morawski tworzyć bajki. Długi wiek doświadczenia, przeżyte koleje, widok często zmieniających się upodobań

lub nienawiści, przejść z gorących entuzyazmów do oziębień, z oziębień do entuzyazmów, i te wszystkie oscillacye opinii ludzkiéj, służyły mu za bogaty materyał do refleksyi. Że świat stracił dla niego uśmiechy nadziei — nie byłoby nic dziwnego; każdy je traci w dojrzalszéj porze — niekażdy przecież dochodzi do przekonania, że o względy i oklaski świata ubiegać się niewarto. Grunt to ruchomy jak lotne piaszczyste wydmy; Morawski nie lubił na nim budować; wolał on rusztowanie swoje opierać o niebo....

Myśli te przychodzą często w korespondencyi jego z lat ostatnich:

„Spokojność szczęściem jest starości, choćby „i fizyczna. Szczęśliwy, kto i moralną zyskać mo„że, aby zawczasu oswajał się z wiecznością. Co „do mego zdrowia dotąd zawsze to samo. Tru„dno zająć się czém większém. W chwilach zno„śniejszych trochę przynajmniéj

W cieple i przy fajce
Marzy się o bajce.“

XVIII.

Powyższe poglądy i roztrząsania utworów Morawskiego nie obejmują jednak znacznéj części

jego płodów, bądź rozrzuconych po różnych peryodycznych publikacyach, bądź spoczywających w tece. Najciekawszą częścią jego pism byłyby Pamiętniki, gdyby je był zostawił. Na nieszczęście nie zostawił żadnych, prócz kilku ustępów drukowanych w Przyjacielu Ludu, w Przeglądzie, w Pokłosiu, jak: O pobycie Karpińskiego w Warszawie, jak: Śnadanie u jenerała Dąbrowskiego, lub: Co się działo w wojsku naszém po bitwie pod Lipskiem?. — Ustępy te pełne życia, pełne rysów z natury zdjętych i nowych szczegółów do charakterystyki osób i historyi, zaostrzają smak i każą tém więcéj żałować, że Jenerał, umiejący tak zachęcać innych do spisywania swoich wspomnień, sam tego uczynić nie chciał. Dość mu było tylko to, co opowiadał, np. o W. Ks. Konstantym, rzucić na papier, a zostałaby nieporównana charakterystyka dziwactw tego impetyka. Ci, co mieli sposobność słyszeć opowiadającego Jenerała, pamiętają różne ustępy, między innemi jak W. Książe przyjechawszy z Wiednia do Warszawy i przywiózłszy z sobą muzykę do mszy św., kazał mu we 24 godzin wiersze do niéj ułożyć, — i Morawski rad nierad musiał się do rozkazu zastosować; lub zajście z jenerałem

Sierakowskim, które się skończyło na tém, że W. Książe rozpłakawszy się, uściskał go; — lub znowu jakaś dowcipna odpowiedź Morawskiego, którą rozbroił gniéw W. Księcia i uwolnił tym sposobem podoficera, skazanego do wymiatania wychodków. Do téj kategoryi anegdot należy przygoda jenerała Antoniego Potockiego, który kupiwszy sobie śliwek, wsypał je do kapelusza stosowanego i tak spotkany z gołą głową na Krakowskiém Przedmieściu, wzięty był przez W. Księcia za pijanego. — Opowiadał nareszcie, jak W. Książe niecierpiał Dybicza, i gdy raz nadeszła wiadomość o wielkiém jego zwycięztwie nad Turkami, on aresztował praporszczyka Pritwitza za to rylko, że był siostrzeńcem Dybicza. Mnóstwo podobnych rysów i anegdot dostarczyłoby wybornego komentarza do piętnastoletnich rządów W. Księcia Konstantego, dotąd prawie przez nikogo nie skréślonych w ten sposób, żeby w nich się odbijała fizyonomia ówczesnego społeczeństwa. Talent pisarski Morawskiego, dar obserwacyi, a przytém sumienność i ścisłość w przedstawianiu tego, na co patrzał, — a mógł wiele i z blizka widzieć, zajmując wysokie wojskowe stanowisko, niemniéj mając wstęp do najwyższych towarzystw,

który sobie niepospolitemi zdolnościami, dobrém wychowaniem, zacnym sposobem myślenia i wdzięczną postacią torował, — wszystko to zgoła dawało mu przywiléj odmalowania tych czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa. Jest czego żałować, że tego nie podjął, tylko bogactwo swoich spostrzeżeń i wiadomości rozsypał w listach, — dał ułamki, całości nie objął. Kiedy dziś pisanie pamiętników stało się modą, i nie jeden rwie się do nich, chociaż nie ma żadnego tytułu do zainteresowania nas, ze względu na zajmowaną podrzędną pozycyę, lub zamknięcie się w małém kółku pewnego grona ludzi lub powiatu, tem większy cięży obowiązek na tych, co zbliżeni do źródła spraw, i do głównie działających osób, mogliby powiedzieć wiele rzeczy nowych i ważnych — a pokryli je milczeniem; lub jeżeli wspomnienia swoje powierzyli pismu, odsyłają ich publikowanie późnym pokoleniom. Nieprzeczę, mogą być niektóre względy delikatności dla osób i rodzin żyjących, nakazujące tę ostrożność; atoli z drugiéj strony mam to przekonanie, które mógłbym świeżemi przykładami poprzeć, że zbyt spóźnione ogłoszenia pamiętników i dokumentów, nieprzynoszą téj korzyści, jakąby przyniosły ogłoszone w porę. Jeźli fał-

szywy sposób widzenia nabroiwszy wiele złego, wyda cierpki owoc — już nieczas go prostować, chyba, żeby tém większy wzbudzić żal, że się błądziło w ciemnościach.

Wracając do Morawskiego, a mianowicie jego pamiętników, tyle obiecujących, mam to przekonanie, że w tym rodzaju byłby literaturę naszą zbogacił najszacowniejszém dziełem.

Jak on ten rodzaj pisania pojmował, można się przekonać z jego listów do Kajetana Koźmiana, w których ciągle nakłania go do spisywania pamiątek życia i radzi trzymać się potocznego stylu, niepomijania anegdot zawierających częstokroć najwybitniejsze rysy i barwy obyczajowe, tém cenniejsze, im każdy rok więcéj je zaciera. Tacytowski sposób pisania historyi, do którego widział Koźmiana skłonnym, wymagałby oprócz znajmości swego czasu, jeszcze i źródłowych studiów, bardzo niedostępnych do epoki upadku Polski; wreszcie studia takie byłyby zbyt wielkim ciężarem dla starca wstępującego w ósmy krzyżyk — forma więc pamiętnikowa, niczém niekrępująca, lepiéj odpowie potrzebie, a oraz dogodzi smakowi czytelników lubiących gawędzenie o starych czasach. Usłuchał namów tych Koźmian i wziął się

do spisywania swoich wspomnień, będących dziś wielce szacownym skarbem tradycyi ojczystéj.

Tak tedy czynność Morawskiego nie ograniczała się na swoich własnych pracach; przyjaciół, których talent i charakter wielbił, ciągle pobudzał do nowych dzieł, poddawał pomysły, utrzymywał w ochocie, prostował, przyganiał, podnosił, i cieszył się cudzym utworem, jeżeli zyskał jego uznanie, więcéj, niż najudatniejszym własnym płodem. Nigdy cienia zazdrości z czyjegoś powodzenia lub sławy — przeciwnie entuzyazm lirycznego uniesienia, tryumf radującego się serca, że duch narodu zdolnym jest tworzyć dzieła, dające mu nieśmiertelność, Kiedy mu wpadł w ręce Krasinskiego: Dzień dzisiejszy, nieposiada się ze szczęścia, i pisze: „Myślą nieba, dorosłem sercem całą ludzkość objąłem, czytając te święte wyrazy.“ Co za lot po morzu czasów, z najdalszéj przeszłości w najdalszą, bo przez Boga zapowiedzianą przyszłość. Zdaje mi się że nie człowiek do człowieka, ale Czimborasso woła na Alpy i Himalaje: buchnij wulkanami, ruń na wrogów, zawal łomami zwalisk! Śpiące pod tylu zbrodniani lawy podziemne zbudźcie się, zatrząśnijcie ziemią i cały ten świat szeroki przewróćcie na nicę! Może na dru-

gą stronę przewrócony, coś lepszego urodzi. Powiesz że to już kilkakrotnie Krasinski wyrzekł; ale wybuch serca nowy, ale zastosowanie nowe, ale siła, piorun — wszystko nowe! Ta sama wprawdzie myśl, ale coraz potężniejsza, zolbrzymiała. Wreszcie dla Francuzów i świata, pomysły te zupełnie będą nowemi. Jest to ziarno rzucone, które w tysiące się rozrodzi. Pięknaż to rzecz geniusz, piękniejsza, gdy na tak świętéj postępuje drodze."

Obok służby wojskowéj zabierającéj tyle czasu, późniéj, obok kłopotów i zatrudnień gospodarskich, zawsze znachodził czas nietylko samemu pracować, lecz jeszcze należeć do jakiéj literackiéj pracy o połączonych siłach. Widzieliśmy jak w nowo utworzoném Królestwie interesował się sceną narodową, i należąc do towarzystwa Iksów (XX), światłemi krytycznemi uwagami wpływał na smak publiczności i na dobrą grę aktorów; jak ówczesne pisma peryodyczne płodami swemi zasilał; jak żywy brał udział w pamiętnéj walce klasyków z romantykami, — jak następnie wspiérał leszczyńskiego Przyjaciela Ludu, Przegląd Poznański, wydawany przez Jana i Stanisława Koźmianów; Pokłosie, Dodatek do Czasu,

niemniéj inne pisemka, w dobrym kierunku rozszérzające oświatę między wiejskim ludem. Nie uchodziły uwagi jego i dawne, rękopiśmienne prace, wymagające ogłoszenia dla zapełnienia luk w piśmiennictwie; wskazywał je, poddawał. W jednym liście do Jędrzeja Koźmiana tak się odzywa w téj materyi:

„Byłeś w Warszawie; — żałuję żem nie miał „czasu pisać ci przed twoją tam podróżą. Trzeba„by koniecznie zajrzéć do rękopismów pozostałych „po Osińskim. Winniśmy to jego przychylności „dla nas, jego talentowi i interesowi krajowemu. „Pomnij że już tyle prac poginęło; Matuszewicza, „Kruszyńskiego, kasztelana Rzewuskiego i tylu „innych. Trzeba o wydaniu zbioru ich choćby „przez jaką dozwoloną asocyacyę pomyśleć, bo „szkoda niepowetowana. Tyś jako tam mieszka„jący, i namiętny zbiéracz, powinien tém się za„trudnić, dać piérwszy popęd i uorganizować tenże; „bo bez tego próżne zrywanie się i wysiłki. Jeżeli „po prostu chciałbyś je tylko do Piotrowic za„brać, to się nic nie uda, i jeszcze uważać to go„towi jako egoistyczne dążenie. Trzeba w każdéj „gubernii miejsce na taki zbiór obmyśleć.“

Nigdy prawie Morawski nie lubił sam wy-

stępować z podobnemi pomysłami, a chociaż był ich autorem, zaszczyt inicyatywy zostawiał innym. Jakże w tém niepodobny do owych projektowiczów, co budzą się z projektem, zwołują narady, układają programa, agitują, zapowiadając wielkie rezultaty, aby nazajutrz z nowym się obudzić, — a wszystko ku wielkiéj chwale człowieka, dniem i nocą zajętego szczęściem publiczném, o czém, ma się rozumiéć, jeżeli nie piszą széroko gazety, to czwarta ich stronnica pewno nie milczy. Morawski wolnym był od téj słabości. Przekonany, że w cichości najlepiéj rzeczy się robią, podobnie jak cicha jałmużna najprościéj dostaje się do nieba; w rozmowach, w listach poufnych, najwięcéj pomysłów swych zostawił, które, mimo że im zbywało na publice, nie mniéj dostawały się do ludzi, pobudzały do użytecznych przedsięwzięć, a często modyfikowały lub prostowały skrzywione kierunki. Można powiedzieć, iż żaden ruch, żadna dążność nie była dlań obcą, lubo się do niéj bezpośrednio nie mieszał; w czém przypomina Jouberta, przyjaciela Chateaubrianda, który śród największego waru wielkiéj rewolucyi, umiał dla głębszych swych pomysłów i zdań jednać zwolenników i przygotowywać zastęp ludzi mogących

przodkować społeczeństwu i nadać mu równowagę. Joubert tylko dla siebie pisał maksymy, — dla drugich miał żywe słowo pogadanki.

Pokrewne poezyi malarstwo miało w nim także miłośnika i znawcę. W jego pojęciu naród, pragnący żyć pełnią ducha, nie powinien zostawiać odłogiem pola sztuk pięknych, mających taki wpływ cywilizacyjny. Nie myślał on też o wzbudzeniu sztuki, bo ta najlepiéj kiedy jest usposobienie po temu, sama się budzi, — ale spotkawszy piérwszy jéj samodzielniejszy objaw, zainteresował się nim, pragnąc bodaj cząstką poetycznego tchnienia podzielić się z artystą.

W liście do Jędrzeja Koźmiana tak opowiada bytność swoję w pracowni Suchodolskiego w Warszawie, z datą roku 1846. Suchodolski wtenczas był alfą i omegą naszego malarstwa.

„Byłem też u Suchodolskiego i widziałem „jego nowe prace. Trzeci, odmienny nieco zrobił „obraz śmierci Czarnieckiego. Zmiany są dobre, „a twarz Czarnieckiego najwięcéj zyskała. Tyle „mu mówiłem przy pierwszym obrazie, że więcéj „poezyi daje końskim głowom niż ludzkim, że te- „raz nadał dostatecznie wyrazu Czarnieckiemu, „a niedość jego koniowi, co poprawić chce i musi.

„Zrobił także giermka Czarnieckiego z koniem het-
„mańskim na oddzielnym obrazku. Opowiedziałem
„mu tę scenę z poematu twego ojca, i bardzo
„mu się podobała; tak dalece nawet, że gdyby mu
„była wprzódy znajomą, byłby ją wystawił pę-
„dzlem. Szkoda, że wiedząc iż maluje Czarnieckie-
„go, nie byłeś u niego dla dania mu niektórych
„myśli. Wart, aby z nim dużo o jego sztuce mó-
„wiono. Z tejże saméj części naszych dziejów wy-
„stawił Kordeckiego broniącego Częstochowy. Kom-
„pozycya piękna, to jest całość i szczegóły, wy-
„stawność celniejszych osób, grupowanie, myśl
„każdéj grupie dana, rozmaitość scen, a przecież
„z jednością przedmiotu zlewająca się naturalnie.
„W jednéj tylko rzeczy, jak mu mówiłem, uchy-
„bił, to jest, że nie wystawił saméj kryzys sztur-
„mu, chwili wahania się zwycięztwa, co wzbudza-
„łoby w patrzącym bojaźń o los twierdzy, i tém
„bardziéj podnosiło interes, wyższe duchowe w wi-
„dzu życie; lecz obrał chwilę oczywistéj już pra-
„wie przewagi nad Szwedami. Zarzucają mu, że
„muzyki w czasie szturmu nie umieścił w wieży,
„jak podanie mówi, i Matki Najświętszéj nie uka-
„zał nad świątynią w obłokach; lecz mnie się
„zdaje, że wówczas wszystkie osoby trzebaby na

„osóbki drobne, na pszczółki zamienić; chyba, „gdyby obraz mógł mieć wielkość browaru pio- „trowickiego. Malarz zawsze bardziéj jest ście- „śnionym od poety. Ten z wiersza na wiersz prze- „latując, krocie mil ubiedz może, wiele lat za- „jąć — malarz zaś musi ograniczyć scenę działa- „nia i jednę tylko chwilę uchwycić. Suchodolski „ma swoje błędy, zwłaszcza w kolorycie i co do „kompozycyi — przecież niedość go cenią, a zwła- „szcza niedość kupują. Możni powinniby choć po „jednéj scenie historycznéj najsławniejszego z swych „antenatów obstalować. Wolą kocz wiedeński, ol- „brzymie zwierciadło, diamenty dla Jejmości, a dla „Jegomości coś gorszego jeszcze. Jakże artysta „ma nabierać ducha i kochać się w sztuce, która „go nawet wyżywić nie może?“

I nie o samém malarstwie, o całéj literaturze powiedzieć się da to samo. Na wszystko u nas znajdzie się fundusz, tylko nie na książkę, nie na malowidło. Przecież miłość nauk, urok poezyi, nie jest dla nas żadną nowością; nie wychodzimy ze stanu dzikiego, żeby tylko kochać się w błyskotkach i niemi wartość swoją podpierać — a jednak, jednak.... zawsze jedna piosneczka; śpiewają ją białe łabędzie, jak i szare wróble świégocą.

Widzieliśmy jenerała interesującego się staremi książkami, rękopismami, wydawnictwem, malarstwem — później znowu, gdy owionął nas zapał do archeologii, widzę go z jaką uwagą pogląda na każdy zabytek przeszłości, szczególniéj jeżli go znajduje na obcéj ziemi. W r. 1856 dla poratowania zdrowia był w Karlsbadzie, potém pojechał kąpać się w morzu na wyspę Rugię, zkąd za powrotem tak pisał do Stanisława Koźmiana o swoich archeologicznych poszukiwaniach, mieszając jak zwykle wesoły żarcik.

„Latając po lądzie i morzu, wróciłem nareszcie do domu, i wypaliwszy fajeczkę, zabieram się do pisania do Ciebie. Wszyscyśmy zdrowi przywlekli się w progi lubońskie, za zwiększonem przecież gronem familijnem. Przywieźliśmy małpeczkę, źródło niewyczerpane zabawy dla dzieci, a nawet dla starszych, dla wsi całéj. Dzieci pewne, że i ty nie wytrzymasz, i galopem przybiegniesz poznać się z tym cudem świata, i jeżeli szczęście ci posłuży, zaprzyjaźnić się z nim na dobre..... W Putbus zajmowały mię najwięcéj zbierane tradycye o Światowidzie, najsłynniejszym ze wszystkich, lecz mało bardzo dowiedzieć się mogłem. Wszystkie pamiątki zatarł germanizm,

czas i chrześcijaństwo. Najwięcéj przecież zniszczył, wysuszył, zamordował z wszystkiego szydzący protestantyzm, co tylko jakąkolwiek było wiarą. Szukałem w Stralzundzie grobu Poniatowskiego, ulubieńca Karóla XII, a stryja króla Stanisława, lecz przez tak krótki czas dopytać się go nie mogłem. Dowiedziałem się wprawdzie i z opowiadania i z ksiąg, o innych osobliwościach, o których wolałbym niewiedzieć, że w mieście pomerańskiem Kamin w kościele ś. Jana pokazują dotąd następne relikwie: pantofel Matki Najświętszéj złotem wyszywany; bat, którym Zbawiciel popędzał osiołka swego przy wjeździe do Jerozolimy — bęben, przy którego odgłosie Izraelici przeszli przez morze Czerwone, i tabakierkę św. Piotra z trochą cudownéj tabaki! Takie to są ślady téj drobnostkowéj monakalnéj religii. Prawda, wszystko jest dobre co naprawia, ulepsza pewne dusze; lecz dla wielu znowu dusz może być szkodliwe, bo budzi reakcyę. W religii wszystko powinno być górne i wielkie, wszystko unosić. Jest to, nadto święty kapitał, aby go roztrwaniać na monetę zdawkową.“

Powróciwszy z Putbus, jenerał napisał artykuł o Światowidzie, i wiersz bardzo silny w

tymże przedmiocie. Owa małpka wspomniana na wstępie listu, była powodem uciechy dla wszystkich, ale najwięcéj pono dla jenerała, który jako bajkopisarz, tyle o zwierzętach napisał, i lubił je bardzo. Przy wejściu do jego pokoju stała ogromna klatka z liczną rodziną kanarków, często tak szczebioczących, że choć drzwi były zamknięte niepodobna było w pokoju jenerała rozmawiać. Psów w Luboni było zawsze co nie miara. Większych brytanów nie wpuszczano; siadywały więc przed oknami swego pana, wyglądając, rychło twarz ich chlebodawcy wychyli się. Przy stole dwa lub trzy pieski kręciły się wciąż; jenerał karmił je przy każdéj potrawie. Brytan Karo, miał przywilej wchodzenia podczas obiadu, ale musiał pod bocznym stołem siedzieć, gdzie łapał rzucany mu chleb. Dynastya Karów nigdy nie wygasała; gdy jeden zdechł, inny na jego miejsce następował. Z psami tysiączne zawsze figle wyprawiano; czasem były one nawet powodem jenerałowi do dowcipnych wierszy. Zdarzyło się, iż syn jego, będąc w Szmiglu na popasie, widział jak chciano topić biedne szczenie, uratował je od śmierci i zabrał ze sobą do domu. Szczenie wyrosło na psa wcale nieosobliwego; jednak pieszczono go

przez pamięć na jego początek, i przezwano niewiadomo dla czego Tekelmanem. W parę lat potem na imieniny syna, napisał jenerał Tekelmanowi wiersz następujący, uwiązawszy mu go u szyi:

Niech i ja także dzień tak miły święcę,
Szczęknę z radości i ogonkiem kręcę;
Bo jakże nie mam w dniu tak drogim skakać,
A raczej w rzewnéj wdzięczności zapłakać!
Pamiętam bowiem o tym strasznym figlu,
Który los zdradny gotował mi w Szmiglu,
Gdziem miał już zginąć — a tyś się użalił,
I od tych srogich Niemców mię ocalił.
Co — jak z ust mego słyszałem to dziadzi,
I psyby polskie powytępiać radzi.
Może, iż za to ukarać mię chciano.
Że jak w psich dziejach stoi napisano:
Jeden z mych przodków śród hundsfeldskich łanów
Najwięcéj pono pozjadał Germanów.
Licznych on psiarni był w ówczas hetmanem
I ztąd go zwano wielkim Tekelmanem.
Lecz wszystko w świecie gaśnie i upada:
Znikła już pamięć wielkiego naddziada;
A ja, wnuk przez cię litośnie przyjęty,
Przychodzę kornie twoje lizać pięty,
Wdzięczność twéj wiernéj psiny ci wynurzyć.
I całe życie na dwóch łapkach służyć.

Ze wszystkich koni, jakie miał w stajni swojéj jenerał najwięcéj lubił Wilczatę, starą klacz,

któréj chorobą nieraz martwił się, a gdy zdechła, omal, że nie płakał za nią.

„Najboleśniejsza dla mnie — pisze w jednym liście — Wilczata moja zdycha. Żaden arab nie rozstawał się ze swoim koniem tak smutny, jak ja z nią. Żal mi jéj jako

Staréj sługi i w szkapie przymioty bogatéj,
Bo wreszcie, cóż ja będę znaczył bez Wilczatéj?
Po Wilczatéj mię znają, kiedy po obiedzie
Stare Jeneralisko na wizytę jedzie.
Po Wilczatéj mię znają, kiedy z Karym w parę
Odwożą do spowiedzi moje grzechy stare.
Wlókłem się marząc sobie, że gdy zejdę z świata,
Aż do grobu mię moja odwiezie Wilczata.
Tak się to z losem ludzkim wiążą losy szkapie...

Dokończ — bo ja z żalu nie mogę....“

Drobnostki to są, lecz przez nie właśnie przegląda człowiek, nie ów od święta, urzędowy, publiczny, lecz jakim był w codziennem zachowaniu się. Jak każda wyższa indywidualność, tak i Jenerał miał w sobie taki zapas życia, że niém wszystko, co się skupiało około niego obdzielał, ożywiał; ztąd najprozaiczniejsze zatrudnienia, najpowszedniejszy tryb domowy, miał pewien wdzięk, jakąś odrębność od tego, co gdzie indziéj się widzi. Dusza poetyczna nawet w stanie spoczynku swego, je-

szcze promieni się. Przeciwnie dzieje się około suchych serc, zamkniętych w sobie; nic się do nich nie zbliża, bo nie czuje siły przyciągającéj; a to co bliskiém jest, martwieje. Cisza, ład symetryczny, wilgotny chłód, woń stęchlizny, zazwyczaj cechują taką pustynię, gdzie mogą mieszkać najzacniéjsze osoby — ale poezya życia nigdy nie zagląda....

Bez poezyi życia, niewiem nawet jak można mieć pretensyę nazywać się poetą?

XIX.

W ostatnim lat życia dziesiątku czuł sędziwy jenerał częstsze i dolegliwsze napady podagry; jeździł léczyć się na nie do Karlsbadu, gdzie spotykając dużo dawnych znajomych z różnych dzielnic Polski przybyłych, nietylko krzepił zdrowie ciała, lecz i umysł odświeżał w tych rozmowach, co wiecznie około jednego, nigdy niewyczerpanego przedmiotu obracać się zwykły. Interesujący się wszystkiém mającém związek nietylko z literaturą, lecz stosunkami domowemi, towarzyskiemi, gospodarstwem, instytucyami publicznemi, wypytywał o szczegóły, badał usposobienie umysłów, i nieraz miał sposobność cieszyć się z postępu, gdy ten

nosił cechy rzeczywistego rozwoju materyalnego i duchowego, a smucić gdy wpadał na trop szkodliwych wichrzeń podkopujących podwaliny społeczne, co także zwykły uchodzić za postęp. Obywatel jednéj prowincyi nie zamykał się w niéj; wszystkie uczucia i myśli do całoścl odnosił; a światłe jego, wytrawne doświadczeniem zdanie, przemykało się nieraz nieskontrolowane i nieoclone przez różne granice.

Wszakże trwalszą pamiątką chciał się on przysłużyć swoim współczesnym. Na dwa lata przed zgonem, w r. 1859, kiedy siły fizyczne coraz się wyczerpywały napadami podagry i innych niemocy starości, zaprzątał jenerała pomysł wysoce chrześciański i obywatelski, nad którego sformułowaniem wiele myślał, a nad wprowadzeniem w praktykę robił starania o ile zwątlone siły krzątać się pozwalały. Pomysłem tym było utworzenie Towarzystwa antipojedynkowego, mającego położyć tamę barbarzyńskiemu zwyczajowi dochodzenia krzywdy przez walkę orężną, któréj ostateczny wyrok najczęściéj pokrzywdzonego dosięga. Pojedynki mające w średnich wiekach znaczenie Sądu Bożego, dzisiaj rozstrzygają najczęściéj na stronę lepszego oka, lub wprawniejszéj ręki. Nie-

sprawiedliwość ta bolała jenerała i martwiła w uczuciu wysoce chrześciańskiem, niemogącém patrzeć jak nieraz z błahéj przymówki, łatwo dającéj się pogodzić, wynikał pojedynek, przyprawiający o życie człowieka. Czuł on że tak powiem, sumienie swoje obciążone tolerowaniem barbarzyńskiego zwyczaju; wyrzucał sobie że będąc członkiem społeczeństwa dopuszczającego pojedynki, staje się współwinnym zbrodni kalectwa lub morderstwa; dręczył go ten szlachetny skrupuł — i dla tego rozmyślał nad środkiem zaradźczym, który mu przedstawił się w formie stowarzyszenia jak największéj liczby osób, któreby zobowiązały się wszelkie zajścia mogące sprowadzić rosprawę orężną, polubownym sądem rozstrzygać. W téj myśli ułożył statuta antypojedynkowego Towarzystwa, i udzielił je sąsiadowi swemu, który jego przekonania podzielał, Stanisławowi Koźmianowi, zobowiązując go aby udał się do Jenerała Chłapowskiego i innych osób używających powagi w całéj prowincyi i skłonił je do zajęcia się wykonaniem tego planu. Koźmian aczkolwiek zgadzał się na pomysł, czuł jednak niepodobieństwo zwalczenia przesądu i drażliwości, któremi się utrzymują pojedynki, do tego cierpiący na zdro-

wiu, nie czuł w sobie dość sił, ażeby się mógł zająć czynném gromadzeniem członków towarzystwa. Zwrócił więc jenerałowi jego projekt, bez żadnych uwag, wymawiając się niemożnością służenia mu w téj trudnéj sprawie.

Jenerał po niejakim czasie pisał doń w tym przedmocie, i z listu tego możemy się przekonać jak wielką wagę przywiązywał do tego projektu. Oto są jego słowa:

„Po odjeździe twoim, zastałem na moim stoliku zwrócony mi projekt do wiadomego Towarzystwa*) lecz bez żadnych uwag, rad, poprawek, bez podania nawet sposobów do zawiązania i roskrzewienia jego. Jeżeli projekt ten nie zasługuje na twoją uwagę, czemuż mi szczerze nie wyjawić prawdy? Jeżeli zaś zasługuje, czemu mię nie wesprzesz twoją światłą radą? Może nie miałeś dość czasu do rostrząsania przedmiotu w Luboni; raz więc jeszcze posyłam ci ten projekt. Rozważ go, choćby najdłużéj trzymaj u siebie, a potém napisz otwarcie co myślisz o tém. Ja dość wagi przywięzuje do téj rzeczy, bo ta będzie najle-

*) Projekt ten, a raczéj Statut Towarzystwa antipojedynkowego załączam na końcu.

pszém dziełem, które po sobie zostawię, jeżeli się uda projekt ten w życie wprowadzić. Mam nadzieję, że wiele grzechów przez to zetrę, a w moim wieku spekulacya to bardzo przyzwoita. Im prędzéjby się towarzystwo zawiązało, tém więcéj zasługi; im dłuższa zwłoka, tém wina cięższa. Sam z resztą niczego dokonać nie zdołam. Trzeba mi wsparcia i proszę o nie. Mażże być tak trudno pomagać dobréj rzeczy i świętemu zamiarowi, póki tylko cień podobieństwa zostaje, że cel osiągniętym być może.“ —

Pomysł jego rzucony w chwili, kiedy wiele jeszcze żywych uprzedzeń rozdzielało społeczność naszą, kiedy namiętności nie ostygły, wyobrażenia nie przyszły do równowagi, natrafiłby na nieprzełamane trudności, co jednakże nie każe wątpić, żeby kiedyś ów antypojedynkowy kodex nie wszedł w praktykę. Z postępem oświaty przyjdzie prawdziwsze światło, światło padające z nieba, a wtenczas i projekt zacnego starca łatwiéj pociągnie umysły.

Zwykle to bywa, że pod koniec dłuższego życia starość staje się podobną do kija, na którym się opiera. Ów *baculus senectutis* stracił swoje liście, gałązki, kwiat, owoce — tak samo człowiek

patrzy jak jedne po drugich opuszczają go drogie i bliskie sercu osoby; kwiaty nadziei, owoce trudu. Alić człowiek niezawsze jak ów kij usycha; soki w nim krążą, serce bije, myśl pracuje — a on podobien mitologicznéj Niobie, patrzy na przeciągające pogrzeby!.... Cóż go broni że nie skamieniał jak Niobe, nie usechł jak kij? Ufność w Bogu, gorąca wiara w nieomylność jego wyroków przechowywana w sercu co płacze krwawemi łzami, a jednak znosi z mężną pokorą..... Taką wiarę i takie serce miał sędziwy wieszcz wielkopolski. Kiedy rozkwitało mu szczęście w drobnych wnuczętach, śmierć zabiera mu ukochaną synowę — matkę drobnych dziatek — tę samą Zosię, do któréj napisał był piosenkę tak świeżą, tak wonną, jakby dwudziestoletni poeta. A potem, potem, każdy rok przynosił jaką stratę. Umierały osoby drogie sercu jego przyjaciół; umierali starzy przyjaciele: Kajetan Koźmian, Zygmunt Krasiński i coraz samotniéj było mu na świecie.

Przeczuwał tę kolej i cichy chrześciański filozof, zawczasu zrzucił ze siebie wszystkie blichtry i zaszczyty światowe, które człowiek nakłada na siebie, lub nakładają na niego, w ziemskiéj

pielgrzymce. Pragnął on stanąć przed Bogiem w postaci człowieka beż żadnych przyborów próżności, i do téj najprościejszéj, a oraz najtrudniejszéj roli układały się resztki dni, które miał jeszcze przeżyć. Wszystko odrzucił — nie odrzucił tylko dowcipu i téj wesołości, co bywa przymiotem serca miłującego ludzi. Dwie te urocze strony jego natury nie opuszczały go nawet w godzinach najpoważniejszych rozmyślań i postanowień. W przypisku do jednego listu, z całym sobie właściwym humorem maluje on tę nową fazę w którą wstępował:

„Humillimus ex-dziedzic, ex-jenerał, ex-poeta, „ex-członek towarzystwa uczonych, wszystkich „systematów kredytowych; balów, pikników — „słowem taki *ex* ze wszystkiego, że siedzę już „tylko jak szkielet, trochę trawiący, trochę drze„miący, i jak z ostatnim jeszcze znakiem życia „z paciorkami lub preferansem w ręku. Przypo„minajcie sobie często, że tam gdzieś, za światem, „we wschodniéj ziemi, żyje stary wojak, ów bicz „boży Jaksy i zabity wasz przyjaciel.... Zapomnia„łem jeszcze dodać ex-kawalera tylu orderów; „lecz bałem się, aby ci się nie stało, jak nie„gdyś panu Stanisławowi Potockiemu, wojewo-

„dzie*), co gdy przed nowym kamerdynerem za-
„czął się rozbierać i zdjął siedmnaście kamizelek
„ze siebie, ten myślał, że nic a nic nie zostanie
„z jego pana, i ze strachu, aż za Trzy Krzyże
„dernął. *Notabene* prawdziwe zdarzenie."

W humorystycznym żarcie ileż głębszéj prawdy! Im więcéj czujemy zbliżający się koniec, tém wątlejszemi wydają się te wszystkie oznaki wielkości, na których człowiek opierał się w ciągu życia. Wyższy duch rozstaje się z niemi bez żalu; zrzuca je jak ów minister swoje kamizelki, aby w obliczu Boga stanąć tylko z treścią swego moralnego jestestwa. Tak i nasz sędziwy jenerał poświęcił ostatnie lata rozmyślaniom o wieczności, sposobiącym go na tę daleką, tajemniczą podróż. Umysł jego zwrócił się był więcej ku rzeczom religii; zawsze czytając wiele dzieł w tym przedmiocie, teraz wyłączniéj oddał się rozpamiętywaniom i praktykom pobożnego chrześcianina. W ciągu żywota łagodny i sprawiedliwy, czuły na cierpienie nędzy, wyrozumiały na słabości ludzkie, teraz przy schyłku nie zmienił się w niczém, tyl-

*) Minister Oświecenia w Król. Polk. i autor dzieła: O wymowie i stylu.

ko dobre skłonności i cnoty swoje związał ze źródłem, z którego płynie zdrój łaski w duszę spragnioną niebieskiéj rosy.

W takim usposobieniu rozstrzelone promienie na zewnątrz coraz bardziéj skupiają się w głównem ognisku; duch potężnieje sam w sobie, lecz już nie wylewa się w świat — bo to rzecz młodzieńczego zapału niemogącego się w piersi pomieścić. Starzec zamyka się w ciaśniejszym kółku; trzeba się doń zbliżyć, żeby się ogrzać lub zaczerpnąć światła zdobytego w szkole doświadczenia.

Sędziwy jenerał oddawszy majątek synowi, zostawił sobie tylko obowiązek wychowywania jego dzieci, które matka tak wcześnie odumarła. Wzruszający to był widok starca jak im opowiadał dzieje ojczyste lub uczył bajeczek. Wyższe dusze mają to do siebie, że umieją być prostemi; prostota połączona z mądrością ma dziwny urok dla niewinności dziecięcéj.

Jędrzéj Kośmian, lat kilkudziesięciu przyjaciel Morawskiego, poświęcił kilka kart opisowi dworca w Lułoni*), i tak nam jako naoczny świadek odmalował otoczonego starca wnukami:

*) Dom starego wieszcza wielkopolskiego — w Poznaniu 1858.

„Spojrzyjmy na te dwoje dziatek ślicznych, dobrych i pojętnych. To wnuczka i wnuczek naszego poety. Rozczulający jest zawsze widok dziecka obok starca, nadziei obok wspomnienia, niewinnéj prostoty obok doświadczenia, i rozwijających się sił obok utrudzenia po dłuższém życiu. Nie można więc bez rozrzewnienia widzieć tu dziadka szczęśliwego pieszczotami wnucząt, dzielącego z szczerém zajęciem ich dziecinne gry i zabawy, i zrzekającego się dla nich powagi i zaszczytów wieku, rycerstwa i poezyi. Są w pewnych dniach godziny, które on sobie zastrzegł na naukę dla nich, w tych godzinach naucza je wymowy ojczystéj i przeszłości rodzinnego kraju, a młodziutkie umysły chwytają chciwie słowa starca, które dla nich mają tę powagę i z takiém zajęciem są słuchane, jak gdyby on sam bywał świadkiem tych wypadków, które im opowiada. Lecz widok tych dwojga dziatek, o ile rozwesela, o tyle rozrzewnia i zasmuca; patrząc bowiem na nie, czuje się, że niedawnemi czasy dom ten był przybytkiem jeszcze zupełniejszego szczęścia, nim z tego koła rodzinnego ubyła ta, która do niego to szczęście wniosła — matka tych dwojga dzieci..... Od chwili jéj zgonu niezatarty smutek po-

wlókł umysł naszego sędziwego wieszcza, wpoił się w jego duszę. Wspomnienie szczęśliwéj przeszłości wkorzeniło się w nią i niejako skamieniało; o niém, jakby w przeczuciu własnéj doli poeta tak pięknie w jednym z swych wierszy wyraził się:

Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy,
Taki został, skamieniał — sama śmierć go skruszy.

Swoboda, wesołość, żartobliwość, tak właściwe jego umysłowi, uszły odtąd bez powrotu; a jeżeli i teraz w rzadkich objawiają się odcieniach, to tylko dla tego, aby długo trwałym smutkiem obojętnych nie razić, lub drogich sercu jego niezasmucać. Choć więc z tego koła domowego ubyła ta, która była jego ozdobą, wspomnienie jéj zawsze żyje, każda po niéj pamiątka troskliwie strzeżona, rysy jéj w wiernych wizerunkach zachowane, a na ścianie kaplicy wypisane te słowa: Boże strzeż Zofię! Z jéj wspomnieniem łączy się zajęcie, jakie sobie jedynie w zarządzie Luboni zachował dawny jéj pan. Ona lubiła kwiaty, lubiła ogród, trudniła się nim — to jéj zatrudnienie odziedziczył teść po niéj. Jego więc staraniem ogród ten utrzymuje się w porządku i przyozdabia się corocznie. Miły

świeżością i chłodem, bogaty w wspaniałe drzewa, w wiekowe dęby, jakich nie łatwo się napotyka, jest on celną ozdobą Luboni. Gospodarz nie raz się w nim przechadza, nie raz dozorcy okiem rzuci na prace w nim wykonane. Wierny dawnemu nawyknieniu, które mu wszędzie serca prostych ludzi jedna, każdego z robotników, z sług, z włościan, którego napotka zatrzymuje, z każdym pomówi, tabaczką poczęstuje, pożartuje z niejednym. Mieszkańcy włości jego znają ten zwyczaj starego ich pana, chętnie się do niego stosują, rozumieją jego żarty i wdają się z nim w pogadankę, co się rzadko w tym kraju zdarza, gdzie lud nie jest łatwy do żartów, nie prędki do odpowiedzi.“

Widać z tego opowiadania, że pamięć bolesnéj straty stanęła jak mgła szara, ziębiąca, między nim a światem. Ostatni uśmiech ziemskiego szczęścia prędzéj go opuścił niż opuściło życie; i odtąd, wszystkie rojenia i nadzieje snuły się dlań po tamtéj stronie grobu. Z myślą pogrążoną w wieczności, dusza w coraz bielsze oblekała się szaty. Nie darmo napomknął opisujący Lubonię, że mógłby i tajnie téj duszy odsłonić; okazać, jak w niéj wiara coraz żywsza, łagodność

coraz dobrotliwsza, jak coraz głębsze w niéj przekonanie o marności wszelkich rzeczy ludzkich, nawet sławy zasłużonéj. Lecz nieśmiał uchylać téj zasłony, bo musiałby mówić o żyjącym, który to skrupuł piszących po jego zgonie, niewiąże.

Starzec rachował się z życiem, i jak słońce bywa promienniejsze i większe u zachodu, tak i on pracą wewnętrzną rósł i promienił się na dni swoich schyłku....

„Rycerza, patryotę, obywatela i wieszcza narodowego — jak mówi nekrologista jego poznański*), dopełniał doskonały chrześcianin. Bystrym umysłem śledził i przenikał najtrudniejsze kwestye, religijne, a w najprościejszéj modlitwie korzył się przed Bogiem. Pieniami dziwnéj wzniosłości ulatywał przed sam tron Jego majestatu, a nie lenił się dopełniać codziennych katechizmowych prawideł i praktyk katolickich. Głębokiego tego uczucia religijnego dawał świadectwo w codziennych swych uczynkach. Lud polski całém sercem kochał, troszczył się o jego dobro, każde ulepszenie w jego losie witał z uniesieniem.

*) Dziennik Poznański z 20 grudnia 1861 r. *(pod lit.* K.)

Litościwy aż do rozrzutności w miłosierdziu, nie czekał na wezwanie, ale sam spieszył z pomocą i ratunkiem dotkniętego chorobą lub niedolą. Nie pojedynczo też, ale gromadami drzwi jego oblegali ubodzy z okolicy (w saméj Luboni ich nie było) a zwłaszcza z sąsiednich miasteczek. Sam zawsze pierwszy spostrzegł idącego biedaka, wzywał go ku sobie, a ostatnim był w przyznaniu się jak go hojnie obdarzył.“

Nie są to panegiryczne frazesy; jest tylko charakterystyka człowieka jakim był w ciągu długiego żywota. Poznaliśmy go z jego listów, i nigdzie w nich nie ma nic, coby mu zaprzeczało dobroci serca, wielkich szlachetności i tych własności duszy, co nie tylko nad pospolitość wynoszą, lecz do wyższości dają prawo. Pojmując życie wielostronnie, interesował się wszystkiém, co obchodziło naród, a światłem zdrowego zdania, lub iskrami dowcipu sięgał w różnych kierunkach, i zostawiał po sobie wszędzie ślad jasny. Nie powié potomność, że mącił i bruździł — przeciwnie, był on jednym z tych czerstwych i szczerych umysłów, miłujących prawdę dla prawdy: co za skromne i ciche świadectwo własnego sumienia nie mieniałiby się na najświetniejsze try-

umfy odniesione kosztem cudzéj łatwowierności lub nieuctwa. Taki sam jest on i w pismach swoich; jasność, precyzya, trafność, umnicza powściągliwość, są cechą jego poezyi. Niekiedy zanadto trzyma się na wodzy; zdawałoby się że nie chce skrzydeł rozwinąć, żeby nad zakres nie wzlecieć; a jednak w duszy téj było tyle poetycznego żywiołu, że mógł sobie pozwolić być śmielszym. Wczesna klasyczna dressura, z któréj wiele lat mozolnie się wyłamywał, podcięła mu skrzydła do swojéj urzędowéj miary; a nawyknienie do trzymania się wzorów uznanych za doskonałe, osłabiało w nim do pewnego punktu siłę twórczości tak niezbędną, żeby być oryginalnym. Natomiast miał on te przymioty, jakich niedostawało wielu głośnym pisarzom naszego czasu; oto, każdy utwór wychodzący z pod jego pióra, nosił cechę obmyślanéj całości, i artystycznego wykończenia, nie w drobiazgowym wylizaniu stylu, lecz w tych delikatnych cieniowaniach, tych jenialnych dotknięciach pędzla, co nie goniąc za sprawieniem teatralnego efektu, osiągają go w oczach znawcy.

Dopóki też nie wygaśnie w czytającéj publiczności dobry smak, uczucie piękna, dopóty li-

ryczne poezye Morawskiego znajdą wielbicieli; a Dworzec Dziadka dla nieznawców nawet pozostanie drogim narodowym pomnikiem, wonnym symbolem, w którym się skrystalizowało życie jednéj prowincyi.... Możnaby jeszcze i to dodać do charakterystyki jego utworów, że na wielo-strunnéj lutni Morawskiego, zawsze odzywa się jedna struna nawiązana gdzieś na dnie serca — jest to struna miłości ojczyzny — ale tak czysta, tak rzewna, tak nieszukająca efektu w pustym hałasie, że te pieśni które wygrywa, nie mogą się liczyć do rzędu tych, co przybierają dla tego kolor patryotyczny, żeby nim pokryć płaskości wewnętrzne. Duch polskiéj pieśni wielko-polskiego poety, zawsze leci na złotych skrzydłach wiary w przyszłość, jak owa zwrotka włoskiego piewcy, który podobną przyszłość przyrzekał swojéj ojczyznie:

Invan ti lagni del perduto onore,
Italia mia di mille affani gravida;
Tu fosti invitta fin chè il tuo valore
E le antiche virtù serbasti impavida*).

*) Naprożno skarzysz się na cześć straconą, moja ty Italio na mąk tysiące wydana! lecz nikt cię nie pokona, wszyscy cześć oddadzą, dopóki zachowasz stare cnoty i męztwo.....

Pomimo dolegliwych cierpień z każdym dniem się wzmagających, starzec nawykły od lat kilkudziesięciu prowadzić listowną rozmowę z nieobecnymi przyjaciołmi i znajomymi, pozostał z tém nawyknieniem do dni ostatka. P. Stanisław Koźmian sąsiad jego, z którym od lat dziesięciu zostawał w zażyłości i w ciągłéj korespondencyi, dostarczył mi, jak już na inném miejscu wspomniałem, interesujących szczegółów i notatek z jego listów z téj epoki.

Jak od r. 1860 coraz upadał na zdrowiu i gasnął, a mimo tego jeszcze myślą latał po przedmiotach zajmujących go przez całe życie, zobaczymy z tych listów pisanych albo drzącą własną ręką, lub cudzą....

„Ja od sześciu tygodni (pisze z 6 marca 1860) boleję na mocną podagrę. Wiedziałem o twojéj chorobie, a listu nawet niemógłem do Ciebie napisać. Im głębiéj w starość, tém więcéj dolegliwości. Oczy mię także bolą, i wszystko się powoli rozprzęga.... W téj chwili odbieram wezwanie z Krakowa od księcia Jabłonowskiego abym zbierał składkę na pomnik dla Skrzyneckiego najwyżéj 3 talary na osobę. Mnie niepodobna podjąć się tego. Nigdzie niebywam, w kościele na-

wet gość zemnie bardzo rzadki; przytém jestem chory, stary i już nawet zgłupiały. Wybaczcie więc z Kajetanem że na was tę czynność złożę. Żal mi bardzo że sam tego uczynić niemogę, bom jak Polaka, żołnierza i człowieka szczerze szanował Skrzyneckiego.“

List pisany z 22 marca jest już obcą ręką. W nim donosi że syn jego zawarł z Żupańskim ugodę o druk *Bajek* i dodaje:

„Ale największa bieda z korektą, bo ja żadną miarą dla ręki tak trzęsącéj się, że nawet do Ciebie własną ręką pisać niemogę, uskutecznić jéj niezdołam. Niktby mię nie przeczytał i więcéjbym popsuł, niż naprawił. Jeżeli zdolny jesteś téj ofiary abyś korektę przyjął na siebie, to *Bajki* będą wydrukowane; inaczéj niepodobna. W *Przeglądzie* tak doskonale były *Bajki* moje drukowane, że nietylko omyłki nie było żadnéj, ale i rysunek Bajki doskonale był zachowany. To mię wszystko zapewnia że pod Twoim dozorem rzecz ta najlepiéjby się odbyła. Nie odmawiaj mi kochany panie Stanisławie i bądź litościwy nad kalectwem mojem. Czuję, że będzie to wysiłek przyjaźni, ale nieprzewyższający twego uczucia dla mnie.“

Widzimy z tych ustępów, jak się troskał o przyzwoite pokazanie się swoich Bajek przed publicznością czytającą. Sam niemogąc doglądać korekty, uprosił przyjaciela, który go z całą starannością, pomimo także nadwerężonego zdrowia, wyręczył w téj mozolnéj pracy.

W tym roku dzień 2 kwietnia przypadał w sam Wielki Tydzień; odłożono więc imieniny Jenerała do 10 kwietnia. Zebrało się na nie wiele osób. Wszyscy jednak byli smutniejsi niż zwykle, czując może że to po raz ostatni święto jego obchodzą. Jenerał Chłapowski wniósł zdrowie solenizanta i przypominając mu wszystkie ważne chwile, w których się społem znajdowali, skończył życzeniem, aby i w przyszłem życiu mogli być razem, i dla tego, kto tam pierwszy się dostanie, winien drugiemu kwaterę zamówić. Morawski czule podziękował, dodając, że chyba modlitwy jego towarzysza broni i przyjaciela zdołają mu wyrobić przy nim miejsce w niebie. Piękny to był widok tych starych żołnierzy wznoszących się duchem pokory i wiary w zaziemskie sfery!

W lipcu po przyjeździe córki, wyjechał Jenerał do Karlsbadu, a powracając z tych wód, *tak był* chorym, że wierny jego sługa Antoni

mniemał iż go do domu nie dowiezie. Na jesień był w Luboni; rozmowa jego najwięcéj obracała się około dzieł treści religijnéj, które chciwie czytywał, i o najwyższych duchowych zadaniach. W ogólności umysł jego spoważniał, i dawna wesołość ustąpiła posępnym rozmyślaniom.

W następnym roku, już cudzą ręką pisał pod d. 15 lutego do Stanisława Koźmiana:

„I jam także przebiedował karnawał, bo do tylu licznych defektów starości dołączyło się jeszcze od 5 tygodni takie świędzenie ciała że ciągle, dzień i noc w febrycznym jestem stanie, a doktor nie doktor niedostateczne podaje środki do uśmierzenia tych cierpień. Ledwie kilka chwil w dzień znaleść mogę w których czytać zdołam... Choć tak daleki dzień wyznaczyłeś przybycia do Luboni, zawsze jednak cieszyć się niem będę. Obym tylko dożył, bo co dzień bardziéj krucho koło mnie. Zmieniły się plany moje co do Karlsbadu. Niemogąc dla moich funduszów dwóch wielkich podróży na jeden rok odbywać, będę pił w tym roku wody sztuczne w Warszawie i tym sposobem będę się widział z moją córką. Jużem raz tak przed dziesięciu laty uczynił i ze skutkiem prawie tak dobrym jak w Karlsbadzie“....

Plan ten w zimie ułożony, pod wróżbą gasnącego życia, dał się przecież wykonać. Z nadchodzącą wiosną ożywił się starzec; muza poezyi przyszła go pocieszyć i wtenczas to napisał tych kilka prześlicznych strofek:

Życie się z ziemi już trawką wyciska
I w całéj budzi się sile;
Z każdego pączka miłość tu wytryska,
Boleść usypia na chwilę.
Czemuż się życiem téj wiosny nie cucę
Co dla wszystkich tak radosna?
Może ja, może, dla tego się smucę
Za to ostatnia już wiosna!
Słyszę ja z gaju brzmiący śpiew słowika,
Pszczółkę, co nad kwiatkiem brzęczy —
Ale mię głębiéj głos dzwonu przenika
Co gdzieś tam z wieży mi jęczy.

Poetyczne przeczucie było przeczuciem bliskiéj rzeczywistości; wiosna ta, była w jego życiu ostatnią.

Pod koniec czerwca, tak jak sobie był ułożył, Jenerał wyjechał do Warszawy, używał wód sztucznych, rady najlepszych doktorów, i już w październiku znalazł się w Luboni, zkąd pod dniem 10 października tak opisywał w liście do St. Koźmiana tę kampanię kuracyjną.

„Dziękuję serdecznie za list. Uradował mię jako dowód pamięci o mnie, ale i niemało zasmucił wiadomością o cierpieniach twoich. Kiedy niema nic pewnego, a doktor zaprzecza temu, że powodem boleści są kamienie wewnątrz, po co w nie wierzyć i tą wiarą zwiększać swoje obawy i cierpienia? Ja sam na sobie tego doświadczam, że przy prawdziwych cierpieniach i mniemane zwykły się roić choremu i stan moralny jego pogorszać. Wróciłem szczęśliwie z Warszawy z trochę podreperowaném zdrowiem, ale wcale nieuleczony, bo źródłem moich cierpień jest starość, na którą niema lekarstwa. Dzięki doktorowi Chałubińskiemu i staraniom mojéj drogiéj córki, odzyskałem nieco siły i apetytu; lecz nogi, zawsze jak podcięte, wcale chodzić nie mogą. Chałubiński przez całe trzy miesiące kuracyi nie dał mi ani kropli lekarstwa, samemi domowemi środkami mię lecząc. Teraz przepisał mi na zakończenie kuracyi codziennie po dwa funty winogron przez trzy tygodnie. Moja córka bawi u mnie od tygodnia ze swemi córkami i ciotką. Odjeżdża w przyszły poniedziałek do domu.... Nie będę ci opisywał stanu, w jakim królestwo zostawiłem; bo o wszystkiem, jak wiem, doskonale jesteś za-

wiadomiony. Opinia o Wielopolskim o tyle się podnosi, że on opiera się aby żadnéj nie było arbitralności w rządzie, w więzieniu i karaniu winnych, lecz aby na legalnéj drodze z nimi postępowano. Nieczynność zupełna Andrzeja Zamojskiego ten ma skutek, że powoli zacierają się jego zasługi istotne. Wybór do Rady Stanu bardzo dobry, i wiele bardzo obiecują sobie po radach powiatowych. Życzeniem rozsądnych jest w ogólności, aby Rada Stanu zajęła się przedewszystkiem kwestyą włościańską i oświecenia narodowego. Boję się bardzo o dzień dzisiejszy w Horodle, aby nie przyszło do nieszczęśliwego starcia. Wszystkie Rady powiatowe w kraju podają adres o reprezentacyę narodową; lecz podobno zapowiedziano z góry, że jako pismo ze zbiorowemi podpisami, nie może być przyjęte przez Namiestnika. Zresztą w cały ten ruch narodowy wcisnęła się anarchia, bo są trzy prądy które ruchem tym kierować pragną, a są między sobą sprzeczne. Mierosławskiego partya jest mała, ale zaciekła. Z nią łączą się podburzający ajenci paszportami pruskiemi opatrzeni, którzyby i chłopów podburzyć i cały ruch skrzywić chcieli, a to w celu, aby w królestwie gorzéj było niż w księ-

stwie, i aby reformy tamtejsze niezmusiły i tu do reform.“ —

W jednym z powyższych listów nadmienia że przez wzgląd na szczupłe fundusze nie mógłby podejmować podwójnéj podróży do Karlsbadu i do królestwa; zdaje się jednak że mu nie tyle szło o większy wydatek, ale że chciał się bliżéj przypatrzeć rozbudzonemu życiu w Warszawie. Zaiste widok był to pociągający; fizionomia narodu, niemogącego znaleść sprawiedliwości na ziemi, a szukającego jéj u stóp świętych ołtarzów, miała wyraz wzruszającéj nowości, była poetycznem natchnieniem w akcyi. Objaw ten zupełnie odmienny niż wszystkie tegoczesne poruszenia ludów — dezoryentował rządy, a w głębszych umysłach budził wiarę że nowa ta droga, jest pewnie drogą zbawienia; raz, że się poczęła pod świętem godłem krzyża, potém, że niepodobna w niczém do zwykłych rewolucyjnych ruchów.

Stary jenerał był świadkiem naocznym tych modlitw i pieśni — i serce jego rozpłynęło się łzami radości na widok spotężniałego ducha w narodzie.

Gdzie jest duch żywy, tam i ciało się znajdzie. Z taką nadzieją nie żal mu było zstąpić do grobu...

Atoli nie uszły uwagi jego pewne symptomata niepokojące, jakie już spostrzegać się dały między ludnością stolicy... podobne do tych białych obłoczków na horyzoncie które doświadczone oko żeglarza poczytuje za wróżbę burzy.... Nie darmo téż wspomina o nurtowaniach partyi rewolucyjnéj, szczupłéj wprawdzie, lecz zaciętéj — i nienapróżno się lęka owego zjazdu w Horodle, tak zuchwale wyzywającego Rosyę do walki.... Zapewne pocieszał się w duchu że siła zdrowych pojęć przemoże w narodzie, i z uspokojonym umysłem zbliżał się do wiecznego spoczynku powtarzając zwrotkę swéj ślicznéj pieśni: *Pozwól się pozwól spodziewać!* Szczęśliwy! niedożył roku 1863. —

„Przyjechawszy na imieniny Tadeusza, syna jenerała — pisze Stanisław Koźmian — zabawiłem kilka dni w Luboni. Jenerał nie chciał mię żadną miarą puścić od siebie, jakby przewidywał że to już ostatni raz widzimy się ze sobą. Rozmawiał wiele o religii i o śmierci. Czasem tylko zajrzał do swojéj teki i z dawnych wierszy co przeczytał. Smutna jesienna pora natchnęła mu następującą poezyę w któréj odbiły się jego posępne myśli o śmierci:

Wszystko zwiędło, trawki zbladły,
Zaległ ziemię liść opadły;
Wzmaga się pomrok wieczoru, —
Zimny wietrzyk mię owiewa,
Obnażone szumią drzewa,
I puszczyk huczy po boru.
Smętna myśl się w umysł ciśnie,
Z nią raz po raz łza zabłyśnie, —
Coś mię ciągnie do stóp krzyża,
Bije zdala dzwon kościoła —
Ach rozumiem! wszystko woła
Że i dla mnie czas się zbliża."

Porównawszy to jesienne dumanie, z wiosenną piosenką przed kilką miesiącami złożoną, widzimy jedno i to same przeczucie, tylko przybrane, tam, w zielone liście i melodye słowików— tu, w liść opadły, zżółkły, i złowróżby krzyk puszczyka.... Im bliżéj nachylał się do grobu, tém posępniejszą szatę wdziewała natura, któréj był kochankiem i znawcą wszystkich jéj tajemnic i wdzięków.

Opatrzność, żeby poecie zrobić mniéj przykrą chwilę rozstania się ze światem, powołała go w najsmutniejszym miesiącu z całego roku..... Umarł 12 grudnia 1861 r.

Zima, to przedsmak grobu. Umierający po-

eta nie szukał już słońca, ani zieleniejącéj murawy, ani drzew, ani zbolałą piersią wciągał wonne powiewy zalatujące z pól i łąk — kwiaty, drzewa, murawa słońce — wszystko to leżało w swojéj martwocie — żegnał tylko serca co koło niego biły, żegnał ojczyznę, któréj miłość poślubił, a żegnał z mniejszą może goryczą, gdy ją zostawiał zmężniałą, i podniesioną w duchu....

Wiara w miłosierdzie ukrzyżowanego Zbawiciela spływała się z wiarą w zbawienie ukrzyżowanego narodu....

Zapewne któraś z obecnych osób, tak opisuje*) ostatnie chwile wielkopolskiego wieszcza:

„Na godzinę przed śmiercią kazał się z krzesła odprowadzić do łóżka, po kilkakrotnéj utracie krwi ustami; poczém wyspowiadał się, przycisnął syna oburącz do piersi i przemówił: „Wzrok mój ciemnieje, podajcie mi krzyż.“

A gdy mu go podano, rzekł:

„Nie ten, ale tamten co nademną wisi nad łóżkiem.“

Wziął więc krzyż w ręce, zaczął go całować,

*) Dziennik Poznański z 18 grudnia 1861 r.

i spokojnie zasnął na wieki, tak, że otaczający go, chwili wyzionięcia ducha dostrzédz nie mogli.“

Ktoś powiedział że ani w słońce, ani w śmierć nie można patrzeć niezmrużoném okiem. Miałożby to znaczyć, że śmierci zawsze towarzyszy trwoga? Najpewniéj; tylko stopień jéj i rodzaj bywają różne; inaczéj umiera ten, co nie pomyślał nad tą zagadką życia; inaczéj żołnierz Chrystusowy idący tam, gdzie go prowadzi godło zbawienia. Sędziwy wieszcz przeczuwał przyjście tajemniczego gościa, i usposobił się na jego przyjęcie, z najwyższą delikatnością skrupułów i wymagań.

Na krótko przed zgonem, kiedy ręka nie była już w stanie utrzymać pióra podyktował wnuczce swéj ostatnią poezyę, ostatni odblask duszy stojącéj u progu wieczności, w tych kilku dziwnie głębokich strofkach:

„Boże mój Boże! o jakże się boję
O wieczność moję!

Tyś za warunek naszego zbawienia
Wskazał nam słodką cnotę przebaczenia;
A ja dopełnić jéj nie byłem w stanie,
Bo nikt mię w życiu nie obraził Panie!

Tak Panie! nikt mię obrazić nie raczył
Bym dla miłości Twojéj mu przebaczył;
Srogością dla mnie ludzka dobroć była,
Bo mię tém niebios może pozbawiła.

Jestem więc Panie bez żadnéj zasługi,
Nie uskarbiłem jéj przez wiek tak długi;
Lękam się kary, którąś mi przeznaczył:
Bo czy przebaczysz, gdym ja nie przebaczył?“

Śpiew łabędzi! Szczęśliwy, komu niebo pozwoli rozpieścić i rozbroić nim srogą śmierć, że go tak lekko przenosi z jednego bytu w drugi, jak przeniosła wielkopolskiego wieszcza.

Przypiski.

Układając przed laty żywot Kazimierza Brodzińskiego, w powiastkach dla dzieci, aby im dać poznać tego męża wielkiego serca i zasługi — napisałem był powieść pod tytułem: Popas w Piotrkowie, w któréj wystawiłem spotkanie się autora Wiesława z jenerałem Morawskim. Że osnowy nie wyssałem sobie z palca, tylko ją wziąłem z notat i anegdot o Brodzińskim udzielonych mi przez panią L.... z Warszawy, liczącą się do wielkich przyjaciołek zażyłych niegdy ze zmarłym poetą, pokazuje się już z tego, że Stefan Witwicki, z którym wiele lat nie widziałem się i nie znosiłem, napisał powieść, podobnie jak ja, na téjże kanwie osnutą, i jak poźniéj dowiedziałem się, także udzieloną mu od pani L...., która zdaje się wzięła sobie za pobożny obowiązek grobowiec autora Wiesława ubrać kwiatami swéj fantazyi, jakby niedość było ozdobić takowy prawdą jego

życia? Witwicki i ja, obaśmy w najlepszéj wierze, z podsuniętego tematu zrobili dwa rodzajowe obrazki, i pewnie ani jemu, ani mnie przez myśl nie przeszło, żeby chciało się komu komponować bajki na karb osób bądź świéżo zmarłych, bądź jeszcze żyjących.

Moja powiastka: Popas w Piotrkowie ukazała się najprzód w Dodatku do „Czasu“ (1850 r.). Witwicki swoją wydrukował niedługo potém w zbiorze powiastek pod napisem: Gadu-Gadu. Kto przypomni sobie jednę lub drugą, zdziwić się może, dlaczego w powyższym żywocie jenerała Morawskiego nie dałem miéjsca temu jego spotkaniu się z Brodzińskim, gdy tyle innych drobniejszych przytoczyłem anegdot? Atoli czerpiąc najobfitszy materyał z listów jenerała, znalazłem w nich ustęp, rzecz tę we właściwém przedstawiający świetle, to jest, że całe zdarzenie było zmyśloném.

„W Dodatku do „Czasu“ — pisze Mora-„wski — czytałem powieść o mnie i o Brodziń-„skim. Pochlebna bardzo, ale ani słowa prawdy; „gdy każda przecie nowella na czémsić prawdzi-„wém, lub tradycyjném opieraćby się powinna, „a potém *ad libitum* snuta. Komponowano na-

„rodowość, charaktery, zdarzenia, historyę, cze-
„muż mnie komponować nie mają? Trzeba pod-
„dać się popędowi wieku i być tém, czém być
„każą.“

Bardzo słuszna uwaga, atoli jeszcze wypadało dodać, że co winni autorowie, jeżeli dla ich użytku komponują tradycyę, fałszują świadectwo współczesnych, jak to właśnie zaszło w niniejszym przypadku? Nieprzeczę, byłoby o wiele stosowniéj gdyby powiastka osnutą była na tle prawdziwego faktu; lubo i tak, choć na zmyślonym stoi, nieprzeciwi się ani wewnętrznéj prawdzie charakterów, ani wyobrażeniom i kolorytowi epoki. Pewny jestem, że gdyby podobne spotkanie się, i w tych samych warunkach, zaszło było czy to w Piotrkowie, czy w Lublinie, lub Radomiu, dwaj nasi poeci znaleźliby się z małą różnicą, jak w powieści — zwłaszcza, że jenerał Morawski, jakto w korespondencyi swojéj często wyznaje, wielkim był wielbicielem Brodzińskiego, i nieraz o niego kruszył kopię z Kaj. Koźmianem lub Osińskim.

Tłem poezyi i poetycznéj powieści jest raczéj prawda ducha, prawda charakterów, niż prawda rzeczywistości; bo czyż między wszystkiemi utwo-

rami wyobraźni, a matematycznie ścisłym realizmem, nie leży większa przepaść niż się na oko wydaje? Weźmy n. p. bohatyrów żyjących w poezyi ludów; jakaż to różnica między tém, co pieśń o nich śpiéwa, a tém, co mówi historya! Bohatyrowie Homera, gdyby z czasów oblężenia Troi dochowały się kroniki, wcale inaczéj wyglądaliby niż w Iliadzie; a ów hiszpański Cyd, pełen rycerskiego honoru, pobożności i galantomii kastylskiéj, jakim widzimy go w Romancero, antypodyczną gra rolę w arabskich kronikach, jedynie prawdziwych, bo współczesnych mu, z których się pokazuje, że to był zuchwały rębacz, nietroszczący się bynajmniéj kogo bił, byle bił, czy to braci chrześcian, czy muzułmanów. Poezya średnich wieków pasowała go na chrześciańskiego rycerza, pogromcę muzułmanów, kiedy on przeciwnie, najpiękniéjsze lata życia spędził w służbie królów mahometańskich w Saragossie. W szesnastym wieku, taż poezya zrobiła go świętym, cudotwórcą Rodrygiem. Legenda opowiada, że jakiś zuchwały Żyd zakradł się był do kościoła, gdzie zwłoki Kampeadora spoczywały, i chciał go wziąść za brodę; atoli nieboszczyk dobył sławną Tizonę i w Żyda się zamierzył.... przestraszony

śmiałek padł bez zmysłów na ziemię, a przyszedłszy do siebie, opowiadał o tym cudzie. Gruchło to między ludem, i Filip II. dogadzając opinii, starał się już o kanonizacyę dla Cyda. Dobyto z grobu zwłoki chrześciańskiego bohatyra, i znaleziono je w ubraniu arabskiém.... Ostatni ten szczegół już nie do legendy, lecz do historyi należy....

Poezya w tym, jak w wielu innych przypadkach, nakazała milczenie historyi. Cyd wiekami zmieniał się, dzika jego fizyonomia uszlachetniała się i piękniała postępem i rozwojem Hiszpanów. Cyd — to fikcya, a raczéj to lud hiszpański który siebie wyśpiewał i wymodelował w ulubionym rycerzu.....

Nic więc dziwnego, że i nasz wiek tworzy sobie ludzi i zdarzenia takie, jakie do jego przypadają myśli; czyli siebie on śpiéwa i modeluje w postaciach i zdarzeniach do różnych należących wieków.

Jedno tylko pogwałcenie prawdy natury ludzkiéj, jak niemniéj pogwałcenie charakteru i ducha narodowego, zasługuje na nazwę fałszu w poezyi.

Towarzystwo antypojedynkowe.

Pojedynki zakazane są przez religię, prawo i rozum, a więc trzykrotną są zbrodnią. Poddawać się téj zbrodni, jest to powstawać przeciw Bogu, porządkowi społecznemu i prawdziwéj cywilizacyi.

Piękną jest odwaga, lecz gdy natchniona poświęceniem, wszelka inna jest płochością, występną wzgardą życia lub brutalską junakeryą. Honor jeżeli nie jest cnotą, jest przesądem, a przesąd jarzmem bezrozumnych, z wszystkich niewoli najnieznośniejszą.

Aby przeszkodzić rozkrzewianiu się złego aż nadto rozkorzenionego, stanowi się niniejsze towarzystwo. Niemałéj odwagi trzeba do wystąpienia publicznie przeciw tak ogólnemu przesądowi. Walka to długa i olbrzymia, na któréj czele stanąćby powinien wielki charakter, zasługa znamienita i dane dowody bohaterskiéj odwagi.

Nas ośmiela to wiekami stwierdzone doświadczenie, że prawda zawsze w końcu zwycięża. Iluż

to przesądom świat dawniéj ulegał, które znikły bezpowrotnie przed słońcem lepszego przekonania. Gdyby historya nie zaświadczała, że przesądom tym hołdowali ludzie, wierzyćby nie chciano, że w saméj rzeczy istniały. Przyjdzie czas, w którym i o pojedynkach świat równie sądzić będzie.

Lecz jeżeli wielkiéj odwagi trzeba do pierwszego rzucenia téj zbawiennéj myśli, nie mniejszéj trzeba i tym, co pierwsi do niéj przystąpią. Dziesięć pojedynków najświetniéj odbytych niewyrównają męztwu pierwszych wpisujących się do towarzystwa. Mniejszego przecież wysilenia duszy odwaga ta potrzebuje, niż ta, która się ośmiela na osierocenie żon, dzieci, na dozgonną boleść ojców i matek, na zgubę duszy, zdeptanie praw Boskich i całą wieczność nieszczęścia.

Ogólne uwagi.

1. Wojsko, zwłaszcza stojące, będąc utworem najwyższéj władzy, jej się zostawia obmyślenie potrzebnych w téj mierze urządzeń, i z tego powodu nie podciągamy go pod prawidła naszéj ustawy i towarzystwa.

2. Każdy dobrze wychowany człowiek powinien umieć nieobrażać ni czynem ni słowem. Umie

on unikać zbliżającéj się obrazy przez wczesne przerwanie gorętszéj rozmowy, lub nadanie jéj innego kierunku. Im lepiéj kto wychowany, tém zręczniéj z grożącego wywikła się położenia. Gburactwo jedynie tego dokonać nie umie.

Jeźliby przecież mimo wszelkich usiłowań obraza miała miejsce, załatwioną być powinna podług przepisów, które niniejsza stanowi

Ustawa.

1. Przez przyjaciół stron sprzecznych wybrane mają być osoby do składu sądu polubownego. Osoby te potwierdone być powinny tak przez obrażonego jak przez obrażającego.

2. Najstarszy wiekiem przewodniczy.

3. Członkowie sądu nie mogą być spokrewnieni z żadną stroną do 3 stopnia inclusive.

4. Sąd ten składać się będzie z 3 lub 5 członków wybranych z towarzystwa. Gdzie obraza czynna, tam zawsze sąd z 5 członków składać się będzie.

5. Większość głosów stanowi.

6. Jaki wyrok wyda sąd polubowny, takiemu obie strony poddać się powinny, i przez wszystkich członków towarzystwa jako prawomocny i dostateczny przyjęty będzie.

7. Roztrzygnięcie to nastąpić może przez zgodzenie spornych osób, przez przeproszenie listowne w podanéj przez sąd polubowny formie, osobiste w wyrazach przez tenże sąd postanowionych w obec dwóch świadków przez sąd wyznaczonych, nakoniec przez kary pieniężne na dochód instytutów dobroczynnych, za co kwit ma być w przepisanym czasie złożony sekretarzowi towarzystwa. Kary pieniężne zastosowane być mają do kar praw krajowych na injurie.

8 .Czynności sądu każdego zapisywane być mają w księdze umyślnie na to sporządzonéj, która pod zamknięciem ma być trzymana u sekretarza towarzystwa, a któréj czytania nikomu dozwalać mu nie wolno.

9. Obraza może być słowem lub czynem osoby bronić się mogącéj lub nie.

10. Obrazy słowem podług artykułu 7go załatwione być powinny.

11. Obrazy czynem, jak to przez uderzenie, plwanie na drugiego osobę i tym podobnie, karane będą wykluczeniem z towarzystwa i wszelkiéj społeczności, a to podług przewinienia od lat dwóch do na zawsze. Potwarz głoszona drukiem zawsze do czynnych obraz należeć będzie, równie

jak w publicznych mowach rzucona na kogo wyraźnie.

12. Obraza osoby bronić się nie mogącéj, jako to dziecka, kobiety lub kapłana, zdwojoną karą obłożona będzie, a to podług tego czy słowną czy czynną była.

13. Łagodzi te kary przebaczenie chrześciańskie z strony obrażonego lub obrażonéj. Przebaczający winien o tém donieść sekretarzowi towarzystwa, a ten sądowi polubownemu.

14. Ktoby nie chciał poddać się wyrokowi sądu polubownego, przez to samo wyklucza się z towarzystwa.

15. Ani wyzywać, ani przyjmować wyzywania nie może należący do towarzystwa od nienależącego do niego. Zatargę zajść mogącą krajowym sądom powierzyć powinien, chyba że nienależący do towarzystwa podda się pod sąd polubowny. Wówczas gdyby żądał tego, możnaby mięszany sąd utworzyć z 4 osób, dwóch należących do towarzystwa i dwóch nienależących do niego, zawsze jednak na ich wybór obie strony zgodzić się winny i sprawa zawsze podług ustaw towarzystwa ma być sądzoną. Przy równości głosów rozstrzyga prezydujący, którym może być

tak należący do towarzystwa jak i nie należący, starszeństwo wieku bowiem stanowić o tém będzie.

16. Ponieważ wykluczenie z wszelkiéj społeczności czasowe lub na zawsze, najwyższą jest karą w niniejszéj ustawie, przeto niechcąc grzeszyć przeciw względom społecznym i prawom obyczajności, tąk rzecz tę rozjaśniamy, iż nie o to idzie, aby się nie znajdować w jednym kole społecznym z ukaranym, lecz o to, aby go nie przyjmować do swoich domów, w żadnéj poufnéj nie zostawać z nim zażyłości, i wszelkiéj styczności unikać, wyjąwszy w obradach i usługach bliźniego lub kraju się tyczących.

17. Balotowanie na wybór członków towarzystwa miejsca mieć nie będzie. Złożony podpis na ustawie będzie dostateczny.

18. Żadnych składek nie zna towarzystwo, ani żadnych zebrań się członków.

19. Lista przyjmujących warunki towarzystwa złożoną będzie u JWXiędza Arcypasterza jako dowód hołdu przepisom kościoła i oznaka postępu prawdziwéj cywilizacyi wspartéj na religii.

20. JWXiądz Arcypasterz wybiera sekretarza. Sekretarz ten obecny będzie wszystkim są-

dom polubownym, jako trzymający pióro, lecz bez głosu doradczego.

21. Sekretarz corocznie jednym okólnikiem zawiadomić powinien wszystkich członków towarzystwa, kto przybył do towarzystwa, lub ubył z niego. Listę tę każdy sobie dla wiadomości wypisze.

22. Każdy członek towarzystwa powinien przy podanéj okazyi nie tylko śmiało przyznawać się do należenia do towarzystwa, ale ile możności i rozszerzać jego zasady, a nadewszystko wzbudzać wszystkie matki, żony i córy do popierania jego tak dalece, iżby młode dziewice na swoich oblubieńcach wymódz się starały tę ofiarę i dowód miłości, że należeć będą do towarzystwa, dla silniejszego zabezpieczenia ich pokoju i szczęścia w pożyciu małżeńskiém.

23. Gdyby odmiennego wyznania religijnego ludzie chcieli wstąpić do towarzystwa, przyjąć ich należy, aby nikomu do lepszego nie zagradzać drogi.

24. Ustawa ta nie jest dla saméj szlachty, każdy który przeszedł szkoły i uniwersytet, a więc otrzymał stopień wyższego wykształcenia, ma prawo mieszczenia się w niniejszem towarzystwie.

Stanford University Libraries
3 6105 124 431 672

Stanford University Libraries
Stanford, California
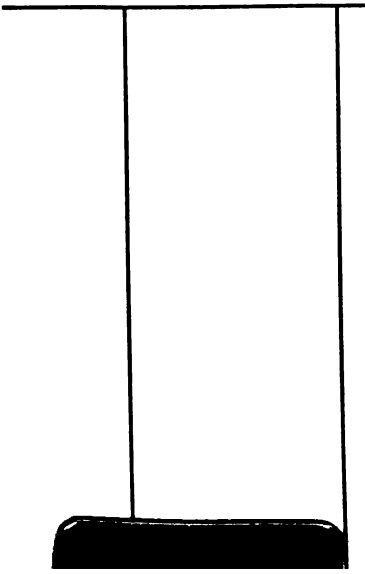
Return this book on or before date due.